



ZA KULISAMI WYBORÓW W USA

Cejrowski o oszustwach wyborczych przeciwników prezydenta Trumpa

Krótki przewodnik po 235 „orientacjach seksualnych”

TYGODNIK LISICKIEGO

**DO
RZECZY**

NR 46/399 9-15 LISTOPADA 2020

CENA 7,90 Zł (W TYM 8% VAT)

**KARIERA
ROBERTA BĄKIEWICZA
– LIDERA
STRAŻY
NARODOWEJ**



**Czy Polsce
grozi bankructwo?**



MATKA POLKA CZY FEMINISTKA

Lewicowa rewolucja przeciw macierzyństwu

ISSN 2299-8500 Nr indeksu 288829
9 772299 185000
Nakład: 56 000 egzemplarzy

Zbigniew Waz

Prezes Starej Mleczarni S.A.



**„Kaszubski ser uczyniliśmy
znanym w całej Polsce, zachowując
jego rzemieślniczy charakter”**



&



Biedronka
Codziennie niskie ceny

**Razem możemy zrobić
więcej dla polskiej gospodarki**

KUPUJ CO POLSKIE

co tworzy wartość
dla polskiej gospodarki

biedronka.pl/kupujcopolskie



PAWEŁ LISICKI

W RZECZY SAMEJ

Przerzut choroby

Napaści na kościoły, przerywanie mszy, zachęta do fizycznej agresji – wszystko to są zjawiska w Polsce nowe, niesłychane. Pod tym względem Polska należała długo do chlubnych wyjątków. W wielu innych państwach Zachodu ataki na Kościół, tak symboliczne, czyli profanacje, publiczne bluźnierstwa, wyszydzanie i poniewieranie symboli wiary, jak faktyczne – niszczenie budynków, bicie i obrzucanie wyzwiskami księży, wandalizm, niekiedy inne formy akcji bezpośredniej – nie są niestety niczym niezwykłym. Co jest tego źródłem?

„Człowiek nie przychodzi na świat jako kobieta, człowiek się nią staje. Żadna biologiczna, psychiczna, gospodarcza konieczność nie określa formy, jaką w łonie społeczeństwa przyjmie żeńska istota ludzka” – te słowa Simone de Beauvoir wypowiedziane w latach 50. XX w. to swego rodzaju feministyczne wyznanie wiary. Oznaczają one faktyczne wypowiedzenie wojny ładowi i dziedzictwu. Kobieta człowiek się nie rodzi, to społeczeństwo sprawia, że się nią jest. A skoro tak, to płeć biologiczna, to, że ktoś jest kobietą lub mężczyzną, jest wyłącznie skutkiem presji kulturowej, przemocy, władzy i dominacji. Dokładnie tak słowa te zrozumiały aktywistki rewolucji z 1968 r. Z jednej strony marksistowskie ideologowie uczyli,

że całe zachodnie społeczeństwo jest chore, niesprawiedliwe, oparte na przemocy i tyranii, z drugiej okazało się, że pierwotnym źródłem zła jest płeć, podział na to, co męskie i kobiece.

Według Kate Millett najgłębszą strukturą ucisku w społeczeństwie ludzkim nie jest już panowanie klasowe, dominacja burżuazji nad proletariatem, ale patriarchyzm. W jej przyjmowanych jako niemal objawienie od lat 70. XX w. wynurzeniach kapitalizm traktuje się jako owoc patriarchalizmu, a istnienie rodziny opartej na relacji mężczyzny i kobiety staje się podstawowym instrumentem utrzymania niesprawiedliwego reżimu androcentrycznego. Męskość jest niepotrzebna, ba, jest zagrożeniem. Męskość dla feministek jest tym, czym dla komunistów burżuazja – klasą, którą należy pokonać i zniszczyć. Doskonale widać to w pismach Shulamith Firestone, innej „mistrzyni” tego ruchu.

Według niej ostatecznym przejawem wyzwolenia powinno być usunięcie cech płciowych. Ideałem byłoby społeczeństwo obojnaków, bowiem już w świecie zwierzęcym widać, że to, co żeńskie, jest podporządkowane temu, co męskie. Źródłem zniewolenia kobiety jest „reprodukcja gatunkowa”, a ciąża i macierzyństwo są tym, czym znamie wypalane niegdyś na twarzy niewolnika. Macierzyństwo, z tego punktu widzenia, oznacza radykalną podległość prawom tego świata, prawom natury, prawom patriarchalnym. Nadzieją może być jedynie sztuczne zapłodnienie w próbkach i następnie laboratoryjne wychowywanie potomstwa. To jednak dopiero przed nami, na razie plan minimum to przynajmniej uwolnić kobiety od poddania płciowości i stworzyć maksymalnie uświadomioną komórkę rewolucji, najlepiej złożoną

z lesbijek, które programowo odrzucają współżycie z mężczyznami i rodzenie dzieci.

Płeć – dowodzi inna wielka „filozofka” Judith Butler – nie jest niczym stałym, określonym. Tak zwana heteronormatywność (mówiąc po ludzku, podział na płeć męską i żeńską) to efekt przymusu i presji. Emancypacja ma prowadzić do innej przyszłości „Wydaje się, że człowiek musi stać się sobie obcy, a nawet potworny, by sięgnąć po człowieczeństwo na zupełnie innym poziomie. Nowy człowiek... nie będzie posiadać formy ostatecznej, a będzie raczej tym, kto ustawicznie negocjuje różnicę seksualną”. Żeby to osiągnąć, trzeba śmiało korzystać z aktów subwersji, eksperymentować, szukać, przekraczać wszelką normę. I, to jest dla wszystkich radykałek oczywiste, pokonać strażnika patriarchyizmu, źródło przemocy kulturowej, żandarmeria mocy natury, czyli chrześcijaństwo. Te skrajne grupy feministyczne (skrajne dla Polaków) chętnie nazywają się czarownicami, wiedźmami, lubią też nawiązywać do satanizmu i magii.

Wszystko to nie są zapiski z domu wariatów. Nie, większość tych autorek cieszy się uznaniem i respektem. Gościły na okładkach renomowanych pism, zapraszano je do najbardziej popularnych programów telewizyjnych. Robiły też karierę uniwersytecką. Wychowywały i nauczały. Nic dziwnego, że po tylu latach od odzyskania niepodległości jad marksizmu-lesbianizmu przeniknął do Polski. Ideologia ta ma tu swoje ekspozytury medialne i uniwersyteckie. Szkoda, że polski rząd nie zdobył się na to, co zrobili Węgrzy, i nie zamknął opanowanych przez radykałów kierunków genderowych na uniwersytetach. Z podobną biernością przypatrywał się wspieraniu tej rewolucji z zewnątrz. Najwyższa pora z tym skończyć. ©

RYСУNEK TYGODNIA

Baba Jaga protestuje przeciwko narodzinom Jasia i Matysi!





TEMAT TYGODNIA

24 KAMILA BARANOWSKA
JESZCZE MATKA POLKA NIE ZGINĘŁA
Kobieta pod presją

26 ROZMOWA Z KAROLINĄ PAWŁOWSKĄ
CHCEMY ODKŁAMAĆ PRAWA KOBIET

28 RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ
POLKA WARCZĄCA

KRAJ

30 PIOTR SEMKA
NIKT NIC NIE WIE, CZYLI POLSKI FILM
Scenariusze na czas kryzysu

34 ROZMOWA Z JADWIGĄ EMILEWICZ
POLACY NAS ROZLICZĄ

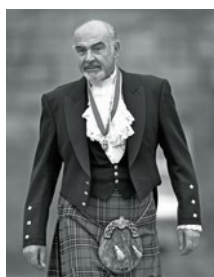
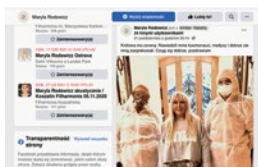
36 ROZMOWA Z ROBERTEM WINNICKIM
NIEPODLEGŁOŚĆ MYŚLENIA

38 MACIEJ PIECZYŃSKI
LIDER STRAŻNIKÓW

40 ŁUKASZ WARZECHA
CZY MAMY JAKIŚ CEL?

42 ŁUKASZ ZBORALSKI
CUDOWNY LEK?

44 RADOŚLAŃ WÓJTAS
JAK ONI ZDROWIEJĄ



KULTURA

46 PIOTR GOCIEK
SZKOCKI ŁĄCZNIK
Sean Connery (1930–2020)

48 TOMASZ ZBIGNIEW ZAPERT
ZAKOCHANI W POLSCIE



NIE PRZEGAP

50 NASZ PRZEWODNIK
FILMY, KSIĄŻKI, PŁYTY, GRA

OPINIE

60 AGNIESZKA MARIANOWICZ-SZCZYGIEL
DEZORIENTACJA PŁCIOWA
Negowanie biologii to utopia

62 ROZMOWA Z KS. PROF. DR. HAB. MIROŚLAWEM
KALINOWSKIM

**UNIwersytet powinien
służyć prawdzie**

64 TOMASZ P. TERLIKOWSKI
MIŁOŚĆ, A NIE KONTRREWOLUCJA

HISTORIA

67 DODATEK SPECJALNY
POLSKA NIEPODLEGŁA
102. rocznica odzyskania niepodległości

ŚWIAT



76 JACEK PRZYBYLSKI
PAT W AMERYCE
Trump alarmuje: To oszustwo

EKONOMIA

80 JAKUB WOZINSKI
**PAŃSTWA
NA SKRAJU
BANKRUCTWA**
Czarny scenariusz
coraz bardziej
prawdopodobny



O ZDROWIU

90 KATARZYNA PINKOSZ
TEN PROGRAM ZMIENIŁ ŻYCIE
Przełom w leczeniu SMA

FELIETONY: SEMKA (8), ZIEMKIEWICZ, JUREK (10), KOWALCZUK (12), GMYZ, GOCIEK (22), ZYCHOWICZ, KOPER (66), PRZYBYLSKI (79), GABRYEL, WARZECHA (84), KOMUDA (93), ZALEWSKI, MAKOWSKI (96), NOWAK (97), CEJROWSKI (98)

Poznaj historię Energetycznej Niepodległości

Baltyk



Wykorzystane materiały archiwalne
pochodzą ze zbiorów PGE SA
oraz Narodowego Archiwum Cyfrowego

www.gkpge.pl/energetycznaniepodleglosc



***Polska Grupa
Energetyczna***

Drodzy Czytelnicy,

Korespondencję elektroniczną prosimy kierować na adres: listy@dorzeczy.pl.

Agnieszka Holland w drodze do „polskiego obozu koncentracyjnego”

Charakter, temperament, całą umysłowość dziedziczymy w genach. Ojcem Agnieszki Holland był ideowy komunista, lejtnant Armii Czerwonej Genrich Golland, znany w Polsce jako kpt. Henryk Holland. W 2006 r. Krzysztof Persak poświęcił mu książkę pt. „Sprawa Henryka Hollanda”. Publikacja była ze zrozumieniem przyjęta przez córkę kapitana Agnieszkę Holland, jak i też przez całe środowisko dawnej KPP Zachodniej Ukrainy w drugim i trzecim pokoleniu. Kapitan Henryk Holland był w PRL naczelnym „Walki Młodych”, m.in. krytykował „odchylenie” I Sekretarza PPR Władysława Gomułki. Nic dziwnego, że po 1956 r. tow. Wiesław Gomułka jako I Sekretarz PZPR mu to pamiętał. Po aresztowaniu Hollanda w 1961 r. (sprawa referatu Chruszczowa na XX zjeździe), w trakcie rewizji w jego mieszkaniu przy ul. Nowotki Holland wyskoczył oknem albo też został wypchnięty. W 1959 r. matka Agnieszki Holland i Magdaleny Łazarkiewicz rozwiodła się z będącym w niełasce Hollandem i wyszła za dziennikarza Stanisława Brodzkiego, m.in. kierownika działów w „Słowie Ludu” i „Trybunie Ludu”. To

on jako funkcjonariusz komunistycznej propagandy załatwił pasierbicy studia filmowe w czeskiej Pradze (jaki normalny śmiertelnik mógł za komuny dostać zagraniczne stypendium?) i w ten sposób Agnieszka Holland została dożywotnią reżyserką filmową, klasykiem i autorytetem moralnym.

„Żeby było tak, jak było!” – żądała na wiecu KOD pod Sejmem w 2016 r. „Długopis” – to o Prezydencie RP Andrzej Dudzie. W jej filmie „Pokot” nawiedzona feministka w czasie mszy wchodzi do kościoła i wrzeszczy do kapłana: „A kto ci dał prawo do przemawiania?” i film kończy się dymem z podpalonego kościoła. „Dym w kościołach!!!” – skanduje z adymiarz na odbywających się właśnie manifach lewaków. Mamy jawne publiczne wezwanie do podpalania kościołów. Powtarza się przygrywka do rewolucji z 1935 r. w Madrycie i Hiszpanii.

9 października br. na ekrany kin wkroczyło kolejne dzieło Agnieszki Holland „Szarlatan” – sztandarowy obraz LGBT – czeski film z polskojęzycznymi napisami. Zyskał ledwie 21 158 (!) widzów i zszedł z ekranów. (W tym samym czasie pandemii film „25 lat niewinności” miał 690 898 widzów, a „Pęta” – 562 401).

Przy okazji PR, reklam, wywiadów (8 października 2020 r. – Holland i „Szarlatan” jako wiodący temat wydania „Gazety Wyborczej”) i całego tego zgiełku wokół nudnej biografii czeskiego zieleniarza Agnieszka Holland udzieliła długiego wywiadu red. Janowskiej z Onetu. Opowiada o faszyzmie narastającym w Polsce, perspektywie nazizmu (!) i o tym, że czekają „nas”, JĄ prześladowania i w końcu OBOZY KONCENTRACYJNE! Jakie „obozy koncentracyjne” mogą powstać w Polsce?! No rzecz jasna, że mowa o polskich obozach koncentracyjnych. O takich, o jakich „lewicowy” Zachód zawsze kłamie. W wywiadzie dla Radia Zet (29 października br.) stwierdza: „Myślę, że Jarosław Kaczyński to człowiek, który ma w sobie głęboko zakodowaną cywilizację śmierci...” i ją, i wszystkich wrogów wepchnie do właśnie tych obozów.

Po bluźnierczej lewackiej parodii w Gdyni, ze sceną niesienia Janka Wiśniewskiego na okrwawionych drzewach, bledziemy mieli za chwilę pod Sejmem kłatkę z drutu kolczastego z napisem „Polski KL” z Agnieszka Holland i Klementyną Suchanow w środku. Pierwsza strona w „NYT” murowana. Podpis: „Polish Death Camps”.

Remigiusz Włost-Matuszak

1 listopada
odszedł do Domu Pana mój stryj



Zbigniew Semka

żołnierz Armii Krajowej Okręgu
krakowskiego – ps. Brutus,

pionier budowy
polskiego życia we Wrocławiu,

lekarz weterynaryz

Proszę o modlitwę za Jego duszę
Piotr Semka



ADRES: TYGODNIK DO RZECZY
Batory Office Building II
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 529 12 00, fax: +48 22 529 12 01
e-mail: listy@dorzeczy.pl, www.DORZECZY.PL

REDAKCJA: Redaktor naczelny: Paweł Lisicki
I zastępca redaktora naczelnego: Piotr Gabryel
Zastępca redaktora naczelnego: Piotr Zychowicz

Sekretariat redakcji: Jacek Przybylski (I sekretarz redakcji),
Łukasz Zboralski (II sekretarz redakcji), Radosław Wojtas
Kolegium komentatorów:

Cezary Gmyz, Piotr Ciolek, Krzysztof Masłoń, Piotr Semka,
Łukasz Warzecha, Rafał A. Ziemiakiewicz

Stali współpracownicy i felietoniści:

Kamila Baranowska, Olivier Bault, Joanna Bojarczyk, Grzegorz Brzozowicz,
Wojciech Cejrowski, Wiesław Chelminiak, Dominika Cioś (Bruksela),
Tomasz Cukiernik, Krzysztof Czabański, Piotr Gursztyn, Marek Jurek,
Jacek Komuda, Sławomir Koper, Piotr Kowalczyk (Rzym),
Grzegorz Kucharczyk, Tomasz Lenczewski, Piotr Litka, Łukasz Majchrzyk,
Marcin Małowski, Monika Małkowska, Karolina Marchlewska-Trzmieł,
Gabriel Michalik, Agnieszka Niewińska, Andrzej Nowak, Maciej Pieczyński,
Katarzyna Pinkosz, Tomasz Rowiński, Witold Repetowicz,
Wojciech Roszkowski, Agnieszka Rybak, Joanna Siedlecka, Teresa Stylińska,
Artur Szeremeta, Tomasz P. Terlikowski, Błażej Torajski, Szwach Weiss,
Piotr Włoczyk, Marcin Wolski, Małgorzata Wólczyk, Jakub Wozinski,
Tomasz Wróblewski, Igor Zalewski, Tomasz Zbigniew Zapert

PORTAL DORZECZY.PL: redaguje: Karol Gac z zespołem: Zofia Magdziak
(zastępca), Antoni Trzmieł (zastępca, także dziennikarz Telewizji Polskiej),
Zuzanna Dąbrowska (także Radio Maryja), Anna M. Piotrowska,
Małgorzata Puzry, Sandra Skibińska, Marcin Bugaj, Damian Cygan,
Jan Fiedorczuk, Przemysław Harczuk (także „Super Express”)

Studio graficzne: Wojciech Niedzielko (szef studia), Jakub Tański,
Jacek Nadratowski, Włodzimierz Zakrzewski
Fotoredakcja: Edyta Bortnowska, Przemysław Trzask
Korekta: Jadwiga Marculewicz-Olaś, Anna Zalewska, Marzena Dobosz
Rysowniki: Andrzej Krauze, Cezary Krystofa
Okładka: na podst. obrazu pt. „Ojczyzna” Janka Małczewskiego ze zbiorów
Muzeum Narodowego we Wrocławiu,

for. The Picture Art Collection Alamy Stock Photo/BEGW
WYDAWCA: Orle Pismo sp. z o.o.

Batory Office Building II, Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 347 50 00, fax: +48 22 347 50 01

Wydawca tytułu, spółka Orle Pismo, wchodzi w skład Grupy
Kapitałowej PMPG Polskie Media SA, notowanej na GPW



Zarząd PMPG Polskie Media SA:

Piotr Piaszczyk, Robert Piotroński, Ewa Rykaczewska

Zarząd Spółki Orle Pismo:

Katarzyna Gintrowska, Paweł Lisicki

BIURO REKLAMY: reklama@dorzeczy.pl; tel. 500 112 386

PUBLIC RELATIONS: (PR manager), pr@pmpg.pl

DYSTRYBUCJA I PRODUKCJA:

Adam Borzęcki (kolportaż), Joanna Nowakowska (prenumerata wydawnicza),
prenumerata@pmpg.pl, tel.: 539 953 631; Monika Doros, tel.: 508 040 664

ISSN 2299-8500

Nr indeksu 288829

Nakład 56 tys. egzemplarzy

DRUK: WALSTEAD CENTRAL EUROPE
Sprzedaż egzemplarzy aktualnych i archiwalnych po cenie innej niż cena detaliczna
ustalona przez wydawcę jest zabroniona i grozi odpowiedzialnością karną.

PRENUMERATA:

Prenumerata realizowana przez RUCH SA:

Zamówienia na prenumeratę w wersji papierowej i na e-wydania można
składać bezpośrednio na stronie www.prenumerata.ruch.com.pl

Ewentualne pytania prosimy kierować na adres
e-mail: prenumerata@ruch.com.pl lub kontaktując się z Centrum Obsługi
Klienta „RUCH” pod numerami: 22 693 70 00 lub 801 800 803 – czynne
w dni robocze w godzinach 7-17. Koszt połączenia wg taryfy operatora.

Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń ani nie zwraca materiałów
niezamówionych. Zastrzegamy sobie prawo do skracania i adjustacji
tekstów oraz zmiany ich tytułów. Na podstawie art. 25 ust. 1 pkt 1b prawa
autorskiego wydawca wyraźnie zastrzega, iż dalsze rozpowszechnianie
materiałów opublikowanych w tygodniku „Do Rzeczy” jest zabronione.

© © Wszystkie materiały w tygodniku chronione są prawem
autorskim. Wszelkie prawa zastrzeżone. Dalsze rozpowszechnianie
artykułu tylko za zgodą wydawcy. Regulamin i warunki licencjonowania
materiałów prasowych na www.dorzeczy.pl/regulamin/



**ALIOR
BANK**

WYŻSZA KULTURA. BANK NOWOŚCI.

BANK PRZEDSIĘBIORCZOŚCI

BIZNES KORPORACYJNY MA U NAS SZCZEGÓLNE MIEJSCE



**ALIOR
BANK**

WYŻSZA KULTURA. BANK NOWOŚCI.

- ✓ Obsługa wykwalifikowanego doradcy – zdalnie lub w placówce
- ✓ Profesjonalny system bankowości internetowej BusinessPro
- ✓ Szeroka oferta produktów zabezpieczających kursy walut, ceny surowców, koszty odsetek
- ✓ Rozwiązania dopasowane do potrzeb branży
- ✓ Wsparcie z funduszy UE

Zapraszamy do centrów korporacyjnych Alior Banku.

Pełna informacja o ofercie dla dużych firm jest dostępna w centrach korporacyjnych Alior Banku SA i na www.aliorbank.pl.



PIOTR SEMKA

NA PIERWSZY OGIEŃ

Ten bój potrwa tygodnie

W chwili, gdy oddajemy ten numer do druku, nie jest jeszcze jasne, czy prezydenturę w USA wygrał Donald Trump czy Joe Biden. I wszystko wskazuje na to, że jeśli dojdzie do pozwów sądowych, wówczas nie będzie to jasne jeszcze wiele tygodni. Obóz Trumpa wskazuje na liczne niepokojące fakty dotyczące głosów korespondencyjnych, wytykając nieprawidłowości, które jego zdaniem wystąpiły – od rzekomych głosów wyborców, którzy dawno już zmarli, do zastrzeżeń co do sposobu liczenia głosów. Obóz Bidena straszy wizją Trumpa jako niebezpiecznego populisty, który nie potrafi znieść porażki i gotowy jest podpalić Amerykę z pomocą bojówek białych rasistów.

Obie strony aż rwą się do ulicznych demonstracji, a na handlowych ulicach Nowego Jorku czy Chicago słychać stuk młotków, którymi robotnicy wbijają gwoździe w dyktę mającą chronić witryny sklepowe przed plądrowaniem.

Ulubionym motywem zawstydzania stosowanym przez

zwolenników Bidena w USA, ale i w Polsce, są nagrania z 2008 r., gdy polityk republikański John McCain dżentelmeńsko gratuluje wygranej kandydatowi demokratów Barackowi Obamie. Tyle że ci, którzy lansują to nagranie, udają, że nie było nienawistnej ani niszczącej kampanii, która dotknęła Trumpa w ciągu ostatnich czterech lat. Że nie widzieli, jak przewodnicząca Izby Reprezentantów Nancy Pelosi rwała za plecami obecnego prezydenta jego raport o stanie unii. Że nie zauważyli Bidena wijącego się jak piskorz, kiedy nie chciał potępić Antify za podpalanie ulic amerykańskich miast. Owszem, Trump był dosadny lub ostry w słowach i czynach, ale on przynajmniej nie udaje, że nie wie, gdzie podział się świat obyczajów politycznych z lat 70. czy 90.

Na podobnej zasadzie niektórzy dziennikarze, chcąc zawstydzić Jarosława Kaczyńskiego, przypominają wypowiedzi jego brata Lecha, broniącego autorytetu Trybunału Konstytucyjnego. W obu przypadkach coś się w międzyczasie

pozmięniało i zbrutalizowało. Nikt się z tego nie cieszy, ale nie można udawać, że rachunku krzywd nie ma.

Inny motyw liberalnych publicystów znad Wisły to udawane zdziwienie. Dlaczego polska prawica nie lubi Joe Bidena, katolika i męża jednej żony od paru dekad, a woli Trumpa protestanta, mającego za sobą już parę związków i oskarżenia o molestowanie wielu kobiet?

I znów uznaje się za mało ważne, że Biden nie kiwnął palcem, by ograniczyć ogólnostanowe programy aborcyjne z czasu rządów Obamy, za to Trump jako pierwszy prezydent USA pojawił się na demonstracji z okazji amerykańskiego Dnia Świętości Życia.

Zwolennicy Trumpa podejrzewają, że demokraci gotowi byli posunąć się bardzo daleko, byle tylko zapobiec reelekcji nielubianego gospodarza Białego Domu. Czy mieli rację? Zapewne rozstrzygną sądy. Zapewne aż do szczybla Supreme Court. Ta rozgrywka nie skończy się szybko. ©

COVID-OWE LĄDOWANIE NA NARODOWYM

W środę szpital tymczasowy na Stadionie Narodowym w Warszawie przyjął pierwszego pacjenta. W czwartek przeprowadzono zaś ćwiczenia z lądowania specjalnego COVID-owego śmigłowca. Na Stadion Narodowy mają trafiać pacjenci z Warszawy i Mazowsza, gdy w tradycyjnych szpitalach zabraknie już miejsc. Docelowo na stadionie ma zostać stworzonych 1,2 tys. miejsc, z czego 100 łóżek będzie przeznaczonych dla pacjentów wymagających szczególnej intensywnej terapii. (jap) ©



FOT. MATEUSZ WŁODARCZYK/FORUM

Z nową energią

Najnowsza inwestycja Grupy Energa
– farma wiatrowa w Przykonia



Farma Wiatrowa Przykonia:

- jedna z najnowocześniejszych farm wiatrowych w Polsce
- największe turbiny wiatrowe
- przyjazna środowisku
- redukcja emisji dwutlenku węgla
- rekultywacja terenów po kopalni węgla brunatnego
- produkcja prądu wystarczająca do zasilenia 30 000 gospodarstw domowych
- synergia i większe możliwości dzięki przynależności Energi do Grupy ORLEN





RAFAŁ A.
ZIEMKIEWICZ

PŁYWANIE W KISIELU

Rabiej, wracaj!

Podstawowa zasada medycyny to: „Primum non nocere” – po pierwsze nie szkodzić. Osobiście uważam, że to bardzo piękne ze strony wiceprezydenta stolicy odpowiedzialnego za szpitale, że w trakcie epidemii wziął sobie właśnie tę zasadę do serca i postanowił się w pracy powierzonej mu służby zdrowia nie wtrącać. Zważywszy, że powierzenie mu takich właśnie, a nie innych obowiązków nie wynikało z kompetencji Pawła Rabieja – bo o nim tu mowa – tylko z układu politycznego, a więc pomóc i tak by nie pomógł, nie mógł naprawdę zrobić nic mądrzejszego. A że, jak wiadomo, polityk jest pod stałą presją, żeby „coś zrobić”, Rabiej postanowił odciąć się od wszelkich pokus, wyjeżdżając

do Grecji. I to także zasługuje na pochwałę.

Przykrości, jakie go z tego powodu spotkały, uwięzione dymisją, są doprawdy zupełnie niezrozumiałe. Przecież przez tydzień greckich wakacji, jakie sobie zrobił, nikt w ogóle nieobecności wiceprezydenta Warszawy nie zauważył. Ani prezydent Trzaskowski, ani nikt inny z zarządu miasta, ani podwładni Rabieja z ratusza, ani – co chyba najważniejsze – warszawskie szpitale, których walkę z koronawirusem Rabiej teoretycznie nadzorował i koordynował. Dopiero wścibscy dziennikarze zauważyli, że gdy dzwonią do zastępcy prezydenta Warszawy, odzywa im się poczta głosowa po grecku. Powiedzmy szczerze: jeśli polityk nie potrafił przewidzieć

czegoś takiego, to do czego mógłby doprowadzić, gdyby zamiast uciec przed epidemią, zaczął się w pracę podległych mu jednostek wtrącać? Może jeszcze z różnymi genialnymi koncepcjami, mającymi mu zapewnić poklask wyborców? Czy naprawdę chce ktoś, aby teraz miejsce rozważnie wycofanego do Grecji Rabieja zajął jakiś ambitny peowiec, który, mając podobne jak poprzednik kompetencje, będzie się w przeciwieństwie do niego próbował „wykazać”?

Nie, chwila namysłu pokazuje, że żadnego realnego powodu, by Rabiej został ukarany, nie było. Jeśli mimo to został, to widocznie przyczyna była inna. Czy aby warszawski ratusz nie postanowił stać się „strefą wolną od LGBT”? ©©



MAREK JUREK

OD POZĄTKU

Konsternacja, nie reakcja

Coś się kończy, więc również coś się zacznie. To może być katastrofa, ale może też być nowy początek. Najważniejsze to rozumieć wydarzenia. Jak bowiem pisał Maurras – nie wystarczy mieć rację, trzeba ją jednak mieć, by się nie kręcić w kółko, ciągle naprawiając oduruchowo popełniane błędy. Wypadki ostatnich tygodni odślawiają dwie prawdy o naszym społeczeństwie, dziś o pierwszej z nich.

My, Polacy, często uważamy się za nonkonformistów. Tymczasem nasza polityczna kultura to nie tyle nonkonformizm, ile raczej – pozornie do niego podobna, jednak kolektywna – kultura trwania w zbiorowym oporze. Mamy dużą zdolność masowego sprzeciwu

wobec władzy obcej albo przynajmniej odrzucanej w naszym otoczeniu. Ale i to łatwo zamienia się w uległość wobec ośrodka, który narzuci się jako przywództwo takiego zbiorowego oporu. Gorzej wypadamy, gdy trzeba w małym gronie czy tym bardziej indywidualnie, konsekwentnie przeciwstawić się nie władzy, ale napierającym nastrojom i poglądom społecznym.

Przykładów potwierdzających to zjawisko jest wiele: abdykacja konserwatyzmu w dwudziestolecie międzywojennym, przywódcza bierność inteligencji łatwo poddającej się robotniczemu liderom w czasach Solidarności, słabość stronnictw w latach 90. (mimo odzyskanej

wolności politycznej!), a w końcu bezproblemowa akceptacja oligarchicznego systemu PO-PiS.

Po rozpoczęciu antykonstytucyjnych demonstracji władza w ogóle zamilkła, na sto godzin. Niestety, również w społeczeństwie pierwszym odruchem nie była ani chęć odpowiedzi manifestacjami na manifestacje (zakładając, że manifestować wolno), ani żądanie uniemożliwienia nielegalnych zgromadzeń (jeśli manifestować nie wolno). Można przyjąć założenie pierwsze lub drugie, a potem – wynikającą z przyjętego założenia opcję, ale trzeciej formy obrony przed rewolucją aborcyjną nie ma. Tymczasem zamiast wyboru jednej z możliwych dróg reakcję zastąpiła konsternacja. ©©

ROAMER

OF SWITZERLAND

SUPERIOR CHRONO



OVER
130 YEARS
SWISS HERITAGE



PIOTR KOWALCZYK
Z RZYMU

PIECZEŃ RZYMSKA

Socjologia futbolowa

Ostatnio we Francji znów uaktywnili się wyznawcy religii pokoju i obcinają głowy niewinnym za to, że satyryczne pismo „Charlie Hebdo” przedrukowało karykaturę Mahometa. Tę samą, która pięć lat temu kosztowała życie ponad połowę redakcji. W Paryżu za pokazanie tych rysunków w klasie zginął nauczyciel Samuel Paty.

Francuski minister edukacji Jean-Michel Blanquer na Twitterze opublikował filmiki z oświadczeniami piłkarzy francuskiej reprezentacji, którzy potępiają ten mord i solidaryzują się z bliskimi ofiary. Wystąpili wszyscy poza piątką wyznawców religii pokoju (Pogba, Kanté, Dembélé, Mendy, Kimpembé).

Równocześnie na Instagramie pojawił się wpis mistrza świata w bijatyce w klatkach, pochodzącego z Dagestanu muzułmanina Chabiba Nurmagomedowa. Błagał w nim Allaha, by oszczędził na zawsze twarz prezydenta Macrona za to, że potępiając mord na nauczycielu, swoją wypowiedzią o wolności słowa i przekonaniu obraził półtora miliarda muzułmanów.

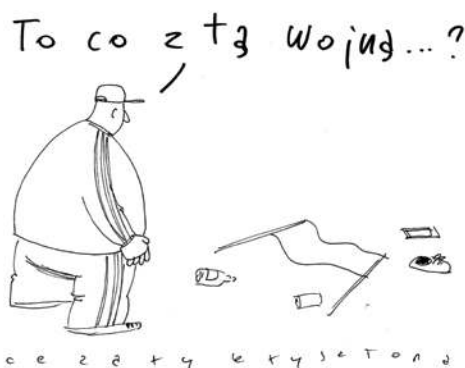
Pod wpisem pojawiło się 3 mln „lajków”. A wśród nich m.in. Benzemy, piłkarza Realu Madryt, Kimpembé (PSG), Bakayoko (Napoli), Youcefa Atala (OGC Nice). A Adil Rami, były obrońca reprezentacji Francji, ostro skrytykował Macrona na swojej stronie internetowej.

Jeśli nie są to dowody na klęskę polityki integracyjnej w bogatych krajach europejskich i absolutnej nieprzystawalności zachodniej kultury do tej, którą ci futboliści zawlekli ze sobą z islamskich satrapii lub wyssali z mlekiem matki, to nie wiem, co może nimi być.

W Rzymie po mordzie na Samuelu Patym demonstrowali tutejsi muzułmanie. Bynajmniej nie po to, by mordercę potępić. Nieśli profesjonalnie wykonane duże plansze po włosku i angielsku z napisem: NIECH ALLAH ZNISZCZY FRANCJĘ. MÓJ PROROK, MOJA DUMA. BOJKOTUJ FRANCJĘ.

Natomiast „La Luce” („Światło”), dziennik internetowy włoskich muzułmanów, alarmuje, że obecnie we Francji wyznawcy islamu padają ofiarą kampanii nienawiści. ©©

Autor jest korespondentem Polskiego Radia.



MIEDZY TWEETAMI

Marcin Makowski

Mądrość i odpowiedzialność

Każda rewolucja – poza protestującymi – ma swoich mentorów i myślicieli. Oddajmy im głos.

„Rzepliński napłut właśnie w twarz wszystkim, którzy walczyli na ulicach w obronie TK. Drodzy Państwo esteci, jeśli dziś nie wespriecie protestujących, do hasła »Wypierdalać« dopiszemy »wszyscy«. Dość tych dylematów!” – ogłosił Władysław Frasyniuk. Jeśli chodzi o aspekt pandemiczny, to posłuchajmy ekspertki z „Newsweeka”, „Dla takiego widoku warto leżeć w łóżku z covidem” – stwierdziła Renata Kim, komentując tłum na ulicach stolicy.

Z radą pospieszyli również weterani opozycji.

„To jest czas wyboru, czas decyzji, po czyjej stronie stoisz. Ostrzegam rząd i wszystkich lizusów, wazelinarzy i sprzedawczyków – wysłuchajcie ludzi, bo, jak po 1981 roku, odejdziecie w hańbie i niesławie” – pogroził Dariusz Rosati. „Pan akurat w 1981 r. był członkiem PZPR i pozostał nim do 1990 r., korzystając z możliwości licznych wyjazdów na Zachód. To tak tylko à propos Pańskich »lizusów, wazelinarzy i sprzedawczyków«” – przypomniał mu niestety dawne dzieje prof. Stanisław Żerko.

Wybitnych ideologów miała również druga strona barykady.

„Ciekawy jest wątek niemiecki: ciemne interesy Lempart we Wrocławiu, mBank, Wedel, Onet – czy Niemcy (byłe Stasi?) chcą odzyskać część haraczu dzięki podsterowanym przez milionerkę małolatom, po to, by wrócić z łapą do ich kieszeni, których już nie strzygą, dzięki PiS-owi i Banasiowi?” – ujawniła Ewa Stankiewicz-Jorgensen. Niezłe rozkminione, z tym że Wedel już od 2010 r. jest w rękach koncernu japońsko-koreańskiego.

Na koniec krótka historia o odpowiedzialności.

„Przepraszam za zaistniałą sytuację, nie miałem świadomości, że mój wniosek o wolne dni na rehabilitację po przejściu COVID-19 nie został w ubiegłym tygodniu zatwierdzony. To był mój błąd w systemie wniosków. W związku z tym będę jutro w Warszawie w pracy” – tweetnął z Grecji Paweł Rabiej. „W związku z tym, że wiceprezydent Paweł Rabiej odpowiedzialny w Urzędzie Miasta za obszar zdrowia w sytuacji epidemicznej udał się na urlop bez mojej wiedzy i zgody, podjąłem decyzję o jego dymisji” – odpowiedział mu z Warszawy Rafał Trzaskowski. ©©

Wszyscy pierwszoklasiści otrzymają bezpłatne książkowe wyprawki



Startuje kolejny etap realizowanej przez Instytut Książki kampanii społecznej „Mała książka – wielki człowiek”. W poprzednich latach specjalne czytelnicze wyprawki trafiały do noworodków i przedszkolaków. Tym razem akcja oprócz szpitali i bibliotek obejmie także szkoły podstawowe. Wszyscy pierwszoklasiści otrzymają wyjątkowe książki, zachęcające do nauki samodzielnego czytania.

Kampania „Mała książka – wielki człowiek” realizowana jest od 2017 roku. Wcześniej akcje czytelnicze obejmowały szpitale położnicze i biblioteki publiczne, w których najmłodsi otrzymywali atrakcyjne „wyprawki czytelnicze”. Tegoroczne hasło kampanii brzmi „Książka rośnie razem z człowiekiem”. Nawiązuje ono do procesu ewolucji jaką przechodzi młody czytelnik, sięgający z roku na rok po coraz trudniejsze i większe książki. Tym razem adresatami kampanii są pierwszoklasiści, którzy otrzymają „Pierwsze abecadło dla...”, wyjątkową książkę, która zachęci młodych uczniów do nauki samodzielnego czytania. Tegoroczne książkowe wyprawki trafią do wszystkich szkół podstawowych. Udział w programie jest bezpłatny zarówno dla szkół, jak i uczniów.

– Bardzo cieszymy się, że nasza kampania od czterech lat może się rozwijać. Przekonujemy w niej, że warto czytać razem z dziećmi od początku, warto odwiedzać z nimi biblioteki, a w domu wspólnie spędzać czas z książką w ręku. Tym razem chcemy zachęcać do nauki samodzielnego czytania, a bezpłatną książkę otrzyma każdy pierwszoklasista w Polsce. Pamiętajmy o tym, że mała książka buduje przyszłość wielkiego człowieka – mówi Dariusz Jaworski Dyrektor Instytutu Książki.

O popularności kampanii świadczą również stale powiększające się



grono jej ambasadorów. Do aktorskich par, takich jak Tamara Arciuch i Bartłomiej Kasprzykowski oraz Joanna Koroniewska i Maciej Dowbor dołączyło kolejne znane z ekranów małżeństwo. Mowa o Marcie Żmudzie Trzebiatowskiej i Kamilu Kuli, rodzicach trzyletniego syna i kilkunastoletniej córki. Artyści uważają, że dzięki rodzinnej lekturze, dzieci lepiej poradzą sobie zarówno w szkole, jak i w dorosłym życiu.

– Dzięki wspólnemu czytaniu dużo łatwiej wejść dziecku w szkolną rzeczywistość. Jak widzę, ile nasz syn zapamiętuje z czytanych mu książek to wydaje mi się, że dzięki temu będzie mu się dużo łatwiej kiedyś uczyło – twierdzi Marta Żmuda Trzebiatowska. – Jeśli człowiek ma kontakt z książkami od najmłodszych lat, to w późniejszym życiu czytanie będzie dla niego czymś naturalnym – dodaje Kamil Kula.

Wspólne czytanie nie tylko wzmacnia więzi pomiędzy rodzicami i ich pociechą, ale również wpływa na przyszłość młodego człowieka i kształtuje jego charakter. Prawidłowo dobrane książki rozwijają umysł dziecka i emocje. Kształtują też kompetencje językowe i rozbudzają wyobraźnię młodego człowieka. Wielu rodziców nie znajduje czasu na czytanie książek swoim dzieciom. Warto jednak codziennie poświęcić chociaż chwilę na wspólną lekturę. Marta Żmuda Trzebiatowska gorąco zachęca rodziców do podjęcia tej aktywności.

– Ważne jest, aby nie traktować wspólnego czytania jako obowiązku, tylko jako źródło przyjemności. Możemy poświęcić na to nawet pięć minut przed snem, wystarczy. Nie liczy się bowiem ilość, tylko jakość. Traktujmy to jako świetną zabawę! Trzeba iść na całość. Nie bójmy się wygłupiać, zmieniać głosy i śpiewać podczas czytania – apeluje aktorka.



FOT. PIWEL GORDONIA

ZĘBY MAŁGORZATY

Jest kolejna awanturka z udziałem Małgorzaty Rozenek-Majdan. A konkretnie jej zębów. Otóż celebrytka wrzuciła do sieci zdjęcie, na którym reklamuje aparat do wybielania zębów. – Po tej kwarantannie jedno jest pewne. Będę miała bardzo zszargane nerwy i bardzo białe zęby – podpisała.

Niby nic, a jednak wystarczyło, by wzburzyć część fanów, którzy zarzucili jej brak wiarygodności, bo przecież nosi sztuczne licówki, które i tak są białe. „Porcelany się nie wybiela, Małgosiu” – brzmiał jeden z komentarzy.

– Aniołku, z moimi zębami jak z moim wiekiem, są tacy, którzy wiedzą lepiej. Z reguły to ci, którym jest do twarzy w folii aluminiowej – odpisała celebrytka, nawiązując do tzw. foliarzy, którzy wierzą w teorie spiskowe. Kiedy w kraju szaleje pandemia, dobrze czasem zanurzyć się w alternatywną rzeczywistość, w której głównym problemem są zęby Małgorzaty Rozenek. Od razu robi się człowiekowi różniej.

ZĘBATA LICYTACJA

Sprawa zębów Małgorzaty Rozenek miała swój ciąg dalszy. Jako że celebrytka poczuła, iż nie przekonała swoich fanów, że ma naturalne zęby, postanowiła ogłosić konkurs w tej sprawie. „Uwaga! Konkurs!!! Wyzwanie raczej. Mam tu na profilu bardzo dużo dentyстів amatorów i nie tylko (podobno), którzy, tylko patrząc na zdjęcia, wiedzą wszystko o moim uzębieniu. Otóż zróbmy razem coś dobrego, wielkiego, bądźmy hojni. Założmy się o duże pieniądze na cele charytatywne. Zwycięzca wskazuje fundację. Proste zasady: jeżeli ktoś udowodni, że mam licówki (z przyjemnością poddam się badaniu), to ja przekazuję – ile? 100 tysięcy? – na cele charytatywne. Ale jeżeli to ja udowodnię inaczej, to ta osoba, która podjęła wyzwanie, wpłaci tę kwotę na wskazaną przeze mnie organizację pożytku publicznego. To co?! Jacyś chętni? – zaproponowała Małgorzata. Dziwaczne to wszystko. Jeśli chce przekazać pieniądze na cel charytatywny, to niech to po prostu zrobi. Wszyscy przykłaśniemy. Po co mieszać w to zęby?

WOLNOŚĆ OD GŁUPOTY

Aktorka Marta Wierzbicka narzeka, że w dobie pandemii nie ma co robić. W sensie, że pracy jest mało. – Chciałabym cofnąć moje słowa, kiedy mówiłam, że potrzebuję kilku dni wolnego, że nie chce mi się iść do pracy. Obiecuję sobie już nigdy nie narzekać na nadmiar pracy, jeśli takowy nastanie – stwierdziła celebrytka. – Niech ten rok już się kończy, bardzo grzecznie proszę – dodała. Fani szybko jej wytknęli, że sama przyczyniła się do wzrostu fali pandemii, bo brała udział w pro-

testach kobiet na ulicach Warszawy. Celebrytka postanowiła odpowiedzieć na zarzut. – Nie wiem, co tu trudnego w ogarnięciu? Chodzę na strajki, bo odczuwam taką potrzebę, to, że rząd naraża ludzi na zarażenie się przez swoje głupie decyzje, to nie mój problem – odpisała. Zaraz, a nie jest tak, że Marta protestowała w obronie wolności wyboru? To chyba w jej ramach mogła nie wychodzić z domu.

NA KONIEC ŚWIATA!

Inna aktorka Joanna Moro poinformowała, że chętnie by z Polski wyemigrowała na dłużej, bo w zasadzie nic jej tu nie trzyma. Zastanawia się nad Wyspami Kanaryjskimi. – Jak sytuacja na Wyspach Kanaryjskich? Myślę o wyjeździe, prawdę mówiąc, nic mnie tu nie trzyma oprócz chorób, stresu, paniki, braku pracy i smogu – pozałiła się. Popieramy. Tylko destynacja do przemyślenia. Proponowalibyśmy wyjazd gdzieś dalej. Żeby trudniej było wrócić.



FOT. TRUDORS/EAST NEWS

CIĘŻKIE ŻYCIE GWIAZDY

Tymczasem biedni celebryci skarżą się, oczywiście anonimowo, że bieda zmusza ich do robienia z siebie błaznów w najnowszym telewizyjnym show. Jak donosi Pudelek, za udział w nowym programie TVP „Anything Goes. Ale jazda” mogą dostawać nawet 12 tys. zł. Za odcinek! Kasa nie do pogardzenia, zwłaszcza w trudnych czasach. Chętnych więc nie brakuje. Pudelkowi jednak się skarżą, że to ciężki kawałek chleba. – Czuję się jak sprzedajna dz.wka. W rozmowach z innymi uczestnikami padało zawsze to samo: wewnętrzny wstyd i obrzydzenie do siebie. Takie poniżające i żałosne rzeczy robiliśmy za pieniądze, które powinny trafić na służbę zdrowia... Ale też mamy na utrzymaniu rodziny, mamy kredyty, chcemy jechać na wakacje – żali się na portalu Pudelek anonimowy celebryta. Nie widzimy problemu, by w ramach zmazania z siebie tego wstydu i obrzydzenia oddali swoje gaże na służbę zdrowia. Tylko co wtedy z wakacjami? © ©

Od psychologa do prawnika. Pomoc dla ofiar wypadków

Osoby pokrzywdzone w wypadkach drogowych nie są ofiarami jedynie fizycznymi. Tego typu zdarzenia to traumatyczne przeżycia, które mają ogromne skutki psychospołeczne. Fundusz Sprawiedliwości przygotował więc wiele rozwiązań, które pomagają ofiarom wrócić do normalnego życia



Mimo coraz lepszej sieci dróg wypadki drogowe są uznawane za jeden z największych problemów zdrowia publicznego w Polsce. Brawura, nadmierna prędkość czy prowadzenie samochodu pod wpływem środków odurzających prowadzą do wielu życiowych tragedii.

W roku 2019 doszło do 30 288 wypadków drogowych, w których zginęło 2909 osób, a rannych zostało aż 35 477 osób. Za statystykami zawsze kryją się dramaty rodzin, które straciły bliskich, tragedie tych, którzy na zawsze zostali niepełnosprawni lub przed którymi tygodnie, miesiące, a czasem długie lata rehabilitacji oraz walki o odzyskanie zdrowia. Często ofiary wypadków, aby wrócić do normalnego życia, muszą też przejść bardzo skomplikowane leczenie.

WSPARCIE DLA OFIAR

Poszkodowani w wypadkach drogowych oraz ich rodziny mogą liczyć na kompleksowe wsparcie Funduszu Sprawiedliwości. Do ustawowych zadań Funduszu należy udzielanie pomocy poszkodowanym i przywracanie ich do normalnego życia. Zatrudnieni w ośrodkach pomocy prawnicy pomagają więc ofiarom wypadków m.in. w analizie dokumentów, składaniu wniosków czy przygotowaniu pism. Specjalistycznym bezpłatnym wsparciem służą również psychologowie, psychiatry oraz psychoterapeuci – to dzięki nim poszkodowa-

nym łatwiej uporać się choćby z zespołem stresu pourazowego (PTSD), czyli najczęściej spotykanym zaburzeniem występującym wśród ofiar wypadków drogowych.

Fundusz Sprawiedliwości osobom poszkodowanym w wypadkach drogowych udziela także pomocy w zakresie rehabilitacji oraz zakupu leków, sprzętu ortopedycznego i medycznego niezbędnego w powrocie do zdrowia.

WSPARCIE DLA KLINIK

Fundusz Sprawiedliwości, którego dysponentem jest minister sprawiedliwości, wspiera też finansowo szpitale w wielu miejscach Polski, dzięki czemu np. w szpitalu klinicznym w Otwocku powstał nowoczesny ośrodek replantacji kończyn (na wyposażenie tej placówki w nowoczesny sprzęt Fundusz Sprawiedliwości przeznaczył ponad milion złotych), a Centralny Szpital Kliniczny MSWiA w Warszawie został wyposażony w trójwymiarowe urządzenie do stosowania implantów kręgosłupa. Implanty takie są używane m.in. w przypadku ciężkich urazów kręgosłupa u ofiar wypadków komunikacyjnych. Dofinansowanie z Funduszu Sprawiedliwości, wynoszące 1,2 mln zł, pozwoliło także na zakup zestawu do neuromonitoringu mózgowo-rdzeniowego.

Fundusz sfinansował też utworzenie Kliniki „Budzik” dla dorosłych – Fundacja Ewy Błaszczuk „Akogo?” otrzymała

na ten cel niemal 40 mln zł. Pieniądze przekazane przez ministra sprawiedliwości Zbigniewa Ziobrę w marcu 2019 r. zostały przeznaczone na budowę oraz nowoczesne wyposażenie placówki w Warszawie, w której ratunek znajdują ludzie, którzy zapadli w śpiączkę. Wielu z nich to ofiary przestępstw, w tym wypadków drogowych.

Fundusz Sprawiedliwości przeznaczył także pieniądze na kamizelki odbłaskowe dla 3 mln dzieci w ramach wielkiej kampanii społecznej „Dobrze Cię widzieć”, mającej na celu ochronę najmłodszych uczestników ruchu drogowego.

Na wsparcie mogą liczyć także strażacy ochotnicy. To oni często jako pierwsi docierają na miejsce zdarzenia i niosą pomoc ofiarom wypadków – przestępstw w ruchu drogowym. Fundusz Sprawiedliwości przeznaczył więc ponad 100 mln zł na nowoczesny sprzęt ratowniczy dla Ochotniczych Straży Pożarnych.

GDZIE SZUKAĆ POMOCY?

Każdego dnia do ośrodków i punktów Funduszu Sprawiedliwości zgłaszają się ludzie, którzy potrzebują wsparcia finansowego, psychologicznego lub prawnego wskutek zdarzeń na drodze.

Dzięki wsparciu Funduszu obecnie w Polsce działa już 370 miejsc, które świadczą pomoc ofiarom przestępstw i ich rodzinom. Aby otrzymać taką pomoc, wystarczy do nich przyjść, wysłać e-mail lub zadzwonić. Adresy i kontakty do wszystkich ośrodków dla pokrzywdzonych w całej Polsce są dostępne na stronie: www.funduszsprawiedliwosci.gov.pl.

Lista punktów pomocy jest też dostępna na interaktywnej mapie: www.funduszsprawiedliwosci.gov.pl/pl/znajdz-osrodek-pomocy/.

Można również zadzwonić i uzyskać poradę oraz adres najbliższego ośrodka (Linia Pomocy Pokrzywdzonym 222 309 900) lub napisać na adres e-mail: info@numerosos.pl.



MŁODZI WYKSZTAŁCENI I Z WIELKICH OŚRODKÓW

Kochani, jesteśmy głęboko zdegustowani postawą rządu, który zapowiedział wprowadzenie „narodowej kwarantanny”, jeśli liczba zachorowań na koronawirusa dalej będzie zapieprzać jak przeciętny janusz na wyprzedaż Harnasia.

Czy w związku z tym wszyscy, którzy nie przynależą do wąsko pojętego „na-

do języka i miejsca zamieszkania, więc jakby co, to my się do kwarantanny nie poczuwamy.

No, chyba że to kolejny element polegający na dzieleniu ludzi i dyskryminowaniu obcokrajowców, wtedy apelujemy o to, izby kwarantannę nazwać „państwową” albo – jeszcze lepiej – „międzynarodową”. Wtedy nikt nie byłby wykluczony.

Połączcie, kochani, fakty. Jakoś tak jednocześnie premier z ministrem zdrowia zapowiadają, iż być może niebawem wszyscy będziemy siedzieć w domach, a w dodatku będzie utrudniony dostęp do antykoncepcji.

W tej sytuacji pojawia się zasadne pytanie: Czy przypadkiem p(l)andemia nie została wywołana celowo, aby zwiększyć populację Polaków?

Wszystko więc wygląda na to, że jesteśmy obecnie świadkami wielkiego eksperymentu demograficznego, który ma uratować przyrost naturalny w tym kraju, jednocześnie nadwyrażając budżet państwa na przyszłe świadczenia w ramach „500+”.

W odpowiedzi na rosnące zapotrzebowanie
otwieramy kolejne hale Piekieł Kobiet



rodu polskiego”, nie będą objęci kwarantanną? Jakie kryterium będzie decydowało o zaliczeniu w poczet Polaków i objęciu kwarantanną?

Jakby co nasze związki z polskością są dość luźne i sprowadzają się głównie

Pod płaszczykiem pandemii i „narodowej kwarantanny” w Sejmie pojawił się projekt, który – long story short – może ograniczyć możliwość legalnego zakupu prezerwatyw.

Widać, iż ten rząd zdecydowanie faworyzuje kiboli kosztem ludzi łaknących kultury. Rozgrywki sportowe zostały utrzymane, a placówki kulturalne zamknięte.

Nowy z Tarnowa miał na to of kors swoje wytłumaczenie, iż tak jak mecze piłkarskie odbywają się bez publiczności, tak w tym samym trybie działają muzea.

Naszym zdaniem to jednak chodzi o podtrzymanie stanu pobudzenia u kiboli, którzy potem mają bronić elewacji kościołów przed aktami sztuki nowoczesnej :(©©



**FASHYSM NIE PRZEJDZIE! BĄDŹ
Z NAMI OSOM NA FEJSIKU:**

FB.COM/MWIZWO

PODSŁUCHANE

Pasmanterie

Panie ministrze... Mam sprawę.
Słucham, panie Piotrze?

Dziennikarze mnie pytają, dlaczego my te muzea zamykamy.
To niech pan odpowiada.

Tylko ja sam nie wiem za bardzo, dlaczego. Nawet byłem ostatnio w Muzeum Narodowym,

nie żebym coś zwiedzał, ale zimno było i ogrzać się chciałem, i tam pusto było kompletnie.

Nie wiem, co panu odpowiedzieć. Ja za szpitale odpowiadam, nie za muzea.

No, ale jak pytałem pana ministra Glińskiego, to mnie do pana odesłał.

Pan myśli, że ktoś to wie? Niech pan coś wymyśli. Na przykład, że ludzie do tych muzeów jeżdżą i tak się zarażają.

Ale my sami ustaliliśmy niby-bezpieczne limity w komunikacji...

A kto o tym pamięta? A w ogóle to tam jest lista, na biurku, pan mi poda.

Co to jest?

Lista kolejnych branż do zamknięcia, co tam jeszcze działa. Dobra, pan tu położy, teraz pan zamknij czy i proszę palcem coś wskazać.

Pasmanterie.

– No. I już wiadomo: za trzy dni zamykamy pasmanterie. ©©

Łukasz Warzecha

OD RZECZY

„[...] nie miałem świadomości, że mój wniosek o wolne dni na rehabilitację po przejściu COVID-19 nie został w ub. tyg. zatwierdzony”

PAWEŁ RABIEJ, wiceprezydent Warszawy
odpowiedział m.in. za politykę zdrowotną,
na Twitterze, chwilę przed dymisją za to,
że wypoczywał w Grecji podczas trudnej
sytuacji związanej z pandemią

*Kto nie szanuje i nie ceni swojej przeszłości,
ten nie jest godzien szacunku, teraźniejszości
ani prawa do przyszłości.*

Józef Piłsudski

DO
RZECZY

HISTORIA
DO
RZECZY



STRAŻNIK PAMIĘCI

2020

WIĘCEJ INFORMACJI: DORZECZY.PL/STRAZNIK-PAMIECI

MECENAS



PARTNER STRATEGICZNY



PARTNER





Skuteczna walka z przestępstwami seksualnymi.

Polki chronione lepiej, niż apelują o to twórcy konwencji stambulskiej

Ofiary przestępstw seksualnych są lepiej chronione mocą polskich przepisów, niż wynikałoby to z zapisów konwencji stambulskiej. Potwierdzają to nie tylko zapisy prawne, lecz także statystyki unijne. Wypowiedzenie konwencji jest naturalnym krokiem w kierunku jeszcze większego wzmocnienia ochrony pokrzywdzonych

Konwencja stambulska – którą prezydent Bronisław Komorowski ratyfikował 13 kwietnia 2015 r. – wywołuje coraz większe kontrowersje. Dotyczą one przede wszystkim kwestii jej niezgodności z polską konstytucją, ideologicznego charakteru, a także błędnej identyfikacji przyczyn przemocy.

Jednym z najbardziej kontrowersyjnych zapisów konwencji jest wprowadzenie pojęcia „płci społeczno-kulturowej” w odróżnieniu od „płci biologicznej”. Takie podejście, niepotrzebnie wprowadzające do dokumentu lewicową ideologię, nie pomaga, a wręcz szkodzi skuteczności działań antyprzemocowych. Rozmywa bowiem kategorię płci, przez co utrudnia zwalczanie przemocy wobec kobiet.

Ten balast ideologiczny – podobnie jak pewne wady w prawnej konstrukcji dokumentu – sprawił, że wiele krajów odmówiło jego przyjęcia. Wśród państw, które nie zdecydowały się na ratyfikację, są m.in. Węgry, Wielka Brytania, Słowacja oraz Bułgaria. Polska rozważa zaś wypowiedzenie konwencji stambulskiej, bo chociaż zawiera ona wiele słusznych postulatów dotyczących zapobiegania i zwalczania przemocy wobec kobiet m.in. na tle seksualnym, to wszystkie one są już spełnione w polskich przepisach, a wielu przypadkach polskie prawo wykracza nawet ponad ramy zdefiniowane w konwencji.

POSTANOWIENIA KONWENCJI STAMBULSKIEJ

Konwencja uznaje, że „kobiety i dziewczęta są często narażone na poważne formy przemocy takie jak: przemoc domowa, molestowanie seksualne, gwałt, małżeństwo z przymusu, tak zwane przestępstwa w imię honoru i okaleczanie narządów płciowych, które stanowią poważne naruszenie praw człowieka wobec kobiet i dziewcząt i główną przeszkodę w osiągnięciu równouprawnienia kobiet i mężczyzn”.

Konwencja uznaje też, że „przemoc wobec kobiet” rozumie się jako naruszenie praw człowieka oraz formę dyskryminacji kobiet, w tym wszelkie akty przemocy ze względu na płeć, które prowadzą lub

mogą prowadzić do fizycznej, seksualnej, psychologicznej lub ekonomicznej szkody lub cierpienia kobiet, w tym również groźby takich aktów, sytuacje przymusu lub arbitralnego pozbawienia wolności, zarówno w życiu publicznym, jak i prywatnym. Definiuje także przemoc domową jako wszelkie akty fizycznej, seksualnej, psychologicznej lub ekonomicznej przemocy występujące w rodzinie lub gospodarstwie domowym lub pomiędzy byłymi lub obecnymi małżonkami lub partnerami, niezależnie od tego, czy sprawca i ofiara dzielą miejsce zamieszkania, czy też nie.

W art. 16 konwencji stambulskiej, dotyczącym interwencji profilaktycznej i programów leczenia, czytamy również, że „strony podejmą środki prawne lub inne działania konieczne do utworzenia lub wsparcia programów leczenia zapobiegających ponownemu popełnianiu przestępstw, w szczególności na tle seksualnym”. Artykuł 17 stanowi, że „we współpracy z sektorem prywatnym strony rozwijają i promują wśród dzieci, rodziców oraz wychowawców umiejętności radzenia sobie w środowisku informacyjnym i komunikacyjnym, zapewniającym dostęp do poniżających treści o charakterze seksualnym lub brutalnym, które mogą być szkodliwe”. W art. 25 czytamy z kolei, że „strony podejmują konieczne środki prawne lub inne działania mające na celu utworzenie odpowiedniej liczby łatwo dostępnych ośrodków świadczących pomoc dla ofiar gwałtów lub przemocy seksualnej w zakresie badań lekarskich i sądowych, wsparcia pourazowego oraz poradnictwa”.

W art. 36 czytamy zaś, że:

„1. Strony podejmują konieczne działania ustawodawcze lub inne mające na celu zagwarantowanie, że następujące umyślne działania podlegają odpowiedzialności karnej:

a. dokonywanie penetracji waginalnej, analnej lub oralnej o charakterze seksualnym drugiej osoby jakiegokolwiek częścią ciała lub jakimkolwiek przedmiotem bez zgody tej osoby;

b. dokonywanie innych czynności o charakterze seksualnym wobec drugiej osoby bez zgody tej osoby;

c. doprowadzenie drugiej osoby bez jej zgody do podjęcia czynności o charakterze seksualnym wobec osoby trzeciej.

2. Zgoda musi być udzielona przez osobę zdolną do składania oświadczeń woli, co należy ocenić w świetle danych okoliczności.

3. Strony podejmują konieczne działania ustawodawcze lub inne mające na celu zagwarantowanie, że postanowienia ustępu 1 niniejszego artykułu mają zastosowanie również do czynności dokonywanych wobec byłych lub obecnych współmałżonków lub partnerów, uznawanych na mocy przepisów prawa krajowego”.

Do molestowania seksualnego odnosi się z kolei art. 40: „Strony podejmują konieczne działania ustawodawcze lub inne mające na celu zagwarantowanie, że wszelkie formy niepożądanych działań werbalnych, niewerbalnych lub fizycznych o charakterze seksualnym, skutkujące naruszeniem godności danej osoby, w szczególności w atmosferze zastraszania, wrogości, upodlenia, poniżenia lub obrazy, podlegają odpowiedzialności karnej lub innej odpowiedzialności prawnej”. W art. 54 konwencja stambulska wzywa zaś: „Strony podejmują konieczne środki prawne lub inne działania mające na celu zagwarantowanie, że w jakimkolwiek postępowaniu cywilnym lub karnym dowody związane z doświadczaniami i zachowaniami seksualnymi ofiary zostaną dopuszczone wyłącznie w sytuacjach, w których takie dowody są zasadne i konieczne”, a w artykułach 24 i 57 wzywa do utworzenia ogólnokrajowych, całodobowych, bezpłatnych telefonów zaufania świadczących porady w sprawie wszelkich form przemocy objętych zakresem niniejszej konwencji, z poszanowaniem poufności lub anonimowości osób dzwoniących, a także do zapewnienia ofiarom bezpłatnej porady prawnej.

Generalnie cenny jest także zapis, który znajduje się w art. 55 konwencji stambulskiej, a który mówi o tym, że przestępstwo zgwałcenia powinno być ścigane z urzędu, a nie jedynie na wniosek ofiary. „Strony dopilnują, aby dochodzenia sądowe lub ściganie przestępstw określonych w artykułach 35, 36, 37, 38 i 39 niniejszej konwencji nie były całkowicie zależne od zgłoszenia lub doniesienia wniesionego przez ofiarę, jeśli przestępstwo zostało dokonane w całości lub częściowo na terytorium takiej strony oraz ponadto zagwarantują, że postępowanie może być

kontynuowane, nawet jeśli ofiara wycofa swoje zeznania lub doniesienie” – głosi punkt 1 wspomnianego art. 55.

W Polsce projekt ustawy zmieniającej tryb ścigania przestępstwa zgwałcenia pojawił się już w maju roku 2012. Wcześniej, podobnie jak w Kodeksie karnym z roku 1932 oraz z roku 1969, przestępstwo zgwałcenia określone w art. 197 Kodeksu karnego było ścigane tylko na wniosek osoby pokrzywdzonej. To ważna zmiana: gdy bowiem ciężar decyzji w zakresie ścigania sprawcy spoczywał na ofierze przestępstwa, często oprawcy pozostawali bezkarni, górę brał bowiem strach osoby poszkodowanej, poczucie niepewności czy też wstydu.

Zmiana trybu na ściganie przestępstwa gwałtu z urzędu – podobny tryb obowiązuje w większości krajów Unii Europejskiej, od Austrii poprzez Francję i Niemcy aż do Wielkiej Brytanii – sprawia zaś, że aby wszcząć postępowanie karne, nie tylko nie jest wymagana żadna inicjatywa ze strony osoby pokrzywdzonej, ale że proces karny może zostać wszczęty nawet wbrew woli ofiary. Gwałt jest bowiem na tyle poważnym przestępstwem, że istnieje ewidentny interes społeczny w tym, aby ścigać jego sprawców, nawet gdy jego ofiara z różnych przyczyn pozostaje bierna lub gdy jest nieporadna życiowo czy cierpi na choroby psychiczne. Ściganie z urzędu ułatwia także pociągnięcie do odpowiedzialności tych gwałciicieli, których ofiarami padały osoby bliskie sprawcy przestępstwa. Złożenie wniosku o ściganie osób bliskich często ściągało bowiem na ofiary dodatkową traumę w postaci braku akceptacji tej decyzji ze strony rodziny czy też odrzucenia ze strony przyjaciół.

Warto jednocześnie zauważyć, że polski Sejm ustawę nowelizującą ten przepis przyjął 13 czerwca 2013 r., a więc niemal dwa lata przed ratyfikacją przez prezydenta Bronisława Komorowskiego konwencji stambulskiej. Jeszcze przed ratyfikacją polska ustawa o zmianie ustawy Kodeks karny oraz ustawy Kodeks postępowania karnego zdążyła już zaś wejść w życie (stało się to 27 stycznia 2014 r.).

SILNIEJSZA OCHRONA BEZ IDEOLOGII

Polskie władze od lat prowadzą działania wykraczające ponad ramy konwencji. O skuteczne narzędzia do walki z przemocą wobec kobiet i przemocą w rodzinie od lat zabiega również Ministerstwo Sprawiedliwości.



Jak pokazują statystyki, działania te przynoszą oczekiwany skutek. Według danych Agencji Praw Podstawowych Unii Europejskiej w Polsce przemocy doświadcza 19 proc. kobiet, tymczasem średnia unijna wynosi 33 proc., a w krajach skandynawskich (gdzie ideologia zawarta w konwencji stambulskiej jest najsilniejsza) aż 40–50 proc. kobiet.

Myli się również ten, kto uważa, że tak dobra pozycja Polski na tle innych państw Unii Europejskiej wynika po prostu z niskiej zgłaszalności aktów przemocy. Statystyki Agencji Praw Podstawowych Unii Europejskiej pokazują bowiem jednoznacznie, że i w tej kategorii Polska radzi sobie lepiej niż znane z liberalnego stosunku do lewicowych ideologii kraje skandynawskie.

Polska mogła się również pochwalić najlepszym w Europie wskaźnikiem w obszarze przemocy w Zaktualizowanym Wskaźniku Równości Płci przygotowanym przez Europejski Instytut Równości Kobiet i Mężczyzn (European Institute for Gender Equality). Było to pierwsze tego typu badanie, w którym uwzględniono m.in. obszar przemocy wobec kobiet. W skali od 1 do 100, na której 1 oznacza sytuację, w której przemoc wobec kobiet nie istnieje, a 100 sytuację, w której jest ona powszechna, bardzo dotkliwa i nieujawniona, średni wynik w Unii Europejskiej wyniósł 27,5. Wśród państw członkowskich Unii Europejskiej niekwestionowanym liderem ochrony praw kobiet była Polska z wynikiem (22,1). Najpoważniejszy problem z przemocą wobec kobiet miała



gwałt czy zmuszanie do innych czynności seksualnych są ścigane z urzędu, czyli organy ścigania muszą podjąć odpowiednie czynności, gdy tylko dowiedzą się o prawdopodobnym popełnieniu przestępstwa tego typu.

Dzięki tzw. ustawie antyprzemocowej sprawcy przemocy domowej, w tym przemocy seksualnej, mogą być natychmiast izolowani od swych ofiar. To ważne, ponieważ tylko w roku 2019 w policyjnych statystykach odnotowano 1238 przypadków przemocy seksualnej – do tej formy przemocy zaliczane są nie tylko gwałt czy molestowanie, lecz także wymuszanie zachowań seksualnych, na które druga strona nie wyraża zgody, wymuszanie seksu z osobami trzecimi, sadyistyczne formy współżycia seksualnego czy krytyka zachowań seksualnych.

Znowelizowane ustawy o policji i żandarmerii wojskowej pozwalają policjantom na podjęcie decyzji o natychmiastowej eksmisji sprawcy przemocy domowej z zastosowaniem zakazu zbliżania się do ofiar. Nowe prawo połączone jest z bardzo szybką ścieżką kontroli tej decyzji przez sąd. Zapisów tego typu próżno szukać w zdominowanej przez lewicową ideologię konwencji stambulskiej.

W tzw. ustawie antyprzemocowej zawarto również przepisy zwalniające z kosztów sądowych osoby poszkodowane w wyniku przemocy domowej, co również postulowali twórcy konwencji stambulskiej. Ekspert Ministerstwa Sprawiedliwości pracują także nad projektami zmian kolejnych ustaw, w tym np. nad zaostrzeniem kar za przestępstwa seksualne, a zwłaszcza za brutalne gwałty.

POMOC DLA OFIAR I PREWENCJA PEDOFILII

W 2016 r. polski rząd wprowadził wzorem m.in. Stanów Zjednoczonych Rejestr Sprawców Przestępstw na tle seksualnym. Podzielono go na część jawną (powszechnie dostępną w Internecie) oraz część z dostępem ograniczonym m.in. do policji oraz sądów. W pierwszej z nich znajdują się nazwiska oraz zdjęcia kilkuset osób skazanych za zgwałcenie osoby małoletniej, gwałt ze szczególnym okrucieństwem oraz w przypadku przestępstw seksualnych popełnionych w warunkach recydywy. Aby łatwiej chronić swoje dzieci, każdy może sprawdzić, czy w okolicach jego domu czy szkoły mieszkają osoby skazane za tego typu przestępstwa. Na stronach policji znajduje się też mapa miejsc szcze-

gólnego zagrożenia przestępczością na tle seksualnym.

Fundusz Sprawiedliwości udziela również bardzo konkretnej pomocy pokrzywdzonym przestępstwem seksualnym. Pracownicy znajdujących się w wielu polskich miastach ośrodkach pomocy udzielają wsparcia psychologicznego (psychologa, psychoterapeuty, psychiatry). Zapewniają także ofiarom przestępstw seksualnych wsparcie prawne (od analizy dokumentacji do pomocy w przygotowaniu i złożeniu wniosku). Udzielają także niezbędного wsparcia materialnego oraz pomocy w znalezieniu bezpiecznego schronienia.

Dzięki wsparciu Funduszu Sprawiedliwości obecnie w Polsce działa już 370 miejsc, które świadczą pomoc ofiarom przestępstw i ich rodzinom. Aby otrzymać taką pomoc, wystarczy do nich przyjechać, wysłać e-mail lub zadzwonić. Adresy i kontakty do wszystkich ośrodków dla pokrzywdzonych w całej Polsce są dostępne na stronie: www.funduszsprawiedliwosci.gov.pl.

Lista punktów pomocy jest też dostępna na interaktywnej mapie: www.funduszsprawiedliwosci.gov.pl/pl/znajdz-osrodek-pomocy/.

Można również zadzwonić i uzyskać poradę oraz adres najbliższego ośrodka (Linia Pomocy Pokrzywdzonym 222 309 900) lub napisać na adres e-mail: info@numeros.pl.

Prowadząc ogólnokrajową linię telefoniczną wsparcia dla ofiar przemocy, a także prowadząc konkretne działania informujące o prawach przysługujących poszkodowanym oraz biorąc udział w licznych antyprzemocowych kampaniach społecznych, Polska nie tylko wypełnia kolejne punkty konwencji stambulskiej, lecz także kolejny raz idzie krok dalej, niż wymagałyby tego ten dokument.

Po analizie kluczowych zapisów konwencji stambulskiej można szybko dojść do wniosku, że obowiązujące w Polsce od lat instrumenty prawne oraz przepisy prawa karnego dotyczące ochrony pokrzywdzonych zapewniają co najmniej taki sam standard ochrony jak ten postulowany w konwencji stambulskiej. A skoro kontrowersyjny ze względu na zapisy ideologiczne dokument nie zawiera już nowych inspiracji dla prawników i dla polityków, można więc rozważyć wypowiedzenie konwencji stambulskiej i skupienie się na poszukiwaniu nowych, jeszcze skuteczniejszych form przeciwdziałania przemocy seksualnej.

zaś Bułgaria (jej wynik wyniósł 44,2). Pomiar dotyczył trzech aspektów: rozpoznania przemocy wobec kobiet, jej dotkliwości oraz skali ujawnienia. Polska, według wspomnianego badania, najgorzej radziła sobie w obszarze skutków, których doświadczają kobiety w wyniku przemocy. To jedyny aspekt, w którym Polska oceniona została poniżej unijnej średniej (77,9 wobec 68,9), w pozostałych obszarach lokowała się znacznie lepiej niż inne kraje UE.

W 2017 r. w ustawach nowelizujących Kodeks karny i Kodeks postępowania karnego zaostrzono niektóre kary dla sprawców przestępstw pedofilskich, podnosząc kary za przestępstwa dokonywane na dzieciach. 30 kwietnia 2020 r. Sejm niemal jednogłośnie uchwalił zaś przygotowaną w Ministerstwie Sprawiedliwości tzw. ustawę antyprzemocową, która weszła w życie w listopadzie tego roku.

Zmienione przepisy zapewniają ofiarom nie tylko poczucie bezpieczeństwa, lecz także poczucie sprawiedliwości. Zmieniona ustawa wzorowana jest na rozwiązaniach stosowanych z powodzeniem w innych krajach Europy (m.in. w Austrii, Czechach czy w Hiszpanii). Dzięki nowemu prawu obywatele Polski cieszą się jednym z najwyższych poziomów ochrony w Europie i na świecie.

Polska policja musi udzielić pomocy poszkodowanej ofierze, a jeśli to konieczne, wezwać pogotowie oraz zapewnić jej doraźne bezpieczeństwo. Policja ma również prawo zatrzymać sprawcę przemocy, zwłaszcza że czyni takie jak

Głupia sprawa, jak to się plany rozmaite same wysadzają w powietrze. Po wyroku TK w sprawie aborcji i dziwnych reakcjach dziwnych osobników – na przykład Krzysia Bosaka – na Nowogrodzkiej pojawiła się nadzieja na aborcyjne rozbięcie Konfederacji. Że łże-prawica zostanie tam, a prawdziwa prawica jednak skłoni się ku PiS. Niestety, okazuje się, że szybciej nastąpi aborcyjne rozbięcie PiS. Jak szybko? Policzcie mniej więcej do 27. Zdaje się, że tyłu posłów Zjednoczonej Prawicy nie zamierza poprzeć projektu prezydenta Andrzeja Sebastiana w tej sprawie.

Sprawa jeszcze głupsza – okazuje się, że Zjednoczona Prawica będzie miała za chwilę dodatkowy człon, który będzie się znajdował poza koalicją, ale zapewne będzie głosował tak jak koalicja w różnych sprawach. Oprócz zwierząt. Chodzi o buntowników, którym nie podobała się „piątka dla zwierząt”, którzy zostali za to przeczolągani i teraz oczekują przeprosin. Ale się jakoś nie mogą doczekać, mimo że starej „piątki” nie ma, a będzie nowa.

Ciała nadzieja teraz w radykalnej lewicy. Musi atakować więcej kościołów. Tylko wtedy ziści się przepowiednia senatora peezlu Libickiego Jana Filipa, że „wszyscy skończymy w PiS”. Przy okazji pytanie do tzw. konserwatywnych posłów PeŁo albo zwyczajnie – wierzących posłów PeŁo: Jak się czujecie w partii, której liderzy popierają to, co wyczyniają lewacy pod świątyniami?

Na razie przesunięto posiedzenie Sejmu. Słyszeliśmy, że można jeszcze przesunąć.

Mamy problem – jak właściwie nazwać ten nowy ruch, który to niby jest Ogólnopolskim Strajkiem Kobiet? OSK nie brzmi dobrze i nie oddaje sedna sprawy. Zgadzając się więc z tymi, którzy wskazują, że to taki nowy bardziej wściekły KOD, proponujemy Komitet Obrony Zabijania. W skrócie KOZA. KOZDNAZ byłoby trochę zbyt długie, choć też akuratne: Komitet Obrony Zabijania Dzieci Na Żądanie.

W pierwszej wersji powyższej notki napisaliśmy: „jak właściwie ochrzcić ten nowy ruch”, ale

zmieniliśmy zdanie. Chrzt w tym przypadku niewiele da, tutaj jest potrzebny egzorcysta.

Niektórzy oburzają się na „Tygodnik Powszechny”, że niby-katolicki, a wspiera Strajk Kobiet, tzn. tfu, KOZ-ę (Komitet Obrony Zabijania). Oj tam, oj tam, wszyscy przecież wiedzą, że „TP” to pismo katolickie dla niewierzących. Ale miesięcznik dla niewierzących „Znak” jest jeszcze lepszy. Właśnie przygotował numer pod hasłem „Kościół bez Jezusa”.

Lewica tymczasem poczuła siłę i czas. Strajk kobiet, tzn. KOZA, sprawił, że są przekonani, iż już maluczko, a rząd Zjednoczonej Prawicy upadnie, potem już tylko rząd tymczasowy i wreszcie nastanie czas rad robotniczych. Jest tylko jeden problem – w Lewicy nie ma ani jednego robotnika. Ale mniejsza o to.

Formalnie na Lewicy panuje Włodek Czarzasty. Panuje jak widmo, bo nie rządzi. Rządzi bowiem Anna Maria, co piękną ma twarz i uchodzi za bliską przyjaciółkę Włodka. Jest jednak pewien problem. Włodek chciałby budować

dwaj panowie



FOT. ROBERT CARZYSTKI

europęjską socjaldemokrację, natomiast Anna Maria optuje za frakcją rewolucyjną. Z grubsza rzecz biorąc, przypomina to spór między mienszewikami a bolszewikami. Historia powtarza się jako farsa.

Sport, jak wiadomo, jest jak polityka, tylko mniej emocjonujący. My w tej sprawie. Ostatnio świat sportu żyje tym, jak prokuratura kazała zatrzymać Cezarego Kucharskiego, menago, który miał szantażować Roberta Lewandowskiego, futbolistę. Proponujemy alternatywne spojrzenie. „Były poseł PO szantażuje znanego wyborcę PO? PiSowska prokuratura wkracza do akcji!”. Co do preferencji wyborczych Roberta – pamiętamy, jak w reprezentacji się kłócili. Lewy i Błaszczkowski. Bo pierwszy był za PO, a drugi za PiS.

Przy okazji – dziwna prawidłowość. Nie wiedzieliśmy z początku, czy kibicować Lechowi Poznań w Lidze Europy, bo bramkarz Bednarek opowiadał w wywiadzie jakieś duby smalone o złym Kaczafim i chwalał LGBT. Wkroczyła Opatrzność. Po wywiadzie Bednarka Lech przegrał z Benfiką. Następnie piłkarz Puchacz bredził o KOZ-ie, czyli Strajku Kobiet, i o tym, jak bardzo go popiera. Lech przegrał z Rangersami. Dopiero kiedy futboliści przymknęli japo i przestali gadać bzdury, Lech wygrał ze Standard Liège. Interesujące.

Ijeszcze pytanko do telewizji Canal Plus. Czy jak ktoś przyjdzie u nich do programu live z wielkim logo PiS na marynarze, to będzie mógł wystąpić, czy nie? Bo gościa z wielkim logo Strajku Kobiet widzieliśmy niedawno w programie „Wysoki pressing”. Ten sam koleś, który wciąż zapraszany jest do TVP Sport, gdzie opowiada o „reżimie Orbána”. W Canal Plus był jeszcze lepszy, bo mówił o „wielu-settysięcznych demonstracjach” i nie, nie chodziło o publikę na stadionach.

Ze świata. Dzięki amerykańskim wyborom dowiedzieliśmy się, jak wygląda obiektywne, zniuansowane dziennikarstwo. W noc wyborczą doniesienia światowych mediów o przewadze Trumpa ilustrowane były zdjęciami smutnego Bidena. A potem doniesienia o przewadze Bidena – zdjęciami wesołego Bidena. Uczcie się, uczcie, jak to się robi. Uczniowie z Czerskiej i Wiertniczej – zwolnieni z zajęć. ©©

30 SEKUND do nagród BŁYSKAWICZNA LOTERIA



8 X TOYOTA
Corolla Hybrid



28 X DRON
DJI Mavic Mini



28 X HULAJNOGA
Mi Electric Scooter

200 000 X mała kawa lub
napój Dynamic



Zagraj na stronie www.blyskawiczna Loteria. lotos. pl

Loteria dla osób, które ukończyły 18 lat i mieszkają na terenie Polski. Promocja trwa od 20.10.2020 do 14.12.2020.
Lista stacji objętych loterią oraz regulamin Błyskawicznej Loterii LOTOS dostępne na blyskawiczna Loteria. lotos. pl.
Organizator: Grzegorzka&Ko Sp. z o.o.





Kamila Baranowska

Matka Polka mimo trudności, które niesie ze sobą współczesny świat, trzyma się mocno. I chce świętego spokoju, a nie feministycznej rewolucji

Patrząc na to, co się działo w ostatnich dniach na polskich ulicach, wiele osób zadawało sobie i wciąż zadaje pytanie: Co się stało z polskimi kobietami? A właściwie z dziewczynami, bo w strajkach w obronie prawa do aborcji wzięły udział głównie młode dziewczyny, często nastolatki. Poziom ich słownej agresji, wulgarności i braku zahamowań w przekraczaniu granic dobrego smaku z jednej strony przerażał, z drugiej jednak zastanawiał i kazał szukać odpowiedzi. Sęk w tym, że nie ma tu jednej, prostej, właściwej odpowiedzi. Jest za to wiele nakładających się na siebie zjawisk kulturowo-społecznych, które doprowadziły do momentu, w którym się znajdujemy. Począwszy od zmienionego modelu wychowawczego, przez nieograniczony dostęp do wirtualnego świata, gdzie przeniosło się życie młodzieży, aż do kwestii aspiracji i ambicji, które często zderzają się ze ścianą brutalnej, przyziemnej rzeczywistości i wewnętrznego przymusu spełniania oczekiwań – swoich i świata.

INNE NIŻ MATKI I BABKI

Dlaczego dziewczyny ze strajku są wulgarne i zachowują się tak, jak się zachowują? Bo mogą. Bo zostały wychowane inaczej, niż były wychowywane ich matki, o babciach nawet nie wspominając. Bez wpajania, że dziewczynce czegoś nie wypada, tylko dlatego że jest dziewczynką, że dziewczynki muszą być grzeczne i posłuszne, że chłopakom pozwala się na więcej. Świat się zmienił, rola i miejsce kobiet też, także tych najmłodszych. Ma to swoje plusy i minusy. Plusy są takie, że dziewczynki wchodzą w dorosłość z większym poczuciem własnej wartości. Minusy – że łatwo o zatarcie subtelnej granicy między wolnością i pewnością siebie z jednej strony a samowolką i arogancją z drugiej. Na protestach aż nazbyt dobrze widać było



Jeszcze matka Polka nie zginęła

niestety to drugie. Bardzo możliwe, że protestujące nastolatki, które posługują się wyzwiskami i wulgarnymi tekstami, zapytane o to, dlaczego tak się zachowują, nie zrozumiałyby pytania. W ich przekonaniu zachowują się przecież normalnie. Coś, co dla większości obserwatorów jest przekraczaniem granic, dla nich jest normą, czymś zupełnie dopuszczalnym.

Pamiętajmy, że to pokolenie młodzieży wychowanej w świecie wirtualnym, który często jest dla nich ważniejszy niż ten realny. Pokolenie memów, TikToka i Netflixa. To stamtąd czerpie wiedzę o świecie, często nie szukając niczego ponad to. Liczba bzdur, które można było usłyszeć na proaborcyjnych protestach, przyprawiała o zawrót głowy. Na czele z tym, że orzeczenie Trybunału oznacza,

że w razie śmierci dziecka, np. na początku ciąży, kobiety będą musiały przez dziewięć miesięcy nosić je w brzuchu.

Nikt tego nie prostował, nikt nie wytłumaczył tym dziewczynom, przeciwko czemu protestują. A same nie wpadły na to, by się dowiedzieć. Zobaczyły mema na Facebooku i przyszły, bo nic lepszego nie miały do roboty. Zwłaszcza że jest pandemia i liczba rozrywek mocno ograniczona.

To podejście napawa zwątpieniem, ale też pozwala mieć nadzieję, że wraz z wiekiem i nabywaną życiową mądrością rewolucyjny zapal większości tych dziewczyn przeminie. Nie jest bowiem zbudowany na trwałych podstawach, lecz jest chwilowym wzmożeniem, wydarzeniem towarzyskim, któremu



FOT. ANDRZEJ STOLIK

modnych knajpach, podróżujące i prowadzące ciekawe życie, muszą mieć liberalne poglądy. Inaczej są ciemnogrodem i nie pasują do wizerunku wielkomiejskiej elity, która czyta „Wysokie Obcasy” i bierze udział w czarnych marszach. Jest to tym łatwiejsze, że często idzie w parze z naturalną chęcią kontestacji stylu życia i wartości wyznawanych przez rodziców. Przypomina to sytuację słoika, który przyjeżdża z prowincji do dużego miasta, za wszelką cenę łaknąc akceptacji. Im bardziej jest zakompleksiony, tym mocniejsza będzie chęć dopasowania się do otoczenia i przyjęcia obowiązujących tu postaw. I przedstawiania ich jako własnych. A gdy się to już stanie, tym większa będzie potrzeba ich obrony.

Wizerunek wielkomiejskiej, dobrze wyedukowanej i przebojowej dziewczyny zobowiązuje także do określonych zachowań w kwestiach takich jak małżeństwo czy macierzyństwo. Jeśli już musi mieć dzieci (bo przecież można nie chcieć ich mieć i to jest święte prawo każdej dziewczyny, jak coraz częściej tłumaczą kobiecie czasopisma), to niech jak najszybciej wróci do pracy, odda do żłobka, wynajmie nianię. Wszystko, byleby nie przepadła dobrze rozwijająca się kariera. W tych coraz mocniej narzucających kobietom wzorcach nie ma miejsca na chęć pozostania w domu z dzieckiem przez rok, dwa, trzy lata, tyle, ile trzeba. Nie dopuszcza się możliwości, że kobieta może realizować się jako matka i to da jej szczęście, a nie pogoń za karierą i sojowym latte na placu Zbawiciela. W tym świecie zostać matką Polką, która świadomie decyduje się na inny model życia, jest postrzegane jako największa życiowa porażka.

Ta presja jest odczuwalna i nie każda, zwłaszcza młoda dziewczyna, jest w stanie się jej sprzeciwić. Bo nie chce zostać ciemnogrodem, bo chce obracać się w towarzystwie fajnych koleżanek, bo wreszcie w swoim mniemaniu jest niezależna i wolna. Tak wolna, że wybór może być tylko jeden.

To prędzej czy później rodzi frustrację i zaczyna ciążyć. Dzieje się to zwykle wtedy, kiedy ambitna, młoda, wielkomiejska dziewczyna decyduje się jednak założyć rodzinę i mieć dzieci. Nagle odkrywa, że jej poprzednie wyobrażenie o tym, jaka być powinna, odbiera jej całą radość z macierzyństwa. Wpędza w nieustanne poczucie winy, że będąc z dzieckiem, coś traci. Tę karierę, niezależność, wolność.

Próbuje więc jakoś godzić te dwa światy i jeszcze bardziej pograża się w wyrzutach sumienia, że nie jest ani dobrym pracownikiem, ani dobrą matką.

A przecież powinna być perfekcyjna. Jak te celebrytki z Instagrama, które drugiego dnia po porodzie wyglądają, jakby właśnie wróciły ze SPA, mają piękne domy, zawsze posprzątane, i dzieci zawsze radosne i uśmiechnięte. I oczywiście realizują się zawodowo, osiągając sukcesy. Naprawdę trudno nie zwariować, gdy zewsząd jest się atakowanym takim przekazem. I trudno dziwić się młodym, życiowo niedoświadczonym jeszcze dziewczynom, że mu ulegają.

JEST NADZIEJA

Na szczęście coraz więcej pojawia się wśród kobiet autorefleksji i chęci walki z tym perfekcjonizmem i złe pojmowanym mitem matki Polki. Tak, bo współczesnym młodym dziewczynom matka Polka kojarzy się najczęściej fatalnie – z umęczoną kobietą, z gromadką dzieci przy nodze, która jedną ręką miesza zupę, a drugą macha mopem. A wieczorem pada zmęczona na twarz i ma wszystkiego serdecznie dość. Coraz więcej kobiet – widać to zwłaszcza w Internecie, choćby na popularnych kanałach youtube’owych i blogach parentingowych, ale i w prasie kobiecej – głośno mówi innym kobietom, że nie muszą być we wszystkim najlepsze. Że mają prawo do nieposprzątanego domu i nieugotowanego obiadu. Do płaczącego dziecka też. I do odpoczynku. Mają też prawo do tego, by być dumne z tego, że są matkami Polkami. I nikomu nie muszą się z tego tłumaczyć.

Jeśli mit matki Polki miałby ewoluować w tym właśnie kierunku, to należy tylko przyklasnąć.

Matki Polki wcale nie są dzisiaj w odwrocie. Wręcz przeciwnie, trzymają się mocno. Radykalizmy mają to do siebie, że robią dookoła dużo hałasu, sprawiając wrażenie ważniejszych i bardziej reprezentatywnych, niż są w istocie. A to właśnie matki Polki są większością, ale milczącą. Są większością, o którą feministki od lat nie potrafią zawalczyć. I na którą od lat narzekają, że nie chce wziąć udziału w ich rewolucji. Liczą, że teraz za sprawą protestów w sprawie aborcji uda się to zmienić. Mogą się przeliczyć. Bo matki Polki nie chcą rewolucji, najczęściej chcą świętego spokoju.

towarzyszą duże emocje. Kiedy opadną, na posterunku walki o feministyczne hasła pozostanie tylko garstka najbardziej zaangażowanych „dziewuch”, jak same siebie nazywają. Reszta prawdopodobnie z tego wyrośnie, tak jak ich koledzy z biegiem lat wyrastają z miłości do Korwin-Mikkego i jego wizji świata, tak atrakcyjnej w okresie nastoletnim.

Co nie znaczy, że nic się nie zmienia w postrzeganiu kobiet – i przez świat, i przez nie same. Sporo racji ma Rafał A. Ziemkiewicz, gdy pisze (poprzedni numer „Do Rzeczy”) o tym, że: „Współczesny świat, ze swą subkulturą »mediów kobiecych«, narzuca dziewczynie wymagania nieporównanie większe, niż to było kiedykolwiek. Musi być »perfekcyjna«, »slim« i »fit«, musi koniecznie robić karierę, zarobić na wszystkie gadżety, które »musi mieć«, a jednocześnie być demonem seksu i mieć udany związek – choć nie bardzo wiadomo z kim”.

WIELKOMIEJSKA I WYKSZTAŁCONA

Warto do tego jeszcze dodać, że kobiecie obowiązuje dziś pewna pakietowość poglądów. Zwłaszcza tę wielkomiejską, ambitną, z aspiracjami. Kobiety chcąc być postrzegane jako te odnoszące sukcesy zawodowe, robiące kariery, chodzące po



**Z Karoliną Pawłowską, mamą, prawniczką,
dyrektorką Centrum Prawa Międzynarodowego
Instytutu Ordo Iuris**

rozmawia Agnieszka Niewińska

Chcemy odkłamać prawa kobiet

AGNIESZKA NIEWIŃSKA: Mówi pani o sobie, że jest konserwatystką?

KAROLINA PAWŁOWSKA: Nie lubię tego typu łatek. Trudno zresztą w dzisiejszych czasach powiedzieć, co to znaczy być konserwatystką, bo jak dobrze wiemy, pojęcie konserwatyizmu jest używane przez różne grupy polityczne. Poza tym, że jestem prawniczką, w mojej działalności naukowej zajmuję się również doktrynami polityczno-prawnymi, dlatego wiem, że jest wiele odcieni tego nurtu myślowego. Powiedziałabym raczej, że jestem kobietą przywiązaną do uniwersalnych wartości, na których zbudowane jest nasze społeczeństwo, i do klasycznych koncepcji politycznych.

Sprzeciwiam się próbom wykorzystywania problemów, z którymi kobiety mierzą się w codziennym życiu, do ideologicznej dyskusji, do wprowadzenia niesłużących kobietom rozwiązań i daleko idącej inżynierii społecznej. Z pewnością klasyczny konserwatyzm jest często zbieżny z moimi przekonaniami, w szczególności w takich kwestiach jak sprzeciw wobec ideologicznych koncepcji stworzenia nowego wspianego świata, prób ingerencji w rodzinę, podważanie tradycyjnych wartości. Pewnie w tym sensie można mnie określić jako konserwatystkę.

Sąsiedzi, znajomi muszą patrzeć na panią jak na raroga.

Wcale nie czuję się w swoich poglądach osamotniona. Wśród przyjaciółek,

znajomych mam wiele kobiet, które myślały w podobny do mnie sposób. W dalszych relacjach – sąsiedzkich, z osobami z czasów szkolnych czy studenckich – rzeczywiście niekiedy czuję barierę.

Trudniej jest o porozumienie, to, co robię zawodowo, poddawane jest ogromnej krytyce. Wydaje mi się jednak, że gdybyśmy o wielu różniących nas kwestiach porozmawiali w sposób racjonalny, a nie emocjonalny, to znaleźlibyśmy wspólny język.

Z płynących z mediów przekazów można wysnuć wniosek, że kobiety gremialnie opowiedziały się nie za tradycyjnymi wartościami, a za aborcją, i manifestują wraz ze Strajkiem Kobiet. Słyszmy o „żądaniach kobiet”, „oczekiwaniach kobiet”, jakby chodziło o wszystkie Polki.

Nie ma w tym prawdy. Postulaty skupiające się na aborcji i tzw. prawach reprodukcyjnych i seksualnych w rzeczywistości wcale nie są bliskie wszystkim kobietom. One nie są bliskie nawet większości kobiet. Termin „prawa kobiet” jest dzisiaj przez lewą stronę światopoglądowego sporu wykorzystywany do szerzenia różnych ideologicznych rozwiązań dalekich od tego, co w rzeczywistości znaczą prawa kobiet.

Jeśli kobieta nie opowiada się za prawami kobiet utożsamianymi z tzw. prawami reprodukcyjnymi, w tym aborcją, edukacją seksualną, uznawana jest za ofiarę patriarchy, osobę, która nie myśli samodzielnie, tylko jest sterowana przez mężczyzn. Język, którym się przy



FOT. ORDO IURIS

tym posługują lewicowe aktywistki wobec myślących inaczej pań, jest krzywdzący, stygmatyzujący, wykluczający. I mocno zakorzeniony w marksizmie, który próbował przecież wykorzystywać problemy różnych grup społecznych, żeby dzielić je na klasy i wytwarzać między nimi konflikt społeczny.

Wysyłane w świat wrażenie jest jednak takie, że polskie kobiety en masse popierają Strajk Kobiet.

Taka jest technika lewicowych ruchów feministycznych w propagowaniu swoich poglądów. Nawet w swoich publikacjach feministki i feminiści podkreślają to, że ich postulaty nie znajdują poparcia w lokalnych społecznościach. Dlatego też zalecają technikę bumerangu. Polega ona na tym, by pomijać lokalne społeczności, a nawet rezygnować z przekonywania do swoich racji na forum krajowym, kierując swoje postulaty od razu w stronę organizacji międzynarodowych, odległych od obywatela instytucji, i to je wykorzystywać do wywierania presji na kraje w celu wprowadzenia oczekiwanych przez

lewicę zmian. Ta taktyka niestety przynosi owoce i wiele krajów ugina się pod presją organizacji międzynarodowych.

Komisarz Rady Europy Dunja Mijatović uznała, że orzeczenie Trybunału Konstytucyjnego w sprawie aborcji eugenicznej to naruszenie praw człowieka.

Stale słyszymy ostatnio, że prawa człowieka to prawa kobiet, a prawa kobiet to prawo do aborcji. W Polsce, podobnie jak w wielu innych krajach, takie prawo nigdy nie istniało, aborcja nie była postrzegana jako prawo. Co najwyżej jako kontratyp (zachowanie, które wypełnia znamiona czynu zabronionego, ale nie podlega karze – przyp. red.). Nawet w wiążącym prawie międzynarodowym, gdzie państwa wyrażają zgodę na funkcjonowanie określonego traktatu, nigdy nie zostało uznane coś takiego jak „prawo do aborcji”. Jest wręcz przeciwnie. Powszechna Deklaracja praw człowieka, Deklaracja praw dziecka podkreślają, że fundamentalnym prawem każdego człowieka jest prawo do życia. Konwencja o prawach dziecka wprost stanowi, że każde dziecko powinno być chronione zarówno przed urodzeniem, jak i po nim. Postanowienia wielkich konferencji w Kairze i w Pekinie z kolei zobowiązują państwa do zmniejszenia liczby przeprowadzanych aborcji.

Z jednej strony mamy jednak traktaty międzynarodowe czy wspólne ustalenia państw, a z drugiej obserwujemy działalność lewicowych ruchów, które poprzez głośne deklaracje, akty prawa miękkiego, dokumenty o charakterze technicznym próbują podważyć i obejść istniejące wiążące prawo. Presja na przyjmowanie postulatów związanych z aborcją nie ma zatem nic wspólnego z prawami człowieka.

Mówienie o tym, że aborcja to prawo człowieka, to niejedyny fałsz prezentowany przez organizatorki protestów przetaczających się teraz przez Polskę. Panie te nie mówią o tym, w jaki sposób wygląda aborcja dziecka podejrzanego o ciężką chorobę. Ono przecież nie znika z brzucha mamy, je także trzeba urodzić – tyle że przedwcześnie. To też traumatyczne przeżycie.

Fałsz pojawia się w mówieniu o tym, czego dotyczy orzeczenie TK. Organizatorki protestów przekonują, że w jego efekcie zagrożone jest zdrowie i życie kobiety, co nie jest prawdą, bo dotyczy

ono wyłącznie aborcji eugenicznej. Duża część protestujących na początkowym etapie tych manifestacji nie do końca zdawała sobie sprawę, w czym bierze udział.

Siła napędowa tego protestu spada, bo wraz z ogłoszeniem przez organizatorki postulatów – w tym wprowadzenia aborcji na życzenie – dużo osób poczuło się oszukanych. Trudno mówić o tym, jakoby ten ruch reprezentował większość kobiet w Polsce.

Głos pań o konserwatywnych poglądach nie jest jednak tak donośny jak uczestniczki protestów. Czy we współczesnej Polsce trudno jest być kobietą o konserwatywnym światopoglądzie?

Jest to dość stresujące. W dyskusjach na tematy światopoglądowe, podobnie jak moje koleżanki, staram się opierać na wiedzy naukowej i zachowywać spokój. Lewa strona światopoglądowego sporu nieustannie odwołuje się do emocji, posługuje się stwierdzeniami w rodzaju „piekło kobiet”, straszy kobietami, które będą tracić życie, przedstawia zakaz aborcji jako ograniczanie ich wolności.

Emocje sprawiają, że pojawia się internetowy trolling, hejt. Oczywiście można uznać, że to zjawisko powszechne we współczesnym świecie, ale mam przekonanie, że na osoby prezentujące podobny do mego punkt widzenia hejt pada w nieco większym stopniu niż na pozostałych. Sama nieustannie padam ofiarą hejtu w mediach społecznościowych, więc wiem, że nie jest to nic przyjemnego. Wiele anonimowych osób wysyłało mi nieprzychylnie, ale i wulgarne wiadomości. Pod adresem naszego instytutu kierowane są pogrozki, agresywne, pełne nienawiści słowa. Życzy się nam, żebyśmy urodziły niepełnosprawne dzieci, żebyśmy zostały zgwałcone. To jest powód tego, że wiele kobiet o konserwatywnych poglądach woli się nie wypowiadać, nie zdradzać ze swoimi przekonaniami. Milczą ze względu na groźbę bycia hejtowaną, wyszydzaną, zaszczuwaną.

Mam jednak nadzieję, że to się zmieni. Im głośniejsi będziemy mówić o tym, czym są prawa człowieka, prawa kobiet, domagać się, żeby dyskusja wokół nich była wolna od ideologii, tym więcej osób będzie zachęconych do tego, żeby głośno mówić o tym, co naprawdę myśli. Instytut Ordo Iuris już przygotowuje cykl międzynarodowych konferencji

poświęconych prawom kobiet. Chcemy odkłamać to zmanipulowane do politycznych celów pojęcie.

Utarło się przekonanie, że to kobiety o lewicowych poglądach organizują się, dyskutują, zwołują kongresy, a panie o prawicowych zapatrywaniach nie są aktywne, poświęcają się domowi i rodzinie.

Na pewno duża część kobiet, które czerpią radość z bycia matkami i na pewnym etapie życia w 100 proc. angażują się w macierzyństwo, nie ma czasu na działalność publiczną.

Sama jestem mamą dwojga małych dzieci i wiem, że macierzyństwo – zwłaszcza na początkowym etapie – bywa bardzo wymagające. Już nawet z takiego praktycznego względu tym kobietom jest trudniej zabrać głos w jakiejś dyskusji. Nie znaczy to jednak, że tego głosu nie zabierają.

Bardzo mnie jednak niepokoi to, że kiedy kobieta pokazuje radość z bycia matką, występuje w obronie rodziny i wartości, nie mówi się o niej jako o kobiecie, która wypowiada swoje zdanie, tylko jako o tej, która jest zmanipulowana przez mężczyzn.

Wybór wyborem, ale jeśli się wybiera pozostanie w domu z dziećmi, to obciach i patriarchat?

Trochę tak to wygląda. Wolny wybór w rozumieniu lewicy może być realizowany tylko wtedy, gdy kobieta postępuje tak samo jak mężczyzna. Według mnie trudno o bardziej dyskryminującą wobec kobiet logikę. To naturalne, że kobiety mogą chcieć inaczej kształtować swoją karierę zawodową niż mężczyźni. Dlaczego te wybory mają być czymś gorszym niż wybory mężczyzn?

Nie jest też tak, że po prawej stronie brakuje organizacji kobiecych. Jest ich dużo – tyle że działają w pojedynkę, często lokalnie, nie konsolidują się. Lewica ma duże doświadczenie w działalności m.in. na szczeblu międzynarodowym. Angażuje się w koalicje, fora, grupy, organizuje eventy i z tego względu wydaje się, że tych organizacji kobiecych jest dużo, a często to ciągle te same organizacje pod różnymi szyldami. Są głośne, ale niekoniecznie reprezentują poglądy większości kobiet. Rolą kobiet po prawej stronie jest teraz skonsolidowanie działań. Jest nas wiele, nasz głos powinien silnie wybrzmieć – zwłaszcza na forum międzynarodowym zawłaszczonym przez lewą stronę.



Rafał A. Ziemkiewicz

Dlaczego nowe pokolenie Polek jest tak inne od ich matek i babek? Czy nie odpowiadają też za to zniewieściali mężczyźni?

Wszystko zrozumieć to wszystko wybaczyć, mawiają Francuzi. Na wybaczenie tego, co działo się podczas proaborcyjnych manifestacji, przyjdzie czas, kiedy opadnie już fala emocji, które przyniosły Polsce bezprecedensową brutalizację języka i zachowań. Na próby zrozumienia czas jest zawsze.

Tym bardziej że pytanie, co takiego stało się z młodym pokoleniem Polek, że zatraciły zahamowania w agresji i wulgarności, postawiły przed nami co prawda polityczne manifestacje ostatnich tygodni, ale w istocie ujawniły one tylko problem nienowy. Opisywałem już, że gdy w dosadnych słowach skomentowałem na Twitterze zachowanie młodych uczestniczek zamieszek, pod moim wpisem znalazły się nie tylko, jak zwykle, pochwały, obelgi i pogróżki pod adresem moim i mojej rodziny. Także sporo wpisów od restauratorów, kelnerów czy ochroniarzy, dzielących się spostrzeżeniami, że już od pewnego czasu, wbrew stereotypom, to właśnie młode kobiety, i to bynajmniej nie z tzw. marginesu społecznego, są najbardziej uciążliwymi gośćmi. Częściej niż mężczyźni dopuszczają się pijackich ekscesów i wszczynają awantury, piją na umór, są nieopisanie agresywne i ordynarne, uprawiając w zakłopotanie nieprzygotowanych na takie zachowania przedstawicieli starszego pokolenia, często sterroryzowanych perspektywą stygmatyzacji „damski bokser”.

NIECHĘĆ DO DOROSŁOŚCI

Zjawiskiem tylko z pozoru z tym niezwiązanym może się wydawać coraz częstsza u młodych kobiet niechęć do rozpoczynania samodzielnego, dorosłego życia. Sam mam możliwość obserwować wśród dalekich znajomych przypadków 30-latkę, która skończyła dobre studia, ma atrakcyjną pracę, od lat jest w związku z tym samym mężczyzną, z którym bez problemu stać by ich było na własne

lokum – ale mimo to woli poprzestawać wciąż na „chodzeniu” z nim i mieszkać z rodzicami. Inna daleka znajoma, rówieśnica tej pierwszej, wybrała taktykę nieco inną, ale podobną w skutkach: ilekroć studia zbliżają się końca, rozpoczyna kolejny kierunek. Na stabilizację, związek i dorosłe życie wciąż nie ma czasu, bo zajęta jest samorealizacją.

Wiem, że anegdota nie są dowodem i do formułowania poważnych wniosków

cej sukcesy z tradycyjną rolą społeczną, szukając wciąż „tego jedyne”. Dzisiejsze dziewczyny raczej przed dorosłością uciekają, sposobami, które przez wieki zastrzeżone były dla mężczyzn: przedłużaniem w nieskończoność „kawalerskiego” życia, wyznaczonego łobuzowaniem i trzymaniem się matczynej spódnicy.

Już kilka lat temu, przypomnę, analizując pokoleniową zmianę w polskich ruchach feministycznych („Piotrusia Pańcia

Polka warcząca



trzeba podstaw solidniejszych, naukowych, socjologicznych badań. Trudno jednak nie zauważyć, że z młodym pokoleniem kobiet dzieje się coś do niedawna niewyobrażalnego. Coraz mniej przypominają popularną w poprzednim pokoleniu Bridget Jones albo bohaterki sławnego w tym samym mniej więcej czasie serialu „Seks w wielkim mieście”. Tamte starały się (dla filmowego morału z sukcesem) połączyć życie kobiety nowoczesnej, wykształconej i odnoszą-

strajkuje” – wciąż dostępne na portalu DoRzeczy.pl), tłumaczyłem ją faktem, że nigdy jeszcze w dziejach naszej cywilizacji nie stawiano wchodzącej w życie dziewczynie tak wysokich wymagań jak dziś. Sukces zawodowy, kariera nie są już prawami kobiety – stały się jej obowiązkiem. Podobnie jak bycie „perfekcyjną” w każdej z dziedzin życia. Subkultura „mediów kobiecych” śrubuje wymagania do granic absurdu: współczesna kobieta musi mieć perfekcyjne ciało, wyrzeźbio-

ne perfekcyjnymi treningami i dietami, perfekcyjnie się ubierać i używać perfekcyjnych kosmetyków, tworzyć perfekcyjne związki i być perfekcyjną panią domu z perfekcyjnym dzieckiem i jeszcze na dodatek mieć jakieś niebanalne hobby. A że wszystko to, co – jak wmawiają jej reklamy – „musi mieć”, kosztuje, musi jeszcze do tego perfekcyjnie zarabiać.

Co wydaje mi się najważniejsze – z tymi wszystkimi wyzwaniem i wyzwaniami współcz-



na kobieta musi się zmierzyć zupełnie sama. Jej matka, nie mówiąc o babce, miała jeszcze nadzieję na to, że we wszystkich trudach życia wesprze się na silnym męskim ramieniu. Jeśli nawet dla wielu nadzieja ta okazywała się iluzoryczna – to stanowiła pewne pokrzepienie. Dzisiaj nie zostało z niej nic.

DEGRADACJA MĘŻCZYZN

Emancypacja kobiet okazała się iść w parze z degradacją mężczyzn – do

togo stopnia, że trudno powiedzieć, co właściwie jest tu przyczyną, a co skutkiem (osobiście uważam, że, wbrew ideologicznym stereotypom, wzrost społecznej roli kobiety jest właśnie skutkiem, nie przyczyną). To akurat zjawisko zostało już dość dobrze zbadane – na polskim rynku od lat dostępna jest książka Philipa G. Zimbardo i Nikity S. Coulombe „Gdzie ci mężczyźni?”, kreśląca ponury, ale niestety nieodparty, bo wynikający z solidnych naukowych badań, obraz zaniku mężczyzny i męskości we współczesnych społeczeństwach Zachodu. Wychowani w rozbitych związkach, przeważnie przez dominujące matki, na wszechobecnej pornografii i grach komputerowych mężczyźni z pokolenia „Kac Vegas” nie tylko nie są zdolni do zapewnienia kobiecie bezpieczeństwa, lecz także z trudem przychodzi im radzenie sobie z własnym życiem. W kontaktach z kobietami, jeśli w ogóle mają na nie ochotę (według statystyk ponad 50 proc. amerykańskich „singli” w ogóle nie szuka partnerki, zadowolając się wirtualnym światem pornografii i masturbacją – która, co charakterystyczne, przestała być w dzisiejszej popkulturze rzeczą wstydliwą i zachętą do niej jest stałym elementem reklamy prosperujących pornokoncernów) – wybierają rolę „boy toya”, „chłopca-zabawki”, zwykle przy starszej kobiecie sukcesu, co jest po prostu przejściem spod władzy jednej mamy pod władzę drugiej.

Nigdy jeszcze dorastanie nie jawiło się dla kobiety jako coś równie przytłaczającego jak dziś. Trudno się dziwić lękiem i potrzebie ucieczki albo odreagowania agresją i wulgarnością, na zasadzie „kazaliście nam być chłopami, to k... macie!” (cytat autentyczny). Tych lęków, całej tej przemiany, szeroko rozumiana prawica zdaje się w ogóle nie zauważać, a jeśli je zauważa – to reaguje stereotypowo. Dobrym przykładem jest głośna wypowiedź prof. Czarnka, w której obecny minister edukacji ubolewał, że Polki zbyt późno, dopiero ok. trzydziestki, rodzą pierwsze dzieci. Aż prosiłoby się zauważyć, że według powszechnie dostępnych statystyk takie same Polki, które wyjechały do Wielkiej Brytanii czy Irlandii, rodzą pierwsze dzieci znacznie wcześniej i chętniej – więc problemem nie jest rzekoma niechęć do macierzyństwa, tylko brak w kraju bezpiecznych warunków do niego.

Natomiast lewica, oczywiście, żeruje na kobiecych obawach, zgodnie z wielokrotnie przeciwczonym know-how wynajdowania grup „upośledzonych” i przedstawiania się jako ich obrońcy i rzecznicy ich „praw”. Ponieważ istotą dorosłości jest w przypadku kobiet macierzyństwo, lewica uwodzi sfrustrowane i przerażone dorosłością dziewczyny obietnicą swoistego hamulca w postaci „prawa wyboru”. Nijak się ta obietnica ma do realnego życia, niczego w istocie nie rozwiązuje – ale jest jedyną ofertą, jaką przy swych problemach współczesna dziewczyna dostaje. A jeśli przy tym dostaje od feministek rozgrzeszenie dla najbardziej nawet nikczemnych zachowań, motywowane prawem wykrzyżenia i odreagowania swych frustracji, trudno doprawdy się dziwić, że mając taką wiedzę o życiu, jaką zwykle mają nastolatki, nie wykazuje wobec ideologicznego kuszenia podejrzliwości.

Będąc człowiekiem wierzącym, wielokrotnie powtarzałem, że wielkim błędem prolife’rów i szeroko rozumianej prawicy było dopuszczenie do tego, iż spór o aborcję uczyniono sporem między katolikami a niewierzącymi. Aborcja jest złem nie tylko z punktu widzenia Dekalogu. Jest złem także z punktu widzenia medycyny, psychologii klinicznej, również z punktu widzenia relacji społecznych, sprzyjając, wbrew stereotypowi, bynajmniej nie kobiecej wolności, tylko męskiej nieodpowiedzialności. Bardzo zabrakło ze strony prawicy przywołania w tej debacie ludzi takich jak Michalina Wisłocka, która w swej „Sztuce kochania” pisała o wszystkich tych sprawach, gorąco zwalczając pogląd formułowany dziś w słowach „aborcja jest OK” z pozycji lekarza, ateistki i, dziś by powiedziano, feministki.

Przywołane w porę te argumenty byłyby z całą pewnością bardziej przekonujące dla młodego pokolenia kobiet, które z różnych względów w dużej części straciły zaufanie do instytucjonalnego Kościoła, a w każdym razie oczekują praktycznej odpowiedzi na swe lęki, a nie moralizowania. Fala zdżiczenia na polskich ulicach i pod kościołami wymaga oczywiście od państwa i jego elit odpowiedzi stanowczej. Potem jednak powinien przyjść czas na refleksję i znalezienie sposobu uśmierzenia frustracji, które falę tę wzbudziły. Inaczej spokój nie będzie trwał długo.



Piotr Semka

Po fali demonstracji Strajku Kobiet nikt nie wie, co dokładnie myśleć o bilansie zajęć. To trudny egzamin dla premiera Mateusza Morawieckiego. Od tego, jak przetrwa tę próbę, zależy jego pozycja w obozie PiS

Nikt nic nie wie, czyli polski film



Naruszenie tzw. kompromisu aborcyjnego wywołało ogromne emocje nie tylko w „żelaznym” elektoracie lewicy i feministek, lecz także w grupach „normalsów” i zyskało spory odzew wśród młodzieży w grupie wiekowej 15–25 lat. Jednak ci, którzy w obozie opozycji widzieli w demonstracjach zarzewie rewolucji, która zmiecie PiS, musieli się nieprzyjemnie zdziwić stopniowym spadkiem liczby demonstrantów między poniedziałkiem 26 października a piątkiem

30 października. Łatwo wybuchło, ale i szybko zgasło.

Dlaczego młodzi najpierw wzięli masowo udział w pochodach, a potem w dużej mierze zniknęli? W jakim stopniu wulgarność haseł i styl bycia liderki Strajku Kobiet przyczyniły się do powolnego przeredzania się szeregów? W jakim stopniu prestiż Strajku Kobiet podkopały same jego liderki, ogłaszając powołanie Rady Konsultacyjnej na wzór opozycji z Białorusi i stawiając rządowi ultimatum z terminem siedmiu dni?

Nikt nie umie odpowiedzieć na te pytania.

Pani Lempart i jej koleżanki próbują nowych form protestu. Z jednej strony odwiedzają mniejsze miejscowości, takie jak Otwock, z drugiej zapowiadają cykl demonstracji w poniedziałki oraz wspominają coś o strajku kobiet. Czas pokaże, czy nowe akcje feministek powtórzą siłę demonstracji z pierwszego tygodnia po ogłoszeniu werdyktu TK.

PIS, CZYLI SIŁA ZŁEGO NA JEDNEGO

W takim kryzysie przywództwa partia Jarosława Kaczyńskiego nie była od dubletu przegranych wyborów z lat 2010 i 2011.

Prezes nie ocenił trafnie skali protestów w swojej partii przeciw „piątce dla zwierząt”, a potem konsekwencji werdyktu Trybunału Konstytucyjnego. W obu wypadkach nie doszło do żadnej dyskusji choćby na prezydium komitetu politycznego PiS. Na dodatek spór o werdykt TK zbiegł się z nawrotem pandemii, o wiele gwałtowniejszym niż wiosną.

Znów dają też o sobie znać nierozładowane wewnętrzne napięcia na linii PiS-Porozumienie Jarosława Gowina-Solidarna Polska. Znów dochodzi do wzajemnych oskarżeń między frakcjami Zjednoczonej Prawicy. Nic publicznego. Pretensje wygłaszane są ścisłym głosem. Zwolennicy Gowina oskarżają ziobrystów, że tak długo wymuszali na prezesie „działania tożsamościowe”, iż ten zrealizował te oczekiwania poprzez wpłynięcie na TK, aby wyeliminował aborcję eugeniczną. Ziobryści zastrzegają, że nie naciskali na prezesa PiS akurat w tej sprawie, ale skoro już werdykt zapadł, to wypada go uznać. Przygotowują specjalną ustawę mającą wzmocnić pomoc państwa dla rodziców wychowujących niepełnosprawne dzieci.

Na razie nie widać szans na szybkie wyjście z kryzysu spowodowanego wyrokiem TK. Nowela prezydencka, która wydawała się remedium, nie ma zbyt wielu entuzjastów. Na pewno poprą ją Gowin i większość Porozumienia (być może z wyjątkiem pośła Jacka Żalka). Na wyraźne życzenie prezesa poprzez ją też ok. 70 proc. posłów z partii PiS.

Pytanie, ilu posłów klubu powie: „Nie”?

Na pewno mogą być wśród nich politycy Ziobry, którzy od dawna sygnalizowali sprzeciw wobec aborcji dzieci



Czy zapowiedziane nowe akcje feministek powtórzą siłę demonstracji z pierwszego tygodnia po ogłoszeniu werdyktu TK?

FOT. KRZYSZTOF ZATYCKI/FORUM

■ z zespołem Downa. Nie wiadomo, jak silna jest grupa posłów, dla których prezydencka ustawa nie jest do zaakceptowania z racji sprzeciwu sumienia. To z pewnością posłowie związani z Radiem Maryja, ale i trudna do oszacowania grupa posłów z „klasycznego” PiS. Niektórzy mówią jeszcze o grupie Jana Krzysztofa Ardanowskiego ocenianej na od 4 do 6 posłów.

Jeszcze trudniej liczyć na głosy PSL-Kukiz'15 czy Platformy. Władysław Kosiniak-Kamysz nie jest zainteresowany zbyt szybkim zakończeniem kryzysu w obozie władzy, a w PO zostało już bardzo niewielu konserwatystów. Lewica nie ukrywa, że na żaden powrót do status quo ante nie ma ochoty. Włodzimierz Czarzasty żąda wprost aborcji do 12. tygodnia rozwoju płodu.

Prawo i Sprawiedliwość ma dwa tygodnie, by policzyć szablę. Albo skłonić zwolenników werdyktu TK wewnątrz Klubu Parlamentarnego PiS do jakiejś ugody, albo zdobyć brakujące głosy poza klubem rządzącej partii. Tyle że cała opozycja od Konfederacji do Lewicy jest tradycyjnie połączona hasłem „Wszyscy biją lidera!”. I na dodatek nikomu oprócz PiS specjalnie się nie śpieszy.

Wszystko to może sprawić, że rząd nie będzie miał innego wyjścia, jak tylko ogłosić wyrok Trybunału i liczyć, że spokojne kampanie pokazujące moralne aspekty aborcji eugenicznej zmieniają z czasem nastawienie społeczne, tak samo jak Polacy przyzwyczaili się od lat 90. do zakazu aborcji na życzenie.

Jeśli jednak fala protestów pod batutą Strajku Kobiet powróci i osiągnie skalę krytyczną, to PiS znów znajdzie się w kryzysowej sytuacji.

PLATFORMA, CZYLI „SPRAWDZIĆ, CZY NIE DZIADERSI”

Jeden z terminów, które wylansowały feministki w czasie ostatnich protestów, to „dziadersi”. Publicystka Krytyki Politycznej Kaja Puto z satysfakcją ogłosiła, że hasło „Wyp.....ć!” jest skierowane także do „dziadersów”. Pani Puto tak definiuje tę grupę: „Dziaders to mężczyzna o archaicznych wyobrażeniach o roli kobiet, który nie daje im dojść do głosu, w dodatku przekonany o swojej nieomyślności na każdy temat (łącznie z tym, w którym większą wiedzę ma jego rozmówczyni). Słowo to powstało w środowisku kobiet ekspertek, które z dziadersami użerają się w mediach, na konferencjach i panelach

dyskusyjnych. Dziaders może mieć równie dobrze 20 lat”.

Feministki w ciągu paru dni swego triumfu uznały, że oprócz walki z Kościołem i prawicą przyszedł czas, by dać nauczkę prof. Andrzejowi Rzeplińskiemu, marszałkowi Senatu Tomaszowi Grodzkiemu czy Tomaszowi Lisowi. A epitet „dziadersi” jest poręczną pałką. Kamieniem obrazy dla kobiet „postępu” jest każde, nawet ciche wspomnienie w obozie PO o potrzebie przywrócenia kompromisu aborcyjnego. Zastraszeni przez aktywistki Marty Lempart platformersi, na czele z Borysem Budką, starali się pomijać wypowiedzi na temat tego, czy kompromis aborcyjny ma ich zdaniem sens czy nie. PO interesuje głównie powrót do władzy. Lempart snuje marzenia o jednej wielkiej fali rewolucyjnych zmian, która zmiecie nie tylko PiS, lecz także PO.

Czy taka kontrakcja skłoni Borysa Budkę i jego partię do wsparcia projektu ustawy prezydenta Dudy? Teoretycznie powinni być tym zainteresowani. Przywrócenie kompromisu aborcyjnego zabierze tlen demonstracjom spod znaku błyskawicy. Tyle że do tego trzeba charakteru. A tak odważny Budka chyba już nie jest. Raczej zwycięży wiara, że destabilizacja wokół aborcji na dłuższą metę zaszkodzi PiS.

Te same założenie przyjmuje Szymon Hołownia, który marzy o wyborach na wiosnę. W imię tego marzenia jest gotowy znieść stek wyzisk Marty Lempart, której koleżanki dodatkowo widzą w nim podejrzanego katolika.

Akurat Hołownia skorzystał w ostatnich sondażach i przyciągnął do swojej partii część rozczarowanych wyborców PiS wyczulonych na hasło o „tortuowaniu kobiet”. Tyle że powołanie partii Polska 2050 z mało porywającym Michałem Koboską i aparatchykiem Tuska Jackiem Kozłowskim jako zastępcą Hołowni potwierdza wszystkie stereotypy ruchu jako skansenu „dziadersów”. Młodzi służą Hołowni do trzymania za jego plecami tabliczek z logo ruchu, ale nie odgrywają u jego boku żadnej wyrazistej roli.

ŁUDOWCY I KONFEDERACJI, CZYLI ŻABY PODSTAWIAJĄ NOGI DO PODKUCIA

Władysław Kosiniak-Kamysz od miesięcy próbuje wstrzelić się z jakimś oryginalnym pomysłem politycznym. Tak

jest i teraz, gdy zaproponował wpisanie kompromisu aborcyjnego do konstytucji.

Problem w tym, że ten pomysł nikogo specjalnie nie zachwycił. Aby zmienić konstytucję, potrzeba w Sejmie większości dwóch trzecich głosów przy obecności ponad połowy posłów. Na taką większość raczej nie ma szans przy sprzeciwie Lewicy i Konfederacji oraz unikach PO. Kosiniak-Kamysz chce błysnąć także dwiema retoryką – z jednej strony potępiając ataki na kościoły, a z drugiej oburzając się na sojusz Kościoła z rządem. Wszystkie teoretycznie chwytliwe pomysły trafiają jednak w próżnię.

Podobnie mało imponujący jest polityczny bilans postawy Konfederacji w czasie ostatniego kryzysu. Krzysztof Bosak czy Robert Winnicki jak na polityków chcących uchodzić za obrońców życia mało wiarygodnie podkreślali swoje zadowolenie z werdyktu TK. Szybko za to zaczęli oskarżać lidera PiS o zdestabilizowanie Polski. Na dodatek sondaż agencji United Survey wykazał, że aż 76 proc. wyborców Konfederacji popiera hasła Strajku Kobiet (dla porównania tylko 19 proc. wyborców PiS). To potwierdzenie tez adwersarzy Konfederacji, że jest to partia faktycznie liberalna, traktująca katolicyzm jedynie jako wygodny kostium.

NIC NIE WIAOMO

Najbliższe tygodnie mogą oznaczać radykalny wzrost liczby zachorowań na COVID-19. Może to sprawić, że werdykt TK zejdzie na pan dalszy. Jeśli dojdzie do tego lockdown – to sytuacja zmieni się jeszcze bardziej. Pytanie, czy wtedy frustracja wywołana pandemią zaogni się, czy też skala zachorowań zamrozi protesty?

To trudny egzamin dla premiera Mateusza Morawieckiego. Od tego, jak go zda, zależy jego pozycja w obozie PiS.

Spadki sondażowe partii Jarosława Kaczyńskiego po demonstracjach Strajku Kobiet ocenić można na ok. 7 punktów procentowych. Dużo, ale nie na tyle, aby nie odrobić ich w perspektywie dwóch lat. Tak samo rządząca partia odbudowała swoje poparcie społeczne po pierwszej odsłonie Strajku Kobiet we wrześniu 2017 r. Dzisiaj PiS nie ma już jednak w zapasie żadnych prezentów socjalnych. A jeśli rząd ma obecnie jakiś komunikat dla Polaków, to są nim tylko apele o kolejne ograniczenia.

Po raz pierwszy od dawna żadna z sił politycznych nie jest w stanie wyobrazić sobie tego, co zdarzy się nawet za trzy tygodnie.

© Wszelkie prawa zastrzeżone

RMF FM

Numer 1

wśród opiniotwórczych
stacji radiowych w 2020 roku

wg Instytutu Monitorowania Mediów

Jedno jabłko z wieczora i nie ma doktora

Stanisław Karczewski (PiS)

o sposobach walki z epidemią koronawirusa

*Tam, gdzie będzie to możliwe, najprawdopodobniej
spółki państwowe powinny kupować media.*

Minister Piotr Gliński o repolonizacji mediów

*Niemal codziennie do szpitali trafia osiem
autobusów pacjentów. Jesteśmy u progu katastrofy.*

Dr Paweł Grzesiowski



**Robert Mazurek
zapraszam o 8:02**

2 615 000
słuchaczy

**Poranna
Rozmowa
RMF**

1 201 000
słuchaczy
Gość Radia Zet



421 000
słuchaczy
Salon Polityczny
Trójki



281 000
słuchaczy
Gość Poranka
(Tok FM 7:45)



Źródło:
Radio Track, Kantar Polska, 01-06.2020, audytorium średniego kwadransa (kwadrans z audycją), dni powszednie, wszyscy 15-75 lat

MARCIN MAKOWSKI: Strajk Kobiet daje PiS czas do końca roku na pokojowe przekazanie władzy. Walizki już spakowane?

JADWIGA EMILEWICZ: Jeszcze nie, przede wszystkim dlatego, że w demokracji zmiana władzy następuje przy urnie, a najbliższa sposobność do tego za trzy lata.

A może to już nie czas na urny, tylko na rewolucję?

Pamiętajmy, że niespełna rok temu wygraliśmy wybory parlamentarne, a następnie przypieczętowaliśmy to zwycięstwo w trudnej walce o prezydenturę. Program Zjednoczonej Prawicy nadal odzwierciedla wolę większości, ale oczywiście mam świadomość, że wiele się od tego czasu zmieniło. Pandemia przeformułowała paradygmaty wzrostu gospodarczego, a wyrok Trybunału Konstytucyjnego zaostrzające prawo aborcyjne otworzył dyskusję, której temperaturę pamiętam z 1993 r.

Uważa pani, że warto było do niej wracać?

Patrzę na tę sytuację z trzech perspektyw. Etyczno-moralnej, prawnej oraz politycznej. Jeśli chodzi o stanowisko etyczne, to swojego zdania, kandydując z Poznania do Sejmu, nie ukrywałam. Uważam, że życie ludzkie należy chronić bez względu na stan zdrowia dziecka. Chronić od poczęcia do naturalnej śmierci. Potrzebowałam jednak kilku lat, żeby dojść do tego wniosku. Wcześniej podzielałam opinię ponad 70 proc. Polaków, którzy dzisiaj opowiadają się za tzw. kompromisem aborcyjnym.

Mówiła pani o woli wyborców – skoro w przypadku aborcji jest ona tak jasna, to dlaczego władza zmienia prawo, nie uwzględniając zdania większości?

Wielu posłów z obozu Zjednoczonej Prawicy w swoich obietnicach programowych składanych w 2015 r. mówiło, że będzie robić wszystko, aby te dzieci, które nie mogą się urodzić ze względu na np. zespół Downa, wziąć pod ochronę. Wielu posłów od dawna wypowiadało się wprost o niekonstytucyjności tzw. przesłanki eugenicznej. Mało tego, od lat przekonywali o tym m.in. profesorowie Andrzej Zoll czy Andrzej Rzepliński. Zdaniem wielu konstytucjonalistów Trybunał po prostu nie mógł podjąć innej decyzji i tutaj wkraczamy na grunt prawny.

Wniosek ponad 100 posłów czekał w Trybunale w kolejce od ponad trzech lat, status quo naruszono jednak dopiero w czasie pandemii, kiedy negatywne skutki społeczne można było łatwo przewidzieć.



Z Jadwigą Emilewicz, była wicepremier, posłanką Zjednoczonej Prawicy rozmawia Marcin Makowski

Polacy nas rozliczą

FOT. JERZY DUDKIN/FOTUM

To trzeci aspekt całego zagadnienia – polityka. To, z czym mam dziś problem – równocześnie stojąc na straży ochrony życia – polega na momencie, w którym zapadł wyrok oraz na drodze do jego przygotowania. Oczywiście były dla mnie związane z tym emocje, które spłaszczyły fundamentalną dyskusję o godności człowieka do memów i wulgaryzmów. Chcąc przekonać młodych ludzi do swojego zdania, dziś nie mam takiej możliwości. Stawiane przez nich warunki praktycznie ją przekreślają. Dzisiaj zdecydowanie bardziej powinniśmy się skupić na ochronie zdrowia Polaków i zabezpieczeniu gospodarki przed recesją.

Jak to zrobić skutecznie?

Uważam, że tego typu zmiany powinny być poprzedzone krokami, które pozwoliłyby nam powiedzieć, że w pierwszej kolejności państwo zrobiło wszystko, co było w jego mocy, aby gwarantować rodzinom, matkom i tym dzieciom pełną troskę i opiekę. W sytuacji, w której rodziny nie są w stanie, czy to psychicznie, czy materialnie, wziąć odpowiedzialności za te dzieci – państwo zrobi to za nich. Podejmując się przeprowadzenia takich zmian, trzeba rozmawiać i z kobietami, i z rodzinami.

Bardzo mocne oskarżenie.

To nie jest oskarżenie, bo przecież Trybunał nie musi takich rzeczy wiedzieć.

Naprawdę?

To nie jest kompetencja TK.

Chyba jednak powinien wiedzieć, w jakim kontekście prawnym i społecznym wydaje wyroki. Mówimy o nieprzygotowaniu państwa. Czyja to wina?

Jestem przedstawicielem tego obozu od pięciu lat, od roku w Sejmie – to zatem także moja odpowiedzialność. O inicjatywie posłów, którzy prosili o zbadanie przesłanki eugenicznej, wiemy, ale czasami w tym, co się dzieje w polityce, nie ma teorii spiskowej, dużą rolę odgrywa natomiast przypadek.

W najnowszych sondażach to PiS na tle innych partii traci najwięcej. Czy to chwilowe zachwianie, czy początek głębszego kryzysu Zjednoczonej Prawicy?

Mam nadzieję, że to chwilowa zadyszka. Jej źródło jest wiele: zmęczenie i zniecierpliwienie obywateli sytuacją pandemiczną, pogarszającym się stanem gospodarki, sytuacją międzynarodową. Zewsząd słychać głosy, że służba zdrowia nie radzi sobie z pandemią, ale ja pytam – a gdzie sobie radzi? We Francji, w Wielkiej Brytanii, Niemczech, we Włoszech, w Austrii?

Sądzę, że nikt rozsądny nie oczekuje, iż PiS pokona pandemię, skoro skapitulował przed nią cały świat. Wyborcy pytają raczej, czy można było się na nią przygotować lepiej?

Myślę, że z tego Polacy rozliczą nas przy następnych wyborach. Dzisiaj, jeśli jest złość czy wątpliwości, mogą być kierowane przeciwko rządzącym, ale staramy się wszystkich prosić, robi to również premier, aby na chwilę odłożyć pozamerytoryczne spory. Czas na przeanalizowanie stanu przygotowania do pandemii przyjdzie niebawem, być może wiosną przyszłego roku, gdy sytuacja się poprawi i będzie już, mam nadzieję, szczerą. Wtedy opozycja będzie miała czas do bezwzględnej oceny. Dzisiaj powinniśmy się cofnąć o pół kroku – i my, i opozycja – zjednoczyć się wobec wspólnego wroga, którym jest koronawirus.

Mówi pani podobnie jak premier Morawiecki i prezydent Duda, w zupełnie innym duchu brzmi jednak przesłanie premiera Jarosława Kaczyńskiego. Wezwał on członków PiS do obrony kościołów, drugą stronę nazwał nihilistami, wzywając do patriotycznej walki na wojnie o przyszłość Polski.

To wystąpienie było już szeroko omawiane, nie chciałabym do niego wracać. Mogę tylko powiedzieć, że wiele osób wtedy – nawet popierających postulaty Strajku Kobiet – uznało, że bezczeszcz-

nie świątyni było jednym krokiem za daleko, stąd konieczność reakcji. Oburzenie można wyrażać w różny sposób, premier Kaczyński wybrał swój.

Prezes PiS miał również wyrazić umiarkowane poparcie dla prezydenckiego projektu ograniczenia wyroku Trybunału do zakazu aborcji na dzieciach z trisomią. Jak pani zagłosowała w tej sprawie?

To jest trudna decyzja, ponieważ prawnie chronić życie, dopuszczamy jednak pewne warunki do przerwania ciąży, czyli robimy od tej ochrony wyjątek. Przeczytałam jednak tę ustawę uważnie, rozmawiałam na ten temat z wieloma ekspertami i myślę, że ona idzie w dobrą stronę. Mówimy przecież o nielicznych i bardzo drastycznych przypadkach wad śmiertelnych, dlatego prawdopodobnie zagłosowałabym „za”, ale chciałabym również usłyszeć na ten temat głos lekarzy i konstytucjonalistów. Jako obóz polityczny powinniśmy rozmawiać o niej maksymalnie szeroko – z udziałem kobiet i rodzin.

Na razie konstytucjonaliści twierdzą, że problem polega nie tyle na doprecyzowaniu wyroku Trybunału, ile na braku jego publikacji. Skąd ta zwłoka?

Pamiętajmy, że Rządowe Centrum Legislacji zobowiązane jest do niezwłocznego opublikowania wyroku, a na razie nie mam wrażenia, aby nastąpiła istotna zwłoka. Decyzja wpłynęła do KPRM pod koniec października, nie słyszałam, aby ktokolwiek stwierdził, że jej nie opublikuje. Rozumiem, że skoro pojawiła się ustawa odnosząca się do wyroku, to należy zbadać jej losy.

W takiej sytuacji każdy wyrok Trybunału dałoby się odrzucać w nieskończoność, zgłaszając poprawki ustawowe do jego wykładni. Przecież to tak nie działa.

Dlatego nie sądzę, aby doszło do sytuacji, w której ewentualne niepowodzenie projektu prezydenckiego przeciągałoby brak publikacji.

Czy uważa pani, że już po pandemii – jak proponuje np. Władysław Kosiniak-Kamysz – w Polsce powinno się odbyć referendum na temat aborcji?

Nie wiem, czy temat życia i śmierci powinien być zagadnieniem referendalnym. Przecież w referendum już raz przyjęliśmy konstytucję, której zapisy dały podstawę do obecnej decyzji TK. Przy tej okazji wydaje mi się, że dopiero teraz okazuje się, jak mało czasu poświęciliśmy na realną dyskusję na temat wartości i odpowiedzialności, zwłaszcza z młodymi ludźmi.

Dlaczego młodzi tak bardzo od PiS odeszli? Może zabrakło empatii? Widziałem niedawno na Twitterze pani zdjęcie zza szyby – ponoć drogiej – poznańskiej restauracji. „PiS to jednak stan umysłu jest. Spacerujemy w obronie praw kobiet, a poseł Emilewicz przy ośmiorniczkach” – brzmiał komentarz poseł Joanny Jaśkowiak.

Uśmiechając się, sprostuję, że to nie były ośmiorniczki, tylko zwykła zupa. Pani poseł zupełnie świadomie skłamała, ale zostawmy to. Nie wiem, skąd furia pod moim adresem. Poznań moje poglądy na temat aborcji przecież znał. Jeśli chodzi o temperaturę sporu – to zachęcam panią poseł Jaśkowiak i innych członków opozycji do refleksji. Dzisiaj to nasza strona jest pod pregiem, często również grozi się nam fizycznymi atakami. Widzimy, co się dzieje w innych krajach Unii Europejskiej i USA, gdzie ludzie na ulicach tracą życie. Chyba nie tego w Polsce chcemy? Na szczęście skala protestów, choć ogromna, jest nadal na poziomie mieszczącym się w ramach cywilizowanych w demokrację państwie. Oby tak pozostało.

Jako wicepremier jeszcze niedawno odpowiadała pani za rozwój – czy czeka nas nieuchronny powrót do „twardego” lockdownu?

Nie mam pełnej wiedzy na temat statystyk zdrowotnych, ale musimy zrobić wszystko, co w naszej mocy, aby do pełnego lockdownu nie doszło. Równocześnie konieczne jest sprawne komunikowanie następnych kroków. Nie możemy zaskakiwać przedsiębiorców i kazać im zmieniać swoją pracę z dnia na dzień.

A jak się pani czuje po drugiej stronie politycznego Styksu? Już nie jako wicepremier, ale poseł. Jest łatwiej czy jednak tęskni się za tym, co minione?

Miałam za sobą bardzo intensywnych pięć lat w rządzie. Co kilka miesięcy przekonywałam współpracowników, że za kolejnym wirażem będzie spokojniej. Okazywało się, że jest trudniej. Mam poczucie satysfakcji – nawet ostatnie wyniki pokazujące wydatki na badania i rozwój za 2019 r. są powodem do radości. Podobnie jak życzliwe głosy przedsiębiorców dziękujących za tarczę. Polityk płaci osobistą cenę rozłąki z rodziną. Teraz cieszę się, że mam więcej czasu dla dorastających synów, którzy z tego obfitości korzystają. Od polityki nie uciekam. Zamierzam być aktywnym posłem. Żyjemy w czasach przełomu, rysują się nowe podziały polityczne i społeczne. Teraz trzeba brać odpowiedzialność za ciąg dalszy naszej historii.



**Z Robertem Winnickim,
połsem Konfederacji,
pierwszym prezesem
Ruchu Narodowego,
jednym z inicjatorów
Marszu Niepodległości
rozmawia
Ryszard Gromadzki**

RYSZARD GROMADZKI: 2 listopada minął termin publikacji wyroku Trybunału Konstytucyjnego, który 22 października orzekł, że tzw. przesłanka eugeniczna, umożliwiająca aborcję m.in. dzieci z zespołem Downa, jest niezgodna z konstytucją. Publikacji nie ma, a rząd kluczy w tej sprawie. Dlaczego?

ROBERT WINNICKI: Najwyraźniej PiS przestraszył się feministycznych manifestacji. Dlatego teraz szuka sposobu, jak wyroku nie publikować, jak całą tę sytuację rozebrać od strony prawnej. Na to wszystko wskazuje.

Rządzący ulegli presji ulicy?

PiS nie przewidział kilku rzeczy. Przede wszystkim fali oporu przeciw wyrokowi Trybunału Konstytucyjnego. Po drugie, nie przewidział, że ten opór wyleje się w postaci powszechnego niezadowolenia społecznego. Te protesty organizowane są pod hasłem „Strajku kobiet”, ale w rzeczywistości są sumą antyrządowych emocji z pięciu lat. Uczestniczą w nich ludzie, którzy protestują przeciw lockdownowi. Na jednej z demonstracji pojawili się rolnicy na traktorach protestujący przeciw „piątce Kaczyńskiego”. Są tam ludzie, którzy wyrażają niezadowolenie ze stanu służby

Niepodległość myślenia

zdrowia. Na ten uliczny efekt składa się też suma wszystkich wpadek politycznych PiS. Z „piątką Kaczyńskiego” na czele, z zapowiedziami kolejnych lockdownów i ograniczeń życia gospodarczego. Wszystko to razem przekłada się na skalę manifestacji, które od ponad dwóch tygodni możemy w Polsce obserwować.

Prezydent Andrzej Duda w reakcji na protesty feministek wystąpił z inicjatywą ustawodawczą, która w istocie utrzymuje przesłankę eugeniczną do legalnej aborcji, tyle że w innej postaci niż dotychczas. Za takim rozwiązaniem opowiedziała się część posłów Konfederacji. Czy pana zdaniem pomysł prezydenta zyska poparcie większości parlamentarnej?

Rzeczywiście głosy w tej sprawie są w Konfederacji podzielone. Ja mogę odpowiadać za stanowisko koleżanek oraz kolegów z Ruchu Narodowego. Uważamy, że zmiana proponowana przez prezydenta jest po pierwsze wadliwa w samej konstrukcji zapisu. Po drugie, poprawka prezydenta wprowadza kategorię, która jest de facto umowna, całkowicie uznaniowa. W dyskursie używa się podziału na dzieci z zespołem Downa i z podobnymi wadami, które należy chronić przed działaniem „aborcyjnego topora”, oraz przypadki innych dzieci w bardzo poważnym stopniu obciążone wadami rozwojowymi czy chorobami. Problem polega na tym, że dzieci z zespołem Downa także mogą być obciążone wadami letalnymi. Znam osoby, których córka urodziła się z zespołem Downa i jednocześnie poważną wadą serca. Dziecko zmarło po pięciu miesiącach. Przyczyną śmierci była wada serca spowodowana zespołem Downa. Można więc powiedzieć, że była to wada letalna, która w konsekwencji doprowadziła do śmierci dziecka. W tej sytuacji mówimy o zespole Downa, czyli chorobie, z którą zdecydowana większość dotkniętych nią osób dożywa względnie późnych lat życia.

Czy w takim razie inicjatywę prezydenta, pomijając już kluczowy aspekt etyczny, można uznać za prawny paradoks? Głowa państwa podważa wyrok Trybunału Konstytucyjnego, a tym samym występuje przeciw konstytucji, której strażnikiem powinien być prezydent.

W tym aspekcie wprowadzenie kategorii jakiegokolwiek rozróżnienia przesłanki eugenicznej w świetle interpretacji Trybunału Konstytucyjnego i artykułu 38 konstytucji wydaje się po prostu nieuprawnione. Trybunał przecież jasno orzekł, że w świetle konstytucji z 1997 r. jakkolwiek aborcja o podłożu eugenicznym jest niezgodna z ustawą zasadniczą. Tymczasem w poprawce zaproponowanej przez prezydenta nawet ryzyko, samo podejrzenie, że wystąpią jakieś choroby czy wady rozwojowe już jest powodem czy przesłanką, żeby zabić takie dziecko. Przypomnijmy, że badania prenatalne obciążone są dużym odsetkiem wyników, które albo się nie potwierdzają, albo też nie są w stanie uwzględnić dynamiki rozwoju dziecka w życiu płodowym czy w pierwszych miesiącach życia. Po prostu często dzieje się tak, że badania prenatalne stwierdzają jakieś wady rozwojowe czy choroby, lekarze namawiają rodziców do zabicia dziecka, rodzice się na to nie zgadzają i mamy wiele przypadków dzieci, które urodziły się całkowicie zdrowe albo z wadą, która pozwala im normalnie żyć i rozwijać się, funkcjonować w rodzinie i społeczeństwie. Dlatego propozycje prezydenta, a zwłaszcza sposób, w jaki je sformułował, są całkowicie nietrafione.

Czy to nie jest wchodzenie w kompetencje Pana Boga przez prezydenta i polityków opowiadających się za takim rozwiązaniem?

Jest to całkowiec arbitralne. W tym sensie rzeczywiście można mówić o wchodzeniu w kompetencje Pana Boga. Natomiast w moim przekonaniu, w oparciu o mój stan wiedzy – a interesowałem

się tymi zagadnieniami w naturalny sposób, bo jestem ojcem kilkuletnich dzieci – takie rozwiązania, które proponuje prezydent, nie mają żadnej podstawy naukowej. Precyzyjne udowodnienie, w jakim kierunku pójdzie rozwój dziecka na etapie życia płodowego i po narodzinach, jest po prostu niemożliwe. Nie mamy takiej wiedzy, nie mamy takich możliwości. Nawet jeśli nauka pójdzie bardzo do przodu, to nie zyskamy pewności, w jakim kierunku pójdzie rozwój dziecka na bardzo wczesnym etapie życia.

Czy propozycja prezydenta zmierza do stworzenia „nowego kompromisu aborcyjnego”? Czy to w ogóle możliwe przy furii demonstrowanej przez lewicę i zasadniczych rozbieżnościach wśród innych ugrupowań?

Sądzę, że taka jest intencja prezydenta i wicepremiera Gowina. Nie mam pojęcia, czy jest na to szansa w Sejmie. Żeby tak się stało, musiałby się za tym opowiedzieć cały klub PiS od A do Z, w co – szczerze mówiąc – wątpię. Alternatywą jest szukanie koalicji z Platformą i PSL, bo Lewica jest zdecydowanie przeciw. Moim zdaniem zbudowanie większości dla tego projektu w Sejmie będzie niezwykle trudne.

To, co się dzieje od ponad dwóch tygodni na ulicach, to feministyczna rebelia czy zaplanowany przewrót polityczny? Dlaczego służby państwa wobec agresji ze strony demonstrantów, ataków na kościoły były tak biernie?

Rozruchy, które obserwujemy, od samego początku wyszły poza protesty feministek. Lewica stara się tym protestom nadać kształt, narzucić swoją agendę. Jeszcze raz podkreślam, że masowość tych demonstracji wynika z tego, iż nabrały one charakteru ogólnych wystąpień antyrządowych, gdzie orzeczenie Trybunału Konstytucyjnego było tylko zapalnikiem, momentem, w którym emocje społeczne znalazły ujście. Lewica próbuje wykorzystać te protesty dla swoich celów. Świadczą o tym ataki na kościoły, pomniki Jana Pawła II, ale nie tylko, bo dostało się też pomnikowi Ronalda Reagana. Ta strategia okazała się jednak mało skuteczna i raczej zraża Polaków. Dlatego w ostatnim czasie z niej zrezygnowano. Cała ta sytuacja pokazuje po raz kolejny presję agendy liberalno-lewicowej, która idzie do nas z Zachodu od dekad. Organizacje inspirowane zamieszki mają wsparcie nie tylko bezpośrednie w postaci anarchistycznych bojówek, czego doświadczyliśmy podczas

Marszu Niepodległości, ale mówię też o wsparciu materialnym, organizacyjnym czy ze strony mediów. To wszystko lewica próbuje przekuć w totalną wojnę światopoglądową wokół orzeczenia Trybunału Konstytucyjnego i ogólnego niezadowolenia z polityki rządu. Niemoc rządu jest niepokojąca. Nie odbieram nikomu prawa do manifestowania, obywatele mają prawo wyrażać swoje niezadowolenie. Natomiast ochrona miejsc kultu czy pomników jest elementarnym obowiązkiem państwa. Tymczasem profanacje świątyń czy pomników często odbywały się wręcz pod nosem policji. Według mnie była to zadaniowana bierność, która miała na celu odwrócenie uwagi od bieżących problemów państwa, od kolejnych lockdownów czy zapaści służby zdrowia. Kiedy te protesty wybuchły, kiedy przybrały skrajnie lewicowy charakter, Jarosław Kaczyński przez chwilę myślał, że uda mu się ten ruch wykorzystać do pogłębienia polaryzacji.

Sprawy wymknęły się spod kontroli?

Na pewno sytuacja wymknęła mu się spod kontroli. On sądził, że jeśli policja nie będzie reagować na ataki na kościoły, to on na tym wygra. Ale się przeliczył, zresztą po raz kolejny w ostatnich miesiącach. Obawiam się, a raczej stwierdzam, że Jarosław Kaczyński za bardzo uwierzył we własną propagandę serwowaną przez TVP i nie potrafi już realnie ocenić rzeczywistości, która jest za oknem.

Czy ostatnie wydarzenia w Polsce nie wpisują się w globalną rewoltę antywartości? Czy chaos i społeczna dezintegracja wywołana pandemią temu nie sprzyjają?

Niewątpliwie to, co obserwujemy dziś w Polsce, to rezultat ofensywy kulturowej lewicy. Ten proces postępuje na uczelniach, w mediach, kulturze. To efekt długofalowego działania. Rok 2020 jest rokiem szczególnym, rokiem przełomowym. Epidemia koronawirusa niesie ze sobą polityczne przewartościowania, zmiany stref wpływów. Ale też widoczne są próby testowania całych narodów w kwestii bezpieczeństwa czy wolności osobistej. To się rzeczywiście dzieje i przed tym należy bardzo mocno przestrzegać. W USA Trump sam przeszedł koronawirusa kilka tygodni temu. Jednak mówił Amerykanom, że nie można zamknąć się całkowicie w domu, zrezygnować z normalnego życia. Niezależnie od tego, że bardzo krytycznie oceniam Trumpa i jego politykę wobec Polski, uważam,

że jego przestanie w sprawie COVID-19 jest właściwe. Dlatego jako Konfederacja mówimy jasno, że nie lekceważymy koronawirusa, ale próba zorganizowania na nowo, a właściwie zdeorganizowania całego państwa poprzez masowy lockdown skutkuje zapaścią wielu dziedzin życia. Koszty w zdrowiu Polaków i gospodarce są wyższe niż zyski.

W antyrządowych demonstracjach pod szyldem Strajku Kobiet pomimo rygorów epidemicznych uczestniczyły setki tysięcy ludzi. Nie boi się pan oskarżeń, że Marsz Niepodległości będzie uznawany za rozsadek epidemii?

Apeluję do rządzących o elementarną powagę. Wprowadzili zakaz wstępu na cmentarze dzień przed świątecznym weekendem, demolując biznesy setek tysięcy ludzi zajmujących się ogrodnictwem czy handlem przy cmentarzach. Utrudnili też życie milionom Polaków, uderzając w tradycję, która, mój Boże, jest u nas starsza niż chrześcijaństwo. To absolutna paranoja. Tym bardziej że rząd w żaden sposób nie przeciwstawił się wielotyściennym manifestacjom lewicy. Wracając do Marszu Niepodległości, czujemy się wyposażeni w autorytet epidemiologa prof. Simona, który twierdzi, że masowe uliczne demonstracje nie przyczyniają się do rozprzestrzeniania epidemii, nie widzę więc żadnego powodu, dla którego Marsz Niepodległości miałby zostać odwołany. Nawet jeżeli władze Warszawy będą chciały marsz zdelegalizować, to pójdziemy w spontanicznym przemarszu. Dokładnie tak określano te wszystkie manifestacje w poprzednich tygodniach. Myślę, że Marsz Niepodległości w tym roku będzie miał szczególny wymiar: wołania o zdrowy rozsądek, o niepodległość, na którą zdobył się np. rząd Szwecji. Nie mówię, że Polska ma kopiować jeden do jednego rozwiązania rządu szwedzkiego w kontekście koronawirusa, ale niepodległość jest nam potrzebna jako niepodległe myślenie o tym, jak zarządzać gospodarką, jak zarządzać sprawami publicznymi w tym szczególnym okresie. Mechaniczne kopiowanie lockdownu wzorem niektórych państw zachodnich nie jest dobrym rozwiązaniem. Marsz Niepodległości, poza głośnym wołaniem o niepodległość i suwerenność państwa, w tym roku powinien też być wołaniem o niepodległość i suwerenność myśli w zakresie radzenia sobie przez Polskę z sytuacją spowodowaną przez COVID-19 i politykę rządu.



Maciej Pieczyński

Robert Bąkiewicz, znienawidzony przez lewicę obrońca kościołów, do narodowców trafił po tym, gdy jego biznes runął. Wówczas przewartościował swoje życie

Jest dziś najbardziej rozpoznawalną twarzą środowiska narodowców. A raczej tej jego pozaparlamentarnej, „ulicznej” części, która wzięła na siebie obronę kościołów przed agresją proaborcyjnych manifestacji. Dlatego, obok Kai Godek, stał się chyba najbardziej znienawidzonym przez lewicę człowiekiem w Polsce. Otrzymywał groźby i nawet poprosił o pomoc policję.

Straż Narodowa została przez lewicę okrzyknięta mianem „bojówek Kaczyńskiego”, które miały jakoby powstać na wezwanie prezesa PiS, apelującego o obronę kościołów. Problem w tym, że chronologia zdarzeń przeczy takiej tezie. Bąkiewicz zapowiedział powstanie Straży dzień przed wystąpieniem lidera partii rządzącej.

MIĘDZY PIS A KONFEDERACJĄ

W czasie kampanii prezydenckiej, gdy Krzysztof Bosak konsekwentnie unikał wskazania swojego kandydata w drugiej turze, Bąkiewicz wprost zadeklarował, że zagłosuje na Dudę. Chwalił urzędującego prezydenta, twierdząc, że przyspieszy on działania chroniące Polskę przed „rewolucją antykulturową”. Pojawiły się teorie, w myśl których Bąkiewicz i jego Roty Niepodległości mogą stać się „narodową” przystawką PiS. Jednak jak do tej pory takie przewidywania się nie potwierdziły.

Gdy Bąkiewicz ogłosił powstanie Straży Narodowej, wielu komentatorów złośliwie pytało, gdzie podziła się młodzieżówka PiS, jeszcze niedawno tak aktywna, ale na polu walki o „prawa zwierząt”. Wyglądało na to, że narodowcy zawstydzili partię rządzącą. Albo, z drugiej strony, że zostali wykorzystani przez Jarosława Kaczyńskiego do „brudnej roboty”. Fala krytyki za rzekome „bicie kobiet na ulicach” spadła na „prawicowych bojówkarzy” Bąkiewicza, pośrednio jednak również na PiS, skoro lewica próbuje owe „bojówki” zapisać do partii Kaczyńskiego.



FOT. ZBYSZEK KACZMAREK/REPORTER

Lider strażników

Wizerunek „obroncy Kościoła” niewątpliwie przysporzy Bąkiewiczowi popularności na prawicy. I zwiększy jego rozpoznawalność. Znenawidzony przez skrajną lewicę, na przeciwnym biegunie sceny może mieć szansę na polityczny sukces. – Wiadomo, że nasza działalność ma charakter polityczny, ponieważ walczymy o realizację konkretnych postulatów. Na tę chwilę nie ma jednak charakteru partyjnego – przekonuje Bąkiewicz w rozmowie z „Do Rzeczy”. – Obecnie nie planuję wchodzić do partyjnej polityki. Polityka polega na zawieraniu kompromisów, ja natomiast nie zamierzam ustępować w fundamental-

nych dla mnie sprawach – mówi. I dodaje: – Działalność społeczna pozwala mi pozostać człowiekiem niezależnym. Mogłem w wyborach na prezydenta poprzeć Dudę przeciwko Trzaskowskiemu, rozumiejąc tragizm wyboru, nie musiałem jednak oglądać się na jakiegokolwiek polityczne układy. Poparłem kandydata PiS, mimo że dostrzegałem i dostrzegam bardzo wiele błędów jego prezydentury. Nie gram jednak w żadnym partyjnym teamie i mogę popierać, kogo chcę. Może to zabrzmieć górnolotnie, ale moja niezależność pozwala mi spokojnie skupić się na nieskrępowanej zobowiązaniami politycznymi działalności

dla Polski i dla Boga. Patrzę na własne dzieci, myślę o tym, jaki świat im zostawię.

OD PRZEDSIĘBIORCY DO „BOJÓWKARZA”

Robert Bąkiewicz w latach 90. studiował ekonomię, ale studiów nie ukończył. Założył własną firmę – przez kilkanaście lat prowadził hurtownie budowlane oraz realizował inwestycje deweloperskie. Przyznaje, że był wówczas materialistą, skupionym na zarabianiu pieniędzy. Katolikiem był, ale „letnim”. – Wobec Boga przyjmowałem postawę roszczeniową. Zwracałem się do Niego tylko wtedy, gdy czegoś potrzebowałem. Ale On mnie przechołgał, doświadczył i następnie pozwolił zrozumieć, co jest w życiu najważniejsze – opowiada Bąkiewicz.

Przełom zaczął się od problemów finansowych. Kiedy zabrakło pieniędzy, zaczął doceniać to, co – jak zapewnia – dziś w jego życiu najważniejsze: rodzinę i wiarę. Stracił firmę i zyskał mnóstwo czasu na przemyślenie własnego życia. Tak trafił do szeroko rozumianego ruchu narodowego. – Zacząłem dostrzegać, że to, co nam serwują media czy popkultura, dalece odbiega od rzeczywistości. Zauważyłem na przykład, że w filmach dokumentalnych czy serialach jest wyraźna nadreprezentacja homoseksualistów, którzy przecież w realnym życiu stanowią nieliczną mniejszość – opowiada. – Jako ojciec dwójga dzieci dostrzegłem też skalę zagrożenia ze strony postępującej ideologii gender. Miałem potrzebę przeciwdziałania tym zjawiskom.

Trafił do organizacji Polska Niepodległa, następnie do ONR. Jako były przedsiębiorca miał to, czego w jego ocenie wówczas brakowało w środowiskach narodowych – umiejętności organizacyjne i doświadczenie w zarządzaniu ludźmi. Dlatego pięć się po kolejnych szczeblach hierarchii. Aż został prezesem Stowarzyszenia Marsz Niepodległości, założył Roty Niepodległości, a niedawno – Straż Narodową.

Korzenie obecnej postawy Bąkiewicza tkwią jednak jeszcze głębiej. Pewne wzorce, towarzyszyły mu już wcześniej. – Ojciec był działaczem Solidarności w latach 80. Pamiętam, jak z oburzeniem oglądał konferencje Urbana. W domu przechowywał antyrządowe ulotki. Wychowałem się w atmosferze antykomunizmu – wspomina Bąkiewicz. Jako dziecko i nastolatek zaczytywał się w książkach o Indianach, rycerzach, bohaterach wojennych. – Zawsze w duszy mi grały ideały walki dobra ze złem, etos męskości w jej tradycyjnym

rozumieniu. Wtedy jednak to było jeszcze nie do końca przemyślane, uporządkowane. Te młodzieńcze ideały znalazły konkretny, dojrzały kształt dopiero w ramach środowiska narodowego – wyznaje.

W młodości grał w piłkę nożną w Zniczu Pruszków (tam, gdzie później Robert Lewandowski). Trener odegrał ważną rolę w kształtowaniu siły jego charakteru. – To był pryncypialny katolik, personifikacja cech rzadko spotykanych w świecie zniewieściłych mężczyzn. Stał się dla mnie wzorem – wspomina Bąkiewicz.

Wychował się w Pruszkowie. – W latach 90. to miasto nie należało do najspokojniejszych. Gangsterski świat oddziaływał na młodych ludzi, którzy mieli potrzebę odgrywania jakiejś roli w grupie. Nie należałem do żadnych bojówkarskich organizacji, nie byłem bandytą ani przestępcą, ale „grzecznym chłopcem” też nie. Byłem wysportowany, emocje buzowały, dobrze sobie radziłem w sytuacjach sporów ulicznych – wspomina enigmatycznie.

POKOJOWA KONTRREWOLUCJA

Dzisiaj emocje buzują na ulicach polskich miast. I jest spór o to, kto powinien zagwarantować ludziom bezpieczeństwo. „Od utrzymywania porządku i egzekwowania prawa jest policja. Tworzenie »bojówek« jest niebezpiecznym i nieodpowiedzialnym działaniem” – komentował przewodniczący Zarządu Głównego NSZZ Policjantów Rafał Jankowski. Jednocześnie zdaniem wielu komentatorów policja nie była w stanie utrzymać porządku. Według Bąkiewicza MSW „nie chciało wojny, ma więc hańbę i wojnę”. „Środowiska lewicowe mówią, że to jest wojna, i my do tej wojny przystępujemy. Czas pokoju i tolerowania barbarzyńców minął” – grzmiał Bąkiewicz podczas konferencji prasowej. – Chcemy ograniczać dostęp wandalii do świątyń, bronić się będziemy jedynie w sytuacji zagrożenia zdrowia i życia – mówi Bąkiewicz. – To tamta strona jest zdeterminowana do agresji, wbrew szumnym hasłom o tolerancji i otwartości. Nie jesteśmy tchórzami, ale sami pierwsi nie uderzymy na przeciwnika. Zamierzamy działać w ramach prawa. Lewica chwilowo wycofała się z ataków na kościoły. Jestem jednak przekonany, że ten krok w tył wykonała jedynie po to, aby potem zrobić dwa kroki w przód i znów zaatakować. Straż Narodowa ma służyć nie tylko fizycznej obronie kościołów, lecz także konsolidować środowisko – dodaje.

– Jednak po „tamtej stronie” są nie tylko lewackie bojówki, lecz także tysiące zwy-

kłych ludzi, którzy popierają proaborcyjne hasła. Czy to nie oznacza, że prawicowe, konserwatywne, katolickie wartości są jednak w Polsce w odwrocie? Że przegrywacie wojnę o rząd dusz? – pytam.

– Niestety, to prawda. Natomiast dziś mamy pobudkę społeczeństwa – odpowiada. – Być może na tym duchu sprzeciwu uda nam się doprowadzić do działań kontrrewolucyjnych. Podkreślam to na wypadek, gdyby czytelnicy mieli wątpliwości: chodzi o pokojową kontrrewolucję, kontrrewolucję bardziej w sferze ducha niż materii. Dlatego trzeba odzyskać kulturę, edukację, sztukę. Pokonać wszechobecny relatywizm, który nie pozwala odróżniać dobra od zła, prawdy od fałszu. Trzeba odbudować społeczeństwo, dziś rozbite na miliony samodzielnych atomów, zdemoralizowanych jednostek, którym często zależy jedynie na realizacji własnych potrzeb, bez brania odpowiedzialności za własne decyzje. Te jednostki są kompletnie nieprzygotowane do poświęceń dla drugiego człowieka, dla idei, dla Boga. Dzisiaj toczy się dyskusja o prawie do zabijania dzieci nienarodzonych. Następnym etapem będzie eutanazja. Młode kobiety, które dziś walczą o aborcję, bo chcą w pełni korzystać z dobrodziejstw życia, zaspokajając swoje żądze seksualne bez strachu przed odpowiedzialnością, za kilkadziesiąt lat, gdy już nie będą tak powabne, trafią być może do domu starców, a tam być może osiągnie je eutanazja, bo już nie będą nikomu potrzebne. Społeczeństwo, próbując ograniczyć obronę życia, samo podcina gałąź, na której siedzi.

Pokazem siły środowisk narodowych, patriotycznych i katolickich ma być, jak co roku, Marsz Niepodległości. Tym razem pod hasłem „Nasza cywilizacja – nasze zasady”. – W tym roku świętowaliśmy setną rocznicę pokonania bolszewików pod Warszawą. Dzisiaj musimy pokonać tęczową neobolszewię, marksizm kulturowy – mówi prezes Stowarzyszenia. Na pytanie o legalność marszu Bąkiewicz odpowiada: – Formalnie mamy zarejestrowane zgromadzenie. Być może jeszcze przed 11 listopada rząd zniesie obostrzenia.

Dopytywany, czy marsz ruszy nawet wtedy, gdy będzie zakaz, wskazuje, że państwo tolerowało też lewicowe demonstracje. – Powinno więc zaakceptować również naszą inicjatywę. Może przecież legalnie się odbyć zgromadzenie do pięciu osób. A to, że wokół tego zgromadzenia będzie spacerować kolejnych kilkadziesiąt tysięcy...

Czy mamy jakiś cel?



Premier ogłosił decyzję o restrykcjach, ale znów nie podano dowodów na to, że takie ograniczenia mają w ogóle sens. FOT. KRYSZTOF MAJ/KPRM



Łukasz Warzecha

Już dziś powinniśmy opracowywać model funkcjonowania państwa zakładający, że wirus tu będzie, ludzie będą chorować, będą umierać – ale życie po prostu musi toczyć się dalej

Ubiegłotygodniowa konferencja prasowa, na której premier ogłosił kolejne restrykcje, nieco różniła się od poprzednich. Po raz pierwszy szef rządu pokazał coś, co mogło zostać potraktowane jako miernik uzależniający poziom obostrzeń od poziomu zachorowań. Na wielkim ekranie za plecami szefa rządu ukazało się to w formie kolorowego wykresu. Po raz pierwszy też bardzo delikatnie – ale jednak – Mateusz Morawiecki napomknął o konieczności wypracowania trwałych rozwiązań dla biznesu, mającego działać w warunkach epidemii. Chyba również po

raz pierwszy nie wspominał o szczepionce, ale to może przez przeoczenie. Uważni obserwatorzy nie mogli też nie zauważyć, że występujący – Mateusz Morawiecki, Adam Niedzielski i prof. Horban – jak ognia unikali drażniącego słowa „lockdown”. Zamiast tego w użyciu była „narodowa kwarantanna”, od której ma nas dzielić ledwie krok.

Premier stwierdził ponadto, pytany o sytuację przedsiębiorców, że ci mają zapasy gotówki na kontach, pozostałe jeszcze z wiosennych tarcz, więc dadzą radę. Rząd faktycznie przygląda się uważnie danym pochodzącym z banków, z tym że czym innym jest średnia zasobów finansowych, do której dokładają się przecież również wielkie firmy, które na pomocy państwa bardzo skorzystały, a czym innym sytuacja poszczególnych branż, w dodatku z podziałem firm pod względem wielkości. Na przykład zamknięcia centrów handlowych mogą nie przetrwać mieszkające się tam sklepy, będące częściami niewielkich polskich sieci.

BEZ KALKULACJI

Kierunek, który obrał rząd, tłumacząc to katastrofalną sytuacją w służbie zdrowia,

jest teraz całkowicie odwrotny niż nastroje przedsiębiorców, które z kolei są znacznie gorsze niż wiosną. Owszem, wskaźniki gospodarcze za wrzesień i nawet jeszcze za październik były niezłe, ale tu zawsze jest spore opóźnienie. Organizacje przedsiębiorców, takie jak Związek Przedsiębiorców i Pracodawców czy Business Centre Club, apelowały nie tylko o niewprowadzanie kolejnych ograniczeń, lecz także wręcz przeciwnie – o stopniowe zdejmowanie już istniejących. Rząd na te wezwania pozostał głuchy. Podobnie zresztą jak na powtarzające się apele, aby choć czasowo przywrócić handel w niedziele.

Nie zmieniła się jeszcze jedna rzecz: informując o wprowadzaniu kolejnych restrykcji, nie wspomniano o uzasadnieniu dla nich. Owszem, w jednym momencie – przy ogłaszaniu zamknięcia instytucji kultury, czyli m.in. muzeów, kin i teatrów – premier wyjaśnił, że chodzi o „ograniczanie społecznej mobilności”. To bardzo pojemne stwierdzenie, ale niczego nie tłumaczy. Gdy podejmuje się decyzję o zamknięciu placówek kulturalnych, należałoby przedstawić jakiegokolwiek twarde dowody na to, że w i tak pustych teatrach, kinach czy galeriach dochodzi do

zakażeń lub że ich źródłem jest związana z nimi „mobilność społeczna”. Brak takich dowodów wobec „mobilności” protestów spod znaku Strajku Kobiet robi szczególnie słabe wrażenie.

Wygląda jednak na to – nie po raz pierwszy zresztą – że za decyzjami o kolejnych obrotach przykręcanej coraz bardziej śruby nie stoi żadna konkretna kalkulacja. Są one jedynie kombinacją naśladownictwa tego, co robią państwa idące drogą lockdownów, domysłów i „wydaje mi się” oraz potrzeby zamknąć kina lub centra handlowe, czy też można je pozostawić otwarte.

Rządzący wspominają o prawdzie o modelach, ale są to matematyczne symulacje, zasilane bardzo fragmentarycznymi danymi. A wynik zawsze jest tylko tak dobry jak dane, które przyjmuje się na początku. Te modele obrazują scenariusze przebiegu epidemii, ale nie odpowiadają na pytanie, czy należy zamknąć kina lub centra handlowe, czy też można je pozostawić otwarte.

SZCZEPIONKA JAK ŻŁOTY CIELEC

Nasz największy niepokój powinno jednak wywoływać to, że nie tylko polski rząd, lecz także niemal żaden z wprowadzających kolejne restrykcje rządów w Europie nie przedstawia swoim obywatelom realnej strategicznej perspektywy. Jeśli walczy się z jakimkolwiek kryzysem czy toczy jakąkolwiek wojnę, to ważne jest, aby mieć w polu widzenia cel. I nie może to być cel fantasmagoryczny. W przypadku pandemii koronawirusa cel należy niestety do kategorii zahaczającej o science fiction. Nie chodzi, rzecz jasna, o cel krótkoterminowy, jakim w polskim przypadku jest ocalenie służby zdrowia przed ostatecznym upadkiem. Chodzi o cel długoterminowy. O to, jak władza odpowiedziałaby na pytanie: Jak będą wyglądać i funkcjonować państwo polskie oraz jego obywatele za pół roku, rok, dwa lata? Na to wszystko od tygodni pada tylko jedna odpowiedź: szczepionka.

Szczepionka została ubóstwiona niczym złoty cielec. Premier Morawiecki czy wicepremier Jarosław Gowin kilkakrotnie wspominali o optymistycznym wariantcie, który przewiduje jej dystrybucję nawet jeszcze w tym roku. Ostudźmy ten entuzjazm.

Po pierwsze – na niektóre wirusy szczepionki nie wynaleziono mimo stwarzanego przez nie zagrożenia. „Oryginal-

ny” SARS, którego śmiertelność wynosiła 10 proc., a więc była przynajmniej dziesięciokrotnie wyższa niż wirusa SARS-CoV-2, a którego epidemia miała miejsce 17 lat temu, szczepionki się nie doczekał. Nie ma żadnego powodu, aby sądzić, że mimo trwających w wielu miejscach badań tym razem będzie inaczej. Lub że rezultat pojawi się szybko.

Po drugie – szczepionki, aby zminimalizować niebezpieczeństwo skutków ubocznych, muszą być odpowiednio długo testowane. Na ten czas składają się następujące etapy: wstępne badania (2–5 lat), podczas których wyłania się do 100 potencjalnych szczepionek; badania prekliniczne (2 lata), po których pozostaje 20 „kandydatów”; badania kliniczne w fazie pierwszej, sprawdzające, czy szczepionki są bezpieczne (1–2 lata), wyłaniające do 10 potencjalnych szczepionek; badania kliniczne w fazie drugiej, sprawdzające czy szczepionki stymulują odpowiedź immunologiczną organizmu (2–3 lata), wyłaniające do pięciu produktów; wreszcie badania kliniczne w fazie trzeciej (2–4 lata), odpowiadające na pytanie, czy szczepionka faktycznie chroni przed daną chorobą, i wyłaniające „zwycięzcę”. Na koniec mamy jeszcze zajmujący od roku do dwóch lat etap zatwierdzenia przez odpowiednie urzędy do sprzedaży – ten w przypadku koronawirusa byłby zapewne skrócony do minimum. W sumie dostajemy zatem co najmniej dziewięć, a w wariantcie pesymistycznym aż 16 lat pracy nad szczepionką. Ten czas jest niezbędny również po to, by ocenić uboczne skutki szczepionki w dłuższym okresie, i nie da się go po prostu skrócić. Pytanie brzmi: Czy w przypadku szczepionki na SARS-Cov-2 ma się nagle stać cud i wszystkie te etapy skompresują się w czasie dziesięćkrotnie?

Tak twierdzili autorzy tekstu opublikowanego we wrześniu na portalu prestiżowego czasopisma „Nature”, podsumowującego dotychczasowe prace nad szczepionką na koronawirusa. Według nich mogłaby ona być dystrybuowana już po 10–18 miesiącach.

Pojawia się jednak pytanie trzecie: Czy gdyby nawet jakimś cudem udało się szczepionkę opracować w rekordowo krótkim czasie, to uda się przekonać ludzi, że jest ona bezpieczna, skoro tworzono ją w takim tempie jak socjalistyczni murarze przodownicy pracy w latach 50. budowali sypiące się później domy na warszawskim Mariensztacie?

Sceptycyzm Polaków wobec szczepionki na koronawirusa jest zresztą większy, niż można by przypuszczać. W nowym badaniu Kantaru dla Grupy Luxmed czytamy, że 26 proc. zdecydowanie nie zamierza się zaszczepić i tyle samo raczej nie zamierza tego zrobić. „Zdecydowanie tak” odpowiedziało jedynie 18 proc. badanych. Wśród niechętnych szczepionce, jak łatwo się domyślić, przeważają ludzie młodszy, czyli ci, którzy mają ogromne szanse przeżyć COVID-19 bardzo łagodnie lub bez objawów.

Tymczasem na świecie pojawiają się sygnały mogące wskazywać, że osoby niezaszczepione będą dyskryminowane. W sierpniu premier Australii Scott Morrison oznajmił w wywiadzie, że szczepionka na SARS-CoV-2 powinna być obowiązkowa. Wybuchła awantura, kilka godzin później polityk Liberalnej Partii Australii publicznie wycofywał się ze swoich słów. Kwestia obowiązku szczepień w Australii leży i tak w gestii rządów poszczególnych terytoriów (Australia jest federacją), ale tamtejsi pracodawcy zapowiadają już, że nie będą zatrudniać niezaszczepionych.

Powraca zatem pytanie: Jaki jest cel dla Polski? Zakładając realistycznie, że szczepionka albo nie powstanie, albo powstanie za wiele lat, albo powstanie szybko, ale okaże się tak ryzykowna, że Polacy nie będą chcieli z niej korzystać – jak daleko ma działać państwo? Jak długo mamy trwać w niepewności? Jakie będą koszty depresji, problemów psychicznych, upadku biznesów, zdalnej nauki? Czy ktokolwiek próbował to podsumować?

Trzeba powtórzyć to, co mówiło się już kilka miesięcy temu: nie da się wstrzymać życia na stałe lub nawet co kilka miesięcy przez długi czas w skali państwa czy kontynentu. O ile statystyki zakażeń i zgonów robią wielkie wrażenie natychmiast, ogłaszane przez media i polityków, o tyle koszty faktycznego lockdownu będą rozłożone na lata, ale będą niewyobrażalne – i te finansowe, gospodarcze, i te społeczne. Już teraz powinniśmy opracowywać model funkcjonowania państwa we wszystkich sferach z założeniem, że wirus tu będzie, ludzie będą chorować, będą też umierać – ale życie po prostu musi toczyć się dalej. Model pozwalający wreszcie skończyć etap wyniszczającej psychicznie i biznesowo niepewności. Rozsądny model, oparty nie na panicznych, chaotycznych ruchach, ale na zimnej analizie kosztów.

Cudowny lek?



Łukasz Zboralski

Lekarz z Przemyśla napisał w Internecie, że potrafi wyleczyć COVID-19 w 48 godzin amantadyną. Setki tysięcy Polaków podają dalej tę wiadomość, a lek zniknął z aptek. Nie ma jednak żadnego dowodu, że to naprawdę działa

Można wyleczyć COVID-19 w 48 h” – taki tytuł wpisu pojawił się na stronie internetowej przychodni lekarskiej Optima w Przemyślu. Lekarz pediatra i pulmonolog Włodzimierz Bodnar poinformował publicznie, że wyleczył już 100 osób z koronawirusa, podając im lek zawierający chlorowoderek amantadyny.

Bodnar pisał, że bezskutecznie próbował zainteresować swoją metodą Ministerstwo Zdrowia czy znanych ekspertów zajmujących się w Polsce COVID-19. Tłumaczył, że postanowił działać na własną rękę, bo jego schemat leczenia przynosi efekty.

ZNIKAJĄCY SPECYFIK

Tekst natychmiast stał się przebojem w sieci, a z aptek zaczął znikać stosunkowo niedrogi lek zawierający amantadynę – Viregyt-K. Zauważyli to sami farmaceuci. Administratorzy strony GdziePoLek.pl odnotowali, że przez rozpowszechnianie się doniesień o leczeniu COVID-19 lekami z amantadyną „zainteresowanie pacjentów wzrosło lawinowo”. 29 października zainteresowanie przekraczało nawet wyszukiwania związane łącznie z czterema szczepionkami na gripę – a tych w kraju brakuje i ludzie naprawdę intensywnie ich poszukują. Już 30 października żadna apteka w Warszawie nie miała tego specyfiku. Pacjenci na

forum przemyskiej poradni skarżą się, że nie mogą już nigdzie kupić Viregytu-K. Planują wyjazdy na Słowację, pytają, czy można ten lek zastąpić zamiennikami.

Mało kto zadał sobie jednak pytanie, czy lekarz z Przemyśla naprawdę mógł napisać, że „wyleczył” koronawirusa u pacjentów i że jego schemat działa.

Zaznaczmy, że sprawa nie jest oczywista. Wszyscy – nawet krytykujący lekarza inni specjaliści z Polski – zachowują pewien dystans. Dlaczego? Bo w nauce czasem łamanie reguł prowadziło przecież do nowych ustaleń, przypadki pozwalały odkrywać prawdę. Nie inaczej jest przecież w medycynie. I było tak nawet z samą amantadyną. To lek, który został zarejestrowany i dopuszczony do użycia w końcu lat 60. ubiegłego wieku – w USA jako lek profilaktyczny przeciw grypie. Dzisiaj nie jest już polecany ani przeciw grypie typu A, ani B – bo wirus zmutował i wykazuje odporność na ten lek. Amantadyna jest jednak do dziś na rynku. I sprawił to przypadek. Kobieta



łopolskiego Centrum Biotechnologii UJ czy prof. Wojciech Szczeklik z UJCM. „Nie ma ŻADNYCH przesłanek, że może być skuteczna w leczeniu COVID-19! Z pewnością może za to zaszkodzić” – podsumował amantadynę prof. Szczeklik na Twitterze. Z kolei dr Tomasz Dzieciatkowski z WUM uważa, że ten lek nie może zadziałać. „Koronawirusy – w tym SARS-CoV-2 – mają zupełnie inny mechanizm wnikania do komórek niż wirusy grypy, a w związku z tym amantadyna jako taka nie będzie na nie działała” – tłumaczył na swoim Facebooku.

To nie oznacza, że lek można skreślić. Ale też doktor Bodnar nie ma podstaw, by ogłaszać, że wyleczył nim COVID-19. Dlaczego? Bo do tego potrzebne są badania kliniczne, w których pacjenci dobierani są losowo, a do tego m.in. jest grupa kontrolna dostająca placebo. „Bez tego trudno wyciągnąć jednoznaczne wnioski na temat skuteczności zastosowanej terapii eksperymentalnej” – wskazuje dr Dzieciatkowski.

„PRZEŻYŁEM DWA ŚMIERTELNE ATAKI COVID-19”

W swoich publikacjach, a także w wywiadach na YouTube lekarz z Przemyśla te wątki pomija. Przyznaje wprost, że najpierw leczył rodzinę, która wróciła z Wielkiej Brytanii. Potem leczył innych, ale z niepotwierdzonymi testami COVID-19, tylko zakładając to „po objawach”. Leczył też na początku młodych ludzi z lekkimi objawami. Próbowalem to wyjaśnić.

– Dlaczego nie zgłosił pan leczenia do komisji bioetycznej i nie prowadzi żadnej grupy kontrolnej? Jeśli 80–90 proc. ludzi lekko przechodzi COVID-19, to skąd pan wie, że nie trafiała do pana akurat taka grupa pacjentów, bo ci ciężko chorzy trafiają przecież do szpitali? – dopytywałem.

– Jeśli byśmy o takiej rzeczy mówili, to nie leczyłbym ludzi w ogóle – odpowiada „Do Rzeczy” Włodzimierz Bodnar. – A skąd wiem? Jako lekarz mogę to ocenić.

– Ale ja pytam, skąd pan wie, że działa akurat amantadyna. Przecież w ten sposób można by też uznać, że leczy witamina C – dopytuję.

– Proszę poczytać na stronie u nas opinie wyleczonych pacjentów. W ciężkim przebiegu widzimy efekty w ciągu 48 godzin. Lekarz, mając doświadczenie, może bezspornie to ocenić – ucina Bodnar. Zarzutami innych medyków o brak możliwości udowodnienia działania jest

podenerwowany. – Nie ma drugiego takiego człowieka na świecie jak ja, bo przeżyłem sam dwa śmiertelne ataki COVID-19 i nie powinienem już żyć. Swoje życie postawiłem na szali! I się z tego nie wycofam! – zaznacza. Jest przekonany, że w badaniach klinicznych udowodni swoją rację. Wskazuje też, że i w dzisiejszych schematach leczenia przyjętych w sprawie koronawirusa nie ma przecież leków, które są akurat przeznaczone tylko do tego celu.

Na razie jednak musiał skasować swoje doniesienia o „Wyleczeniu COVID-19 w 48 h” ze strony internetowej. Napisał, że spowodowały to „odgórne naciski”.

„Dotychczasowe informacje medialne zostały przekazane do analizy Okręgowemu Rzecznikowi Odpowiedzialności Zawodowej w Krakowie” – informuje „Do Rzeczy” Rafał Hołubicki, rzecznik Naczelnej Izby Lekarskiej.

Bodnar nie składa jednak broni. Choć na stronie napisał, że nie leczy teraz pacjentów na COVID-19, przekonuje, że wciąż mu to wolno robić. – Ja zawsze leczę pacjentów ciężkich, takich, którzy powinni na zapalenie płuc trafić do szpitala, ale proszą mnie o pomoc i podejmuję ryzyko, za które odpowiadam – tłumaczy. – Nikt mi nie zabroni leczyć, nawet COVID-19. Bo jeśli pacjent odmówi leczenia szpitalnego, leczy się w domu i rodzina mnie poprosi, to mogę pomóc, nawet gdy lek jest niezarejestrowany. Bo ratuję życie – kwituje. A na forum przychodni pacjenci i zwolennicy, a może raczej już nawet wyznawcy Bodnara wietrzą spiski. Uważają, że ktoś celowo próbuje zamknąć lekarzowi usta. Inni w desperacji – np. z bliskim podłączonym do respiratora – pytają o leczenie. A lekarz radzi im w komentarzach amantadynę.

Tymczasem eksperci zalecają ostrożność nie tylko z braku dowodów na skuteczność tego leku. W sprawie COVID-19 szybko próbowano pomóc umierającym ludziom w „wojenny” sposób – testując wszystko, co dostępne. Okazało się, że czasem nie tylko nie pomagano. W przypadku hydroksychlorochiny (a przypomnijmy, że po doniesieniach w kontekście ewentualnej skuteczności w leczeniu koronawirusa z polskich aptek też zniknął lek Plaquenil i osoby leczące toczyń rumieniowatą straciły do niego dostęp) okazało się, że sama nie zmniejsza śmiertelności pacjentów, a w połączeniu z azytromycyną wręcz zwiększa liczbę zgonów.

z chorobą Parkinsona, której w 1969 r. podano amantadynę na grypę, zgłosiła, że ustąpiły jej niektóre objawy Parkinsona, m.in. związane z drżeniem. Potwierdziły to potem badania kliniczne i lek dopuszczono do zastosowania w tej chorobie.

TRUDNE PYTANIA

Włodzimierz Bodnar nie jest zresztą pierwszym, który przyglądał się amantadynie w leczeniu COVID-19. Na świecie powstało kilka naukowych doniesień, że może ona mieć związek z łagodniejszym przebiegiem choroby – ale to wszystko jedynie hipotezy, np. na podstawie obserwacji pacjentów neurologicznych przyjmujących amantadynę, u których nie rozwinął się COVID-19 w ciężkiej postaci. Nie ma jednak żadnego badania klinicznego, które wskazałoby, że ten specyfik naprawdę zwalcza koronawirusa.

Eksperti z Polski uważają wręcz, że raczej nie ma do tego naukowych podstaw. Pisali o tym publicznie m.in. wirusolog prof. dr hab. n. biol. Krzysztof Pyrc z Ma-



Jak oni zdrowieją



Radosław Wojtas

Wśród polskich celebrytów przybywa koronawirusowych ozdrowieńców. O swoich zmaganiach z chorobą opowiedzieli fanom

Królowa ma coronę. Nawiedzili mnie kosmonauci, medycy i dobrze się mną zaopiekowali. Czuję się dobrze. Pozdrawiam – napisała niedawno w mediach społecznościowych Maryla Rodowicz, załączając zdjęcie, na którym stoi w towarzystwie osób opatulonych szczelnie w kombinezony medyczne. Wyznanie zmartwiło fanów piosenkarki, tym bardziej że jest ona w grupie podwyższonego ryzyka – „Małgośka” jest już w tym wieku, że gdyby tylko chciała osobiście dokonać sprawunków, to mogłaby to czynić w godzinach dla seniorów.

Na szczęście choroba nie miała ostrego przebiegu, a piosenkarka szybko ją zwalczyła. „Dziś się czuję świetnie, ale na początku nie było tak wesoło – mówiła Polsatowi News po niespełna tygodniu rekonwalescencji. – Na początku miałam przykre doznania, mianowicie straszny ból pleców, ból głowy i to było koszmarnie, bo nie mogłam spać, nie mogłam się przekreślić z boku na bok, a potem już było coraz lepiej. Przez cały tydzień mam gorączkę, która teraz spadała do 37,5, ale na początku było 39 stopni. A poza tym też taki typowy objaw, że nie ma apetytu, nie ma smaku, nic nie smakuje, piję tylko wodę z cytryną”.

Trzy dni po rozmowie z Polsatem Rodowicz zdradziła portalowi Plejada, że

jest już zdrowa: „Czuję się świetnie, już po chorobie. Już nie mam żadnych objawów, gorączka minęła”.

Wyznała, że nie zażywała żadnych leków oprócz antybiotyku i że ma już negatywny wynik testu na obecność wirusa, jednak ze względów proceduralnych jeszcze zostaje w domu, gdzie przebywała podczas całej choroby. „Syn Jędrzek uciekł do Kazimierza, gospoia jest w drugim budynku, jest na kwarantannie” – zdradziła „Super Expressowi”, dodając, że gospoia pomaga jej w opiece nad kotami.

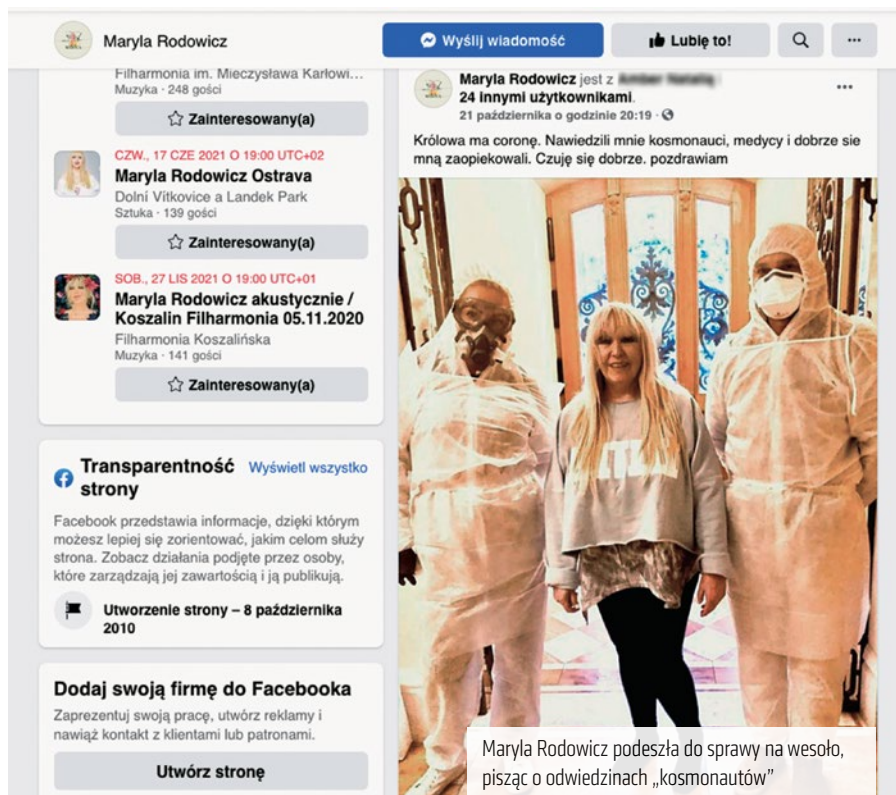
W DOBRYM HUMORZE

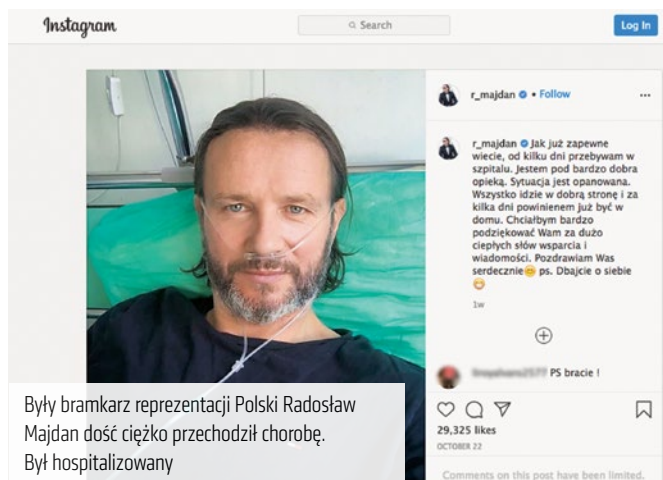
Łagodnie chorobę wywołaną wirusem SARS-CoV-2 przeszła także aktorka Anna Czarotryska-Niemczycka. „Jestem ozdrowieńcem! Nie wiem, gdzie złapałam koronawirusa, ale choroba zaczęła się od przeziębienia – za lekko się ubrałam przed wyjściem z domu, zmarzłam i pewnie tak sobie obniżyłam odporność. Przez kilka dni czułam się osłabiona, a potem straciłam węch i smak. Zero kaszlu, gorączki, duszności. Za to ból mięśni i zapalenie spojówek. W łóżku spędziłam dwa dni, a w pozostałe starałam się jak najwięcej być na świeżym powietrzu, w ogródku” – napisała pod koniec października na Facebooku, dodając, że

izolację nałożyła na siebie sama. Nigdy nie pojawił się u niej przedstawiciel sanepidu, aktorka sama poinformowała o swojej chorobie osoby, z którymi miała kontakt przed prywatnym wykonaniem testu, i cały czas konsultowała się z lekarzem. Wirus nie przeniósł się na jej najbliższych.

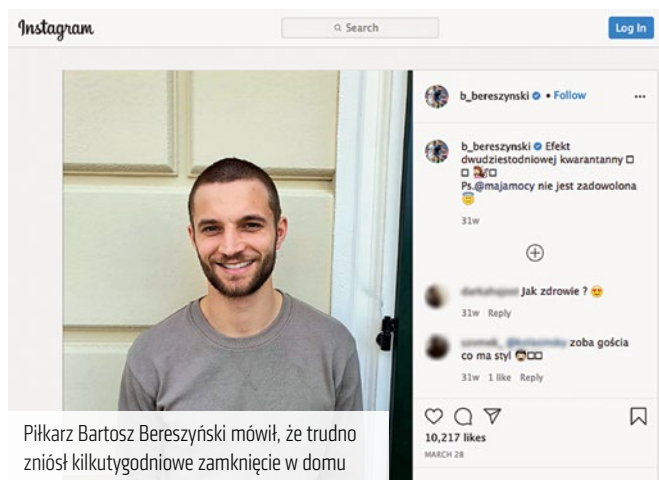
Zakażenia nie uniknęła modelka Sandra Kubicka, o czym dowiedziała się przypadkiem, robiąc test „profilaktycznie”. „Przechodzę go bezobjawowo. Nie mam gorączki, czuję się fenomenalnie. Wczoraj trzy godziny trenowałam. Nie mam kaszlu, mam węch, mam smak. Nic. Zero. Totalnie” – informowała za pośrednictwem mediów społecznościowych. A na potwierdzenie dobrego samopoczucia i doskonałego humoru dodała film ze spotkania z przyjaciółką, która zasiadła przed bramą posesji Kubickiej w bardzo bezpiecznej odległości. – Grażyna przyjechała na widzenie do więzienia – zanosila się od śmiechu, pokazując koleżankę siedzącą za bramą.

Koronawirus wprowadził nieco zamieszania w tegorocznej edycji programu „Taniec z gwiazdami”. Najpierw troje uczestników przechodziło kwarantannę, później z show musiała zrezygnować Sylwia Lipka, która poinformowała, że i ona,





Były bramkarz reprezentacji Polski Radosław Majdan dość ciężko przechodził chorobę. Był hospitalizowany



Piłkarz Bartosz Bereszynski mówił, że trudno zniósł kilkutygodniowe zamknięcie w domu

i jej partner z parkietu Rafał Maserak są chorzy na COVID-19. Tancerz mimo choroby i konieczności izolowania się od świata nie stracił dobrego humoru. Na Instagramie relacjonował swoje spacerowanie na balkonie i dzielił się troskami. „A dzisiaj została tylko pomidorówka i czekam na zakupy pod drzwiami, bo w lodówce światło” – pisał, pokazując garnek z zupą.

Poważne trudności przeszli też producenci polsatowskiego serialu „Przyjaciółki”. W wakacje cała ekipa pracująca przy serialu trafiła na kwarantannę, a u kilkunastu osób potwierdzono zakażenie koronawirusem. „Jesteśmy po kolejnej serii testów, które stwierdziły obecność wirusa u kilkunastu osób, potwierdzając, że zwłaszcza osoby nieprzestrzegające zobowiązań do unikania dużych zgromadzeń, a także przemieszczające się z jednej ekipy filmowej do drugiej stanowią największe zagrożenie dla filmowej branży, próbującej odbudować się po lockdownie” – mówił „Rzeczpospolitej” reżyser serialu Grzegorz Kuczeriszka.

NAJCIEŻSZE TYGODNIE ŻYCIA

Niektórzy celebryci, którzy zwalczyli wirusa, przechodzili chorobę ciężiej. Radosław Majdan zachorował na COVID-19 i zapalenie płuc w październiku. Przez kilka pierwszych dni kurował się w domu, ale jego stan zdrowia cały czas się pogarszał. Były piłkarz po konsultacji z lekarzem poddał się hospitalizacji. „Takiego zmęczenia nie czułem nigdy w życiu, a przecież grałem kilka lat w piłkę i raczej się nie oszczędzałem – opowiadał portalowi Sportowe Fakty. – Do tego dochodziły inne bóle: przede wszystkim głowy. Rozrywało mi ją. Po każdym oddechu dostawałem ataków nienaturalnego kaszlu, dusiłem się. Przez

osłabienie nie byłem w stanie wejść pod prysznic i się wykąpać”.

Reprezentant Polski i piłkarz włoskiej Sampdorii Bartosz Bereszynski także odczuwał dokuczliwe objawy. „Pierwszego dnia miałem straszny ból głowy. Zwykle nie sięgam po środki przeciwbólowe, ale teraz to zrobiłem. Nigdy nie bolała mnie tak głowa. Oprócz tego miałem lekki stan podgorączkowy. Najwyższą temperaturę, jaką miałem, to 37,5. Także nie była wysoka. Po 2–3 dniach dołączały kolejne symptomy. Katar i suchy, lecz nie duszący kaszel. Następnym etapem była utrata poczucia smaku i węchu. Przez dobre dziesięć dni nie potrafiłem odróżnić, czy coś jest słodkie lub słone” – opowiadał w TVP Sport. Jednak to nie z powodu objawów fizycznych piłkarz nazwał siedem tygodni choroby najdłuższymi i najcięższymi tygodniami w swoim życiu. „Wcale nie z powodów zdrowotnych, bo pod tym względem tylko pierwsze tygodnie były trudne. Ciężko było przetrwać to psychicznie. Przez siedem tygodni nie wyszliśmy z mieszkania nawet na metr – mówił w rozmowie z »Przeglądem Sportowym«. – Naprawdę nie jest łatwo spędzić kilkadziesiąt dni na kilkudziesięciu metrach kwadratowych, szczególnie z dwulatkiem, który przyzwyczajony jest do spacerów. Nie chcę dramatyzować, wiem, że ludzie mają o wiele trudniejsze sytuacje. Dla nas to jednak było coś zupełnie nowego. Wcześniej robiłem kilka kilometrów dziennie na treningach, spacerach”.

POCIESZENIE CELEBRYTY

Anna Czaratoryska-Niemczycka wyjaśniała, że po to dzieli się na Facebooku historią swojej choroby, by innym łatwiej było ją przejść. „Piszę Wam o tym, bo

w mediach można przeczytać dużo opisów dramatycznych przebiegów tej choroby, co niestety nie pomaga, gdy ją złapiesz – każde drapanie w gardle lub inny, nawet lekki objaw powoduje lęk i ogromny stres. Nie znaczy to, że namawiam do tego, żeby tę chorobę bagatelizować. Chcę tylko dać trochę nadziei tym, którzy są dopiero na jej początku. Uważajcie na siebie, pijcie dużo wody, odpoczywajcie, nie nakręcajcie się złymi wiadomościami. Jeśli zaobserwujecie u siebie początek jakiejś infekcji – zostańcie w domu”.

Psycholog społeczny prof. Zbigniew Nećki uważa, że relacje celebrytów wielu osobom mogą pomóc przezwyciężyć strach. – Od strony psychologicznej każda radosna i pełna nadziei informacja jest warta podkreślania, bo wiadomości budujące napięcie, strach i poczucie przynęcenia jest w mediach bardzo dużo – mówi w rozmowie z „Do Rzeczy”. – Fakt, że ludzie ze świecznika wychodzą z choroby w dobrej formie, może być pocieszeniem dla nas, maluczkich, którzy też możemy tego nieszczęścia zaznać. Kiedy widzimy, że COVID nie zabił tych osób, to rozumiemy, że nie trzeba się go panicznie bać. Ale jest i minus – bo może to spowodować, że zaczniemy lekceważyć sprawę, mówiąc: „Skoro inni wychodzą z tego bez problemu, to nie będę się przejmował żadnym COVID-em”. Może to więc doprowadzić do usypiania czujności co do stosowania zalecanych sposobów sanitarnego postępowania, których nie ma w końcu dużo. Niektórzy zapominają też, że VIP-y i celebryci są chyba jednak pod lepszą opieką medyczną niż przeciętny Kowalski. Niech te informacje podnoszą nas na duchu, ale niech nie usypiają naszej czujności – dodaje.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone



Piotr Gociek

Zmarł Sean Connery – legenda kina, pierwszy Bond, dumny Szkot, który przeszedł długą drogę od pomocnika mleczarza w Glasgow do tytułu szlacheckiego

We wrześniu 1957 r. podczas kręcenia w Anglii filmu „Burzliwy romans” z Laną Turner w roli głównej przed kamerami pojawił się zniecierpliwiony gangster Johnny Stompanato. Gangster, który miał wówczas romans z Turner, był wściekły z zazdrości i zaczął grozić bronią towarzyszącemu jej aktorowi. Stompanato oskarżył ich o romans. Aktor błyskawicznie wyrwał bandzirowi rewolwer, a jego samego znokautował potężnym prawnym sierpowym. Tym młodym aktorem był nieznany naówczas Sean Connery.

Nigdy nie dawał sobie dmuchać w kaszę, mówił, co myślał, nieważne, czy o swoich producentach, czy o polityce brytyjskiego rządu. Zwłaszcza o polityce podatkowej – po kolejnym podniesieniu obciążeń ogłosił w połowie lat 70., że nie zamierza płacić za przywilej pracy w Anglii. Praktyczny do bólu, po szkocku, pieniądze lokował w Szwajcarii, podatki rozliczał w Hiszpanii, zmarł w domu na Bahamach, otoczony najbliższą rodziną. Nie bał się pójść do sądu przeciw wytwórni MGM/UA, żądając większego udziału w zyskach z filmów. Nie zadrżał mu głos, kiedy mówił o Albercie Broccoli, jednym z producentów Bonda: „Gdyby jego mózg zajął się ogniem, nawet nie nasikałbym mu do ucha, żeby go ugasić”.

Valerie Leon, aktorka, która grała z Connerym w filmie „Nigdy nie mów nigdy” (jego średnio udanym powrocie do roli Bonda po 12 latach przerwy), opowiadając o kręceniu sceny łóżkowej, wspomina chwilę, w której na planie pojawiła się jego żona Micheline Roquebrune: natychmiast wyskoczył z łóżka i stał się potulny jak baranek. Któż z kobiet nie marzy o takim faciecie: światowy symbol seksu, który patrzy tylko na nią. (Roquebrune była drugą i ostatnią żoną Connery’ego, pierwszą była w latach 1962–1973 aktorka Diane Cilento – to ona jest matką Jasona Connery’ego,



FOT. DAVID CHEKIN/PA IMAGES/FERUM

Szkocki łącznik

którego pamiętamy głównie jako Robin Hooda w ostatnim sezonie brytyjskiego serialu „Robin z Sherwood” – zastąpił wtedy Michaela Praeda).

UTALENTOWANY PRZYSTOJNIAK

Bogaty, przystojny, uparty, bezczelny, ogłaszany najseksowniejszym mężczyzną na planecie, niedoszły futbolista Manchesteru United. Ale czy był dobrym akto-

rem? Inaczej: czy był aktorem wybitnym? Aby odpowiedzieć na to pytanie, trzeba je... ominąć. Na pewno jego kreacje nie będą rozbierane na czynniki pierwsze po latach przez filmowych krytyków studiujących do dziś każdy gest Marlona Brando w „Na nabrzeżach”, ale powiedzmy też wprost, że karierę Seana Connery’ego trzeba postrzegać w innych kategoriach. Będąc niezłym, utalentowanym i upartym

aktorem, miał coś, co wyniosło go ponad reszcie innych utalentowanych i upartych: niezwykłą charyzmę. Jak mówią w Hollywood: star quality. Bardzo niewielu takich aktorów widzieliśmy na ekranach kin w ostatnim półwieczu. Harrison Ford, Robert Redford, Leonardo DiCaprio, Sean Connery... Kto jeszcze? Można dodawać, ale lista i tak będzie bardzo krótka. Kino ambitne po rewolucji lat 70. nagradzało wielkimi rolami Ala Pacino czy Dustina Hoffmana, kino rozrywkowe po przełomie, którym była premiera „Gwiezdných wojen”, zaczęło coraz bardziej polegać na efektach specjalnych. Sean Connery swą renomę i popularność nie tylko utrzymał, lecz także wzmocnił.

Pamiętam pokaz pozakonkursowy „Osaczonych” („Entrapment”) w Cannes – nikomu z dziennikarzy nie chciało się dyskutować o bardzo przeciętnym filmie rozrywkowym, za to każdy chciał znaleźć się jak najbliżej Connery’ego. Na żywo był taki, jak na ekranie – sympatyczny, dostojny i miał coś takiego w sobie, co sprawiało, że wzbudzał natychmiastowe zaufanie. Nazwałbym go wręcz najpopularniejszym aktorem naszych czasów – spójrzcie na wąski dobór ról, w których widzieli go producenci (i w których kupowała go publika): twardy gość z zasadami (od Bonda do „Polowania na »Czerwony październik«”), monarcha (był wszak i królem Arturem, i królem Ryszardem Lwie Serce, i królem Agamemnonem, no i szejkiem), mentor („Imię róży”, „Nietykalni”, ojciec Indiany Jonesa, „Szukając siebie”, „Liga niezwykłych dzentelmenów”) itd.

Zdaniem Alberta Broccoliego w czasach przedbondowskich Connery był fatalnie obsadzany. Broccoli z Saltzmanem zobaczyli go po raz pierwszy w disnejowskiej fantazji „Darby O’Gill and the Little People” (1959). Uważali, że wypadł fatalnie, ale także że ma coś w sobie. Niespecjalnie podobał im się jako hrabia Wroński w ekranizacji „Anny Kareniny”, kpili z jego Makbeta (sam Connery był dumny z tej roli). Po spotkaniu z Connerym byli przekonani, że znaleźli właściwego kandydata do roli Bonda. Autor powieści o agencie 007 nie był zadowolony. Uważał, że Connery jest nazbyt plebejski. Ale jak zauważa brytyjski historyk kina Alexander Walker, to właśnie plebejskość oraz szkocko-irlandzki akcent aktora sprawiły, że był tak szeroko akceptowanym bohaterem kina akcji. Czy świat pokochałby Bonda o manierach paniczki z Eton? Tak czy inaczej Connery stał się

częścią nowej formuły kinowej rozrywki na najwyższym poziomie, która działa do dziś. A urok współczesnego agenta 007, czyli Daniela Craiga, podobnie jak w przypadku Connery’ego polega m.in. na tym, że choć wrzucany w niezwykle scenerie, niesamowite spiski i walczący z nadzwyczajnymi łotrami, pozostaje jednocześnie w stu procentach realny. Wierzmy, że to uparty gość, który nie boi się rozwiązywać problemów pięściami.

Jak układały się kolejne zawodowe epoki w życiu Connery’ego? Niechlubne początki. Bond. Po Bondzie – dekada poszukiwań (lata 70.). Po Bondzie – dekada uznania (lata 80.). I wreszcie epoka ostatnia – czas odcinania kuponów.

Sean Connery cieszył się komfortem rzadkim wśród aktorów. Pracował, bo chciał, a nie dlatego, że musiał. Filmy o agencie 007 uczyniły z niego bogatego człowieka (choć nieustannie wyklócał się o korzystniejsze dla siebie rozliczenia, zdając sobie sprawę z tego, jak gigantyczne pieniądze zarobili na nim producenci serii). Bogacz, symbol, jedna z najbardziej rozpoznawalnych twarzy na planecie – bez wątpienia mógł sobie pozwolić na wiele.

No i pozwalał. W najciekawszych, jeśli chodzi o jego poszukiwania artystyczne, latach 70. próbował podróży w bardzo różnych kierunkach. Był doświadczonym włamywaczem i kryminalnym geniuszem w „Taśmach prawdy” (1971) Sidneya Lumeta. Dumnym szejkiem u Johna Miliusa w filmie „Wiatr i lew” i brytyjskim weteranem wojen kolonialnych u Johna Hustona w „Człowieku, który chciał być królem” (obydwa filmy z 1975 r.). Ponownie zaciągnął się do armii aliantów, by walczyć z Hitlerem w Europie – raz czynił to za młodu, grając pomniejszą rolę w „Najdłuższym dniu” (1962) o lądowaniu w Normandii, teraz był już generałem w „O jeden most za daleko” (1977). Podróżował jednym pociągiem z Herculesem Poirot („Morderstwo w Orient Expressie” (1974) i planował, jak obrabować inny w „Wielkim napadzie na pociąg” (1978). Trafił na plan dziwacznej, ale mającej swój klimat ekstrawagancji SF „Zardoz” Johna Boormana. Jedną z najciekawszych ról tamtego okresu jest występ Connery’ego w filmie „Agresja” („The Offence”, 1973) w roli wypalonego policjanta, tropiącego pedefila i wściekłego na niedomagania systemu.

Lata 80., czyli dekada powszechnego uznania – ale już niepowiązanego z rolą Bonda – to oczywiście czas jedyne

Oscara dla Connery’ego. Dostał go za drugoplanową rolę w „Nietykalnych” (1987) Briana De Palmy, ale obszedłby się i bez niego. Pierwszy kinowy Bond, jedna z nielicznych prawdziwie charyzmatycznych gwiazd kina drugiej połowy XX stulecia, twarz znana na całym świecie... Na cóż mu statuetki? No i do tego świetne recenzje za występ w „Imieniu Jonesa i ostatnią krucjatę” i parę innych ról. Czasem błdził. „Presidio”, „Rodzinny interes”, „Odległy ląd” – to nie były wielkie osiągnięcia. Plus oczywiście nieustannie stawiane od 1983 r. pytanie: Czy naprawdę Connery musiał raz jeszcze spróbować sił jako Bond w filmie „Nigdy nie mów nigdy” (zresztą produkcji konkurencyjnej wobec kanonicznej serii)?

CZAS ODCINANIA KUPONÓW

Potem przyszedł czas odcinania kuponów i powolnego kończenia kariery. Tylko zatwardziali fani Connery’ego pamiętają jego występy w „Dobrym człowieku w Afryce” czy „Rewolwerze i meloniku”. Na finał „Szukając siebie” (2000) oraz „Liga niezwykłych dzentelmenów” (2003). Potem już niemal dwie dekady bez kina. Wreszcie kłopot ze zdrowiem, walka z demencją. Sean Connery odszedł 31 października, w wieku 90 lat.

W kapitalnej książce „Być Szkotem” (wysła po polsku, polecam!) Sean Connery pokazuje swoją inną twarz: wielkiego patriotę, szkockiego nacjonalistę, człowieka zakochanego w swoim kraju i jego kulturze. Właśnie Szkotom i Szkoci poświęca większość opowieści, to jego pieśń miłosna do ojczyzny. Czy wyobrażają sobie państwo któregoś z polskich, pożałuj Boże, gwiazdorów kina w podobnej roli, deklarującego w autobiografii, że jest dumny z bycia Polakiem i opowiadającego o tym, ile pieniędzyłożył na wsparcie polskiego nacjonalizmu, polskiej nauki, polskiej kultury?

„Boże, ależ się razem świetnie bawiliśmy!” – rzekł Harrison Ford, wspominając Connery’ego. Nam, widzom, wypada podpisać się pod tym zdaniem. „Kręcenie filmów to albo utopia, albo szuflowanie gówna pod górę. Proponuję odłożyć dziś szuflę i oddać się pięknym wspomnieniom” – mówił Connery w 2006 r., odbierając nagrodę za całokształt dokonań w Amerykańskim Instytucie Filmowym. Tym zdaniem zakończył też książkę „Być Szkotem”. Oddajmy się wspomnieniom i my.



Zakochani w Polsce



Tomasz Zbigniew Zapert

Roman Dmowski i Józef Piłsudski. Ojcowie Drugiej Rzeczypospolitej. Poróżnieni przez ideologię i... przez kobietę. Traktuje o tym spektakl Macieja Wojtyszki „Ni z tego, ni z owego”

Rozpisana na 10 scen sztuka, której akcja toczy się na przestrzeni dwóch dekad, przedstawia dwie rozmaite koncepcje odzyskania niepodległości – rezultat odmiennych

światopoglądów bohaterów zakochanych w tej samej kobiecie, Marii Juszkiewiczowej. Po długich wahaniach wybrała Piłsudskiego. Chyba nie była to decyzja trafna, skoro się rozstali. Pogłoska głosi, że nie chciała mieć dzieci. A Piłsudski ojcostwa pragnął. Zaznał go dzięki Aleksandrze Szczerbińskiej, również pojawiającej się w przedstawieniu.

Maciej Wojtyszko akcentuje, że obydwaj wielcy adwersarze umieli powściągnąć osobiste ambicje, okiełznać dumę i odrzucić uprzedzenia, szanując wzajemny upór oraz całkowite oddanie w dążeniu do wolności ojczyzny. Polska była bowiem ich miłością największą. Nałożenie epizodów z *vie privée* Dmowskiego i Piłsudskiego na uprawianą przez nich działalność polityczną umoż-

liwia dostrzeżenie i zrozumienie źródeł konfliktu pomiędzy nimi. Z roku na rok eskalującego. Czy współczesny podział pośród Polaków nie stanowi czasami plonu tego historycznego sporu – zdaje się indagować Wojtyszko, skrupulatnie i wyraziście ukazując wizje polityczne obu mężów stanu. Przedstawienie realizowano w zabytkowej scenerii Łódzkiej. Przede wszystkim we wnętrzach Muzeum Włókiennictwa.

PIĘKNA PANI

Pierwsza małżonka Józefa Piłsudskiego pozostaje w cieniu drugiej. Wspomnień o niej jest stosunkowo niewiele, chociaż od młodości angażowała się w konspiraację. W Wilnie, Petersburgu i Warszawie związana była z socjalistami. Potem –



Monika Buchowiec jako Maria Juskiewiczowa
i Dariusz Kowalski jako Roman Dmowski

FOT. TVP

przez szefa Biura Wyznań Niekatolic-
kich Ministerstwa Spraw Wojskowych
(w końcu zmarłą uhonorowano jedynie
Krzyżem Niepodległości).

Dmowski także smażył do niej cho-
lewki. Poznali się w Wilnie, dokąd on
przyjeżdżał z Mitawy, gdzie został zesła-
ny carskim nakazem za – jak określono
– „robotę wywrotową w Priwisłanskim
Kraju”. Jak daleko między nimi namie-
szał Kupidyn, tego już się nie dowiemy,
ale razem widywano ich wielokrotnie. A to
spacerowali po mieście, a to zasiadali
w teatrze, a to słuchali koncertów. Z jego
strony afekt musiał być szczególnie
silny, skoro po rozstaniu pozostał do
śmierci w stanie kawalerskim.

NIETUZINKOWE PARTNERKI

Juskiewiczowa wniosła Piłsudskiemu
w „posagu” córkę, Wandę. Ojczym poznał
ją ze swym podkomendnym z Organi-
zacji Bojowej Polskiej Partii Socjalistycz-
nej, Walerym Sławkiem. Niebawem
została jego narzeczoną. W czerwcu
1906 r. uczestnicząc w akcji bojowej
pod Warszawą, Sławek został poważnie
okałeczony. Dwa miesiące później Wanda
zapadła na ciężkie zapalenie wyrostka
robaczkowego. Zbyt późno zdiagnozo-
wane, zakończyło się zgonem. Sławek,
za młodu bardzo przystojny, chętnie
nawiązywał przelotne flirty z licznymi
wielbicielek, lecz po śmierci lubiej już
nigdy nie związał się z żadną kobietą.

Pierwsze małżeństwo Piłsudskiego
rozpadło się z powodów prozaicznych.
Kiedy blisko 40-letnia Maria, po latach
tułaczki u boku męża, pragnęła stabi-

lizacji, on bynajmniej nie mógł sobie
na nią pozwolić. Usiłowała ratować ich
związek, lecz w historycznej zawieru-
sze udało jej się go jedynie prolongo-
wać. Czy byłoby inaczej, gdyby zaszła
w ciążę? Po tragicznej śmierci córki
macierzyństwo jednak kategorycznie
odrzucała. Piłsudski był charyzmatycz-
ną postacią i u jego boku zazwyczaj
pojawiały się nietuzinkowe partnerki.
Jak twierdzą historycy, w jego bardzo
aktywnym życiu zaistniały co najmniej
cztery (poza matką) ważne kobiety.

To, że z pierwszą żoną miał ślub
ewangelicki, ujawnił w 1931 r. Włady-
sław Pobóg-Malinowski, odnajdując
w zborze ewangelicko-augsburskim
w Paproci Dużej stosowną metrykę.
Próba ujawnienia tego odkrycia ściągnęła
na siebie gniew sanacji. Oczywiście
ludzie z najbliższego otoczenia Marszał-
ka wiedzieli o jego sytuacji rodzinnej
i próbowali pomóc. Piłsudski dostał
nawet od abp. Aleksandra Kakowskiego
propozycję „rozwiązania problemu swe-
go małżeństwa”, z której jednakże nie
skorzystał. Ze swoją nową partnerką,
Aleksandrą Szczerbińską – też konspi-
ratorką PPS, młodszą o 13 lat, która
urodziła mu dwie córki: Wandę i Jadwi-
gę – pozostawał w relacjach nieformal-
nych, aż do śmierci Marii (w 1921 r.).
Piłsudski nie był obecny przy umierają-
cej żonie, wziął jedynie udział we mszy
żałobnej. W pogrzebie, na Rossie, nie
uczestniczył, co powszechnie uznano
za postępowanie niegodne, zwłaszcza
w obliczu spraw ostatecznych.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

w Krakowie – działała w Lidze Kobiet,
pomagała Strzelcom, organizowała punkt
kontaktowy dla działaczy niepodległo-
ściowych. Wybitnie urodziwa, czego
dowodem nie tylko fotografie i obrazy,
lecz także przydomek – Piękna Pani.

Kiedy poślubiła Piłsudskiego, miała
34 lata. Jej pierwsze małżeństwo z Ma-
rianem Juskiewiczem zostało rozwią-
zane, prawdopodobnie w warszawskim
Kościele ewangelicko-augsburskim, po
wieloletnim procesie rozwodowym. Czy
znaczy to, że od urodzenia była ewange-
liczką? Elżbieta Jodko-Kula, autorka mo-
nografii Pięknej Pani, ma wątpliwości.
Maria do śmierci pozostała luteranką,
czego dowodzi wniosek o przyznanie jej
– pośmiertnie – Orderu Polonia Resti-
tuta, przedstawiony w czerwcu 1929 r.

Teatr Telewizji „Ni z tego, ni z owego”

– scenariusz i reżyseria: Maciej Wojtyszko, scenografia: Wojciech Stefania, kostiumy:
Zuzanna Markiewicz, zdjęcia: Grzegorz Kędziński, muzyka: Piotr Moss, obsada: Monika
Buchowiec (Maria Juskiewiczowa), Maria Gudejko (Aleksandra Szczerbińska), Mariusz
Ostrowski (Józef Piłsudski), Dariusz Kowalski (Roman Dmowski), Bartosz Turzyński
(Bolesław Wieniawa-Długoszowski), Riho Okuno (Gejsza), Alicja Pietras (Wanda Jus-
kiewiczówna, córka Marii); **premiera: pon. 9 listopada 2020 r., godz. 21, TVP1.**

Maciej Wojtyszko

– reżyser, scenarzysta, prozaik, autor książek dla dzieci i młodzieży (m.in. „Bromba
i inni”, „Tajemnica szyfru Marabuta”, które stały się pierwowzorami dla animowanych
seriali telewizyjnych). Wykładowca w warszawskiej Akademii Teatralnej. Od dwóch
sezonów dyrektor artystyczny Teatru Nowego w Łodzi. W Teatrze TVP inscenizował
klasykę, m.in.: „Mistrza i Małgorzatę” Michaiła Bułhakowa, „Pigmaliion” George’a Ber-
narda Shawa, „Amadeusza” Petera Shaefera, „Komedianta” Thomasa Bernharda,
„Indyka” Sławomira Mrożka, a także spektakle autorskie: „Powidoki” oraz „Fantazję
polską”. Reżyser filmów: „Ogród Luizy” i „Święty interes” oraz seriali: „Miodowe lata”,
„Pensjonat pod Różą” i „Doręczyciel”.



FOT. MATERIAŁ PRASOWY



PIOTR GOCIEK

OGLĄDANIE NA ŻĄDANIE

Pałką i śmiechem

prime video



★★★★★

REŻ. MARIA BAKALOVA
„KOLEJNY FILM O BORACIE”
 („BORAT SUBSEQUENT MOVIEFILM”)
 USA 2020

wyst. Sacha Baron Cohen,
 Maria Bakalova

Chwyt, który był oryginalny w roku 2006, dziś zdaje się zgrany. Niedawno internetowi dowcipnisie wkręcili wielu znanych polityków, a sam Sacha Baron Cohen nakręcił świetną serię komediową dla HBO „Who Is America”. Zatem „czy rzeczywiście świat potrzebuje kolejnego filmu o Boracie”, jak brzmiał tytuł jednej z recenzji? Świat nie, ale przeciwnicy Trumpa najwyraźniej tak.

Kazachski wesołek powrócił po 14 latach w więzieniu (trafił tam za zrujnowanie reputacji Kazachstanu w pierwszym filmie) i wyjeżdża do Ameryki, by swe winy odkupić. Ma przekazać łapówkę „komuś z rodziny królew-

skiej”, aby „make Kazachstan great again”. Łapówką początkowo jest uzdolniona małpa, a potem córka Borata imieniem Tutar, wychowywana wedle kazachskich wzorów, to znaczy w klatce oraz w przekonaniu o nieskończonej niższości kobiet (i o tym, że waginy mają zęby, więc nie wolno ich dotykać). Kiedy próba dotarcia do wiceprezydenta Pence’a spali na panewce, celem stanie się Rudolph Giuliani. Film kręcono w sekrecie na amerykańskich ulicach wiosną tego roku. Ponieważ postać Borata była błyskawicznie rozpoznawana przez przechodniów, twórcy filmu musieli wymyślić mu nowe przebranie. Jako gruby brodaty redneck w kraciastej koszuli zdo-

łał nawet zaśpiewać na festynie zwolenników Trumpa.

Sacha Baron Cohen bardzo wygodnie ustawia sobie przeciwnika, większość gagów poświęcając tłumaczeniu, że kobiety jednak mają jakieś prawa – nie wydaje mi się, by była to wiadomość specjalnie nowa. Być może pół wieku temu tu i ówdzie jego tezy wywołałyby sensację. Reszta żartów jest wymierzona w Trumpa i jego zwolenników, a w finale filmu jest wręcz wezwanie do głosowania. Drugi Borat stanowi więc krok wstecz – w serii „Who Is America” wykpiwano zarówno konserwatyistów, jak i sieroty po Hillary Clinton, teraz satyra Barona Cohena stała się przygnębiająco jednostronna.

Jest jednak jeden powód, dla którego półtorej godziny seansu nie uważam za zmarnowanej. To Maria Bakalova, młoda bułgarska aktorka, która zagrała córkę Borata. Jest zabawna, wzruszająca, żywiołowa, inteligentna, ma urok i charyzmę. Ma za sobą występ w kilku filmach bułgarskich, epizod w serialu „Gomorra” i szeroką drogę do sukcesu w Hollywood. ©©



NOWE SERIALE: „GAMBIT KRÓLOWEJ”

Siedmiodziestokilowy serial oparty na znakomitej powieści Waltera Tevisa pod tym samym tytułem (książkę rekomendowałem tydzień temu w „Poczytankach”). W rolę Beth Harmon, genialnej szachistki walczącej jednocześnie z uzależnieniami, wcieli się Anya Taylor-Joy. Rosyjskiego arcymistrza szachowego Wasilija Borgowa

gra natomiast Polak Marcin Dorociński. Czy na ekranie, tak jak w powieści Tevisa, jest to postać o „mrocznej, rosyjskiej twarzy i despotycznie skrzywionych ustach”? Warto sprawdzić. ©©

Piotr Gociek

• reż. Scott Frank „Gambit królowej” („The Queen’s Gambit”), USA 2020, Netflix

NA MAŁYM EKRANIE TAKŻE:

- reż. Armando Iannucci „David Copperfield”, Wielka Brytania 2020, Amazon Prime
- reż. Jeff Fowler „Sonic. Szybki jak błyskawica”, USA 2020, HBO GO
- reż. Werner Herzog „Ogniste kule: Goście z odległych światów”, USA 2020, Apple TV+

Kobiety wolą goryli

arte

Filmy tak złe, że aż dobre, mają legiony wielbicieli. Z myślą o nich francuski portal, na co dzień promujący dokumentalistów zaangażowanych, zamówił serię „Kino klasy Z”. Dziesięć odcinków, z których najdłuższy trwa 10 minut, apetytu filmowego masochisty raczej nie zaspokoją, jednak pozostałych wprawi w szampański nastrój. Bo jak tu się nie uśmiechnąć, wysłuchując żarów reżysera, który chciał straszyć widzów zwykłymi tarantulami, lecz zmuszono go do skonstruowania ośmiometrowego pajaka? Idiotyczny horror o insektach-mutantach zarobił 24 mln dol., twórca nie otrzymał z tego ani centa. Włoską operę kosmiczną „Star-crash” pograżały staroświeckie efekty

specjalne. Turcy uniknęli tego błędu, wklejając do filmu „Człowiek, który ocalił świat” sceny batalistyczne z „Gwiezdnych wojen”. Zaradni rodacy Erdoğan w pięć dni nakręcili podróbkę „Supermana”. Ten sam komiczny efekt osiągnęli autorzy wysoko-budżetowego gniota „Mega-force”, gdyż scenariusz był pisany, dosłownie, na kolanie. Amerykańskim producentom zależało jedynie na spopularyzowaniu zabawek – futurystycznych aut i motocykli. Po takim pokazie cynizmu człowiek zaczyna doceniać Eda Wooda, okrzykniętego najgorszym reżyserem świata. Film o romansie młodej kobiety i goryla jest okropny, jednak powstał z potrzeby serca. ©©

Wiesław Chełminiak



★★★★★

REŻ. RÉGIS BROCHIER
„KINO KLASY Z”
 („NANAROSCOPE!”)
FRANCJA 2018



FOT. MATERIAŁY PROSOWE

GRA TYGODNIA: „DIRT 5”

Gry wyścigowe mają to do siebie, że gdy osiągną pewien przyzwoity poziom graficzny, kolejne części – podobnie jak „FIFA” – różnią się od siebie właściwie tylko kosmetyką. Nowe trasy, nowe samochody, nowa muzyka i tyle. „Dirt 5” na szczęście idzie dalej, oferuje rozbudowaną

ścieżkę kariery zawodnika rajdowego, zaawansowane efekty zmieniające się w trakcie wyścigu pogody oraz dobre wyważenie poziomu trudności pomiędzy realizmem a trybem zręcznościowym. Nie ma w produkcji Codemasters żadnych większych rewolucji, do rąk dostajemy za to solidny

FOT. MATERIAŁY PROSOWE

WĄŻ W OGRODZIE

O naturze sztuki i sztuce kłamstwa w kostiumie dreszczowca. Dość szczególnego, gdyż „Obraz pożądania” początkowo sprawia wrażenie lotrzykowskiej komedii typu „Jak ukraść milion dolarów”, potem zaś ewoluuje w stronę znanej skądinąd opowieści o poczytych Amerykanach, których wyrafinowana, zepsuta Europa wiezie na manowce. Obrzydliwie bogaty kolekcjoner (podobny do Micka Jaggera) gości w swojej willi we Włoszech zdiwaczałego malarza. W dobraniu się do dzieł geniusza ma pomóc krytyk sztuki, specjalista od nawijania makaronu na uszy, aktualnie w finansowym dołku. Wśród dramatis personae jest też atrakcyjne, lecz nie budzące zaufania dziewczę. Willę otacza piękny ogród, a w każdym raju, jak wiadomo, czai się wąż. Okaże się nim największy desperat, pozostałe postacie to epizodyści. Z taką obsadą można było zagrać o trochę wyższą stawkę, bo sztuka (zwłaszcza nowoczesna) mało kogo dzisiaj obchodzi.



wyst. Claes Bang, Elizabeth Debicki, Donald Sutherland

W KINACH

★★★★★

REŻ. GIUSEPPE CAPATONDI
„OBRAZ POŻĄDANIA” („THE BURNT ORANGE HERESY”)
USA 2019, BEST FILM

TRIUMF PLASTUSIÓW

Wśród rzeczy, które w XX w. Polakom się udały, nie można pominąć animowanych filmów dla dzieci i dziesięcioletnich dorosłych. W kategorii „dobranocka” byliśmy światowym mocarstwem. Potem w ferworze walki z komuną i pogoni za nowoczesnością spisano sektor na straty. Na to tylko czekali Anglosasi, przeczuwający, że w erze komputerów człowiek umiejący wykonać coś własnoręcznie będzie na wagę złota. Jednym z beneficjentów owej konserwatywnej rewolucji okazał się Nick Park, mistrz animacji poklatkowej i lepienia pociesznych stworzeń, brytyjskich do szpiku kości. Abnegaci, którzy nie znają przygód wynalazcy Wallace’a i psa Gromita, dzięki HBO mają szansę nadrobić tę kompromitującą zaległość. W ofercie są „Wściekłe gacie”, „Golenie owiec”, „Kwestia tycia i śmierci”, lecz sugeruję zacząć od 23-minutowego debiutu, w którym bohaterowie rozwiązują problem braku sera w lodówce. ©©

recenzuje Wiesław Chełminiak



★★★★★

REŻ. NICK PARK
„WALLACE I GROMIT: PODRÓŻ NA KSIĘŻYC” („WALLACE AND GROMIT: A GRAND DAY OUT”)
WIELKA BRYTANIA 1989



tytuł dla fanów adrenaliny na czterech kółkach oraz off-roadu. ©©

Marcin Makowski

- Gatunek: Wyścigi
- Platforma: PC/PS4/PSS/XONE/XXS
- Producent, dystrybutor: Codemasters/Koch Media
- Klasyfikacja PEGI: 12+

KRZYSZTOF
MASŁOŃ

MOJA PÓŁKA

W górę serca!

Joanna Jurgała-Jureczka kontynuuje spisywanie historii sławnej rodziny Kossaków, wydając m.in. po „Zofii Kossak. Opowieści biograficznej”, „Kobietach Kossaków”, książce „Kossakowie. Biały mazur” ujętą tym razem w formę powieściową rzecz pt. „Kossakowie. Tango”. Z tym że teraz mamy do czynienia z przyczynkiem do historii rodu wybitnych artystów, dotyczącym wzajemnej miłości znanego z romansów Wojciecha Kossaka i żony Ferdynanda Hoesicka (1867–1941), księgarza, prozaika, biografa i felietonisty – Zofii z Lewentalów. Ten utrzymany nieco w stylu młodopolskiej epoki romans za głównego bohatera ma w gruncie rzeczy nie Kossaka, a Hoesicką. Postaci z wielu powodów ciekawej, a zapomnianej.

Co prawda niestety był on grafo-manem, ale wyśmiewano go ponad miarę. A on to niezwykle mocno przeżywał: „Zabolało – czytamy – kiedy napisał [...] długi i wnikliwy artykuł o Henryku Sienkiewicz, a do redakcji »Tygodnika« wysłano list z opinią, że jest bezwartościowy. [...] Na prima aprilis dostał anonim: »Czego ci życzyć z nadchodzącą wiosną? Peruki czy talentu? Bo Sienkiewicz twierdzi, że ci jednego i drugiego brak«.

[...] Kiedy napisał książkę o Szopenie, ułożyli złośliwy wierszyk:
**Żal mi bardzo Hoesicka... Chodzi tak, jak struty:
Nie wie, jaki szewc robił Chopinowi buty.**

Kiedy zajmował się Słowackim, opublikowali rzekomy spis rozdziałów dwutomowej książki. Tom pierwszy miał liczyć rozdziałów dziesięć, drugi – dwanaście. Uba-wiony Żeromski cytował z pamięci:
– Bednarz, który naprawiał balie praczki piorącej bieliznę Szopena, Bielizna Szopena zaginiona na strychu, Słowacki w szlafroku, Kalosze Słowackiego i jego fajka, Kapelus



FOT. MATERIAŁY PRASOWE

Słowackiego widziany z góry i z boku, Mydło i ręcznik Słowackiego, Słowacki przed i po obiedzie... i tak dalej, i dalej...

Kiedy nastała moda na Przybyszewskiego, śmiali się, że nie odstępował go na krok, wypytuje, jakie nosi koszule i jak na imię miała jego pierwsza kochanka. I rozpowiada, że kupił nowy aparat migawkowy i ma notesik z rejestrem bielizny”.

Zarzucono mu nadmierne przywiązywanie wagi do szczegółów, zagładanie sławnym twórcom do łóżek i do łazienek, a przecież – można rzec – Hoesick pod tym względem wyprzedził swoją epokę. Przy czym pisząc wielotomowe dzieła o swoich bohaterach, nigdy nie przekraczał granic dobrego smaku, co dziś jest nagminne. A że talentu mu brakowało, to inna sprawa.

Współcześni artyści słowa kłaniali mu się w pas, bo jak jeden mąż siedzieli u niego w kieszeni. Przyjaźnił się z Kazimierzem Tetmajerem, pomagał Wyspiańskiemu, pożyczał na wieczne nieoddanie pieniądze nie tylko Przybyszewskiemu, lecz także Reymontowi. Oni w rewanżu wypisywali o nim peany, ale po cichu obrabiali mu cztery litery. No, może nie wszyscy. A Boy uczynił go bohaterem szyderczej, acz głupkowatej pieśni „Dzień p. Esika w Ostendzie”.

Hoesick – Hoesickiem, romans – romans, ale w powieści swojej Joanna Jurgała-Jureczka przedstawia szeroką panoramę artystycznego świata modernistycznej Warszawy i Krakowa, w której roi się od znanych nazwisk, a fikcyjne dialogi są więcej niż prawdopodobne. Autorka pełną garścią czerpała bowiem z dokumentów epoki, listów, pamiętników, wspomnień, na które natrafiła, peregrynując śladami Kossaków.

A że książkę „Kossakowie. Tango” czytałem całkiem niedawno, trudno, bym do porządku dziennego przeszedł nad sceną modlitwy ciotki Ferdynanda Hoesicka – Pulcherii Sułkowskiej w kościele Świętego Krzyża w Warszawie:

„»Sursum corda« – napis na cokole nieco dodał ciotce otuchy. Zaczęła wstępować po schodach, ale zanim weszła do środka, przypatrzyła się figurze. Z uznaniem i satysfakcją. Bo piękna była, wymowna. Wyobrażała Zbawiciela jak żywego. W koronie cierniowej, w sukni i pofałdowanym płaszczu. A jednak objuczony krzyżem i ludzkim cierpieniem całego świata i wszystkich wieków, jak nauczał kanonik, siedł zżawo i jeszcze na ludzi się nie oglądał... I chyba kazanie jakieś mówił, bo rękę miał wyciągniętą. Coś pokazywał. Piękny był, mocny, urodziwy. I razu pewnego jakieś pijane łajdaki albo szaleńcy, co im Pan Bóg rozum odebrał, zamiast uszanować, dłoń tę ułamali i trzeba było zrobić nowego Chrystusa, już tym razem z brązu, a nie z cementu. Pamięta, choć to dziesięć albo i więcej lat temu było, jak w gazecie napisali. Więc dała broszkę ze szmaragdami, panińskie cacko, które jej teraz już na nic. I znów Chrystus stoi przez kościółem – jeszcze mocniejszy. I mówi: Sursum corda! W górę serca! Do niej tak mówi”.

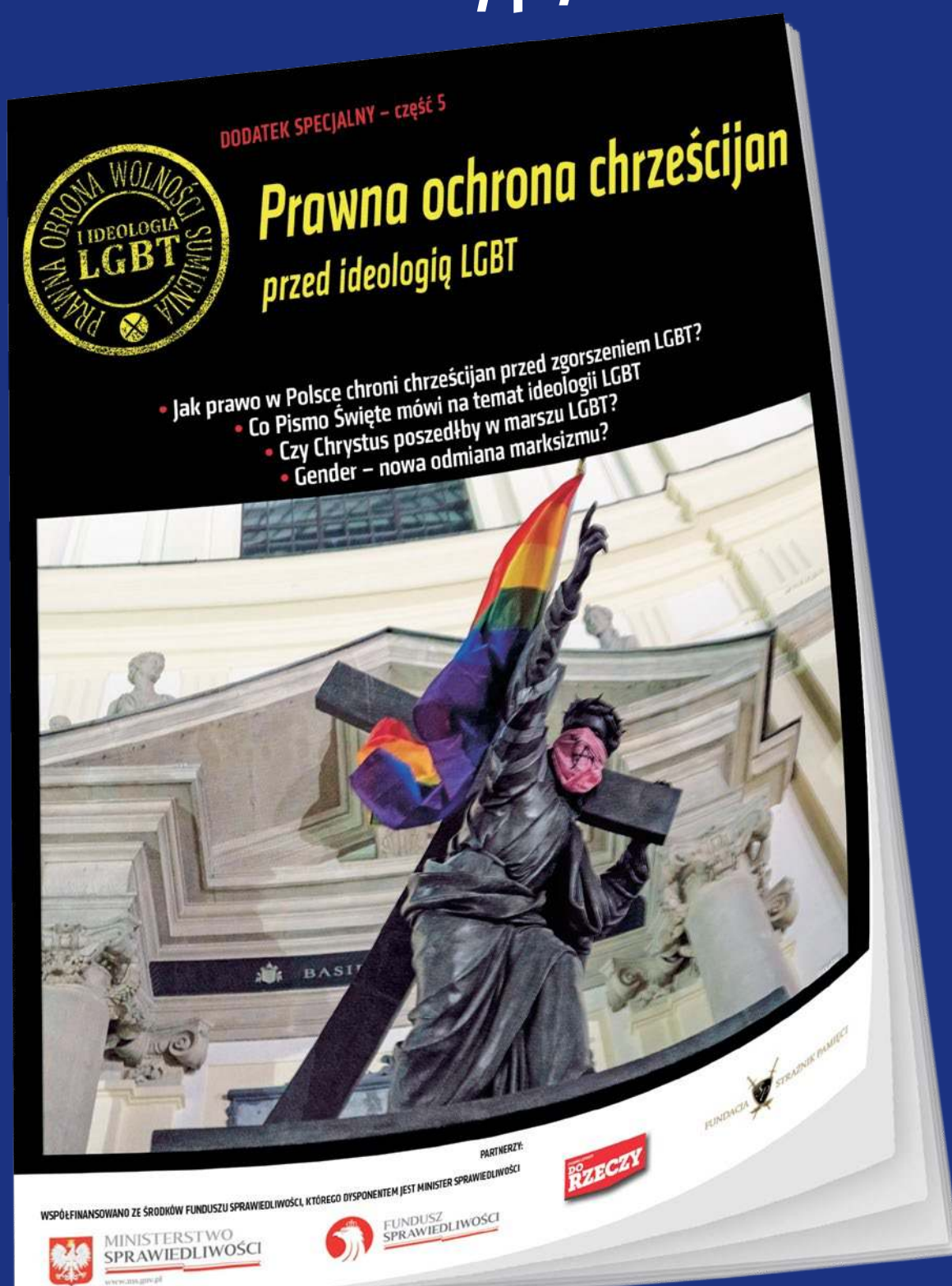
Niech mówi dalej. Niech woła.

© ©



★★★★★
JOANNA JURGAŁA-JURECZKA
„KOSSAKOWIE.
TANGO”
ZYSK I S-KA,
POZNAN 2020

Pobierz i czytaj za darmo dodatek w wersji elektronicznej!
www.dorzeczy.pl/dodatki



WSPÓŁFINANSOWANE ZE ŚRODKÓW FUNDUSZU SPRAWIEDLIWOŚCI, KTÓREGO DYSPOONENTEM JEST MINISTER SPRAWIEDLIWOŚCI



MINISTERSTWO
SPRAWIEDLIWOŚCI
www.ms.gov.pl



FUNDUSZ
SPRAWIEDLIWOŚCI



PIOTR GOCIEK

POCZYTANKI

Dziecię pustki

Oto książka, którą mógłby napisać Charles Bukowski, gdyby najtrudniejszą rzeczą, jaka mu się w życiu przydarzyła, była nie praca na poczcie, ale heroina i wojna. Z jednym zastrzeżeniem: Bukowski byłby zapewne nieznacznie sentymentalny, Nico Walker pozostaje okrutnie szczery. Mocny kawał życiopisania: autor spisywał swe doświadczenia, odsiadując wieloletni wyrok za napady na banki. Pieniądzy potrzebował na narkotyki, bo służba w wojsku i misja w Iraku jakoś nie wyprowadziły go na ludzi. Inna sprawa, że bezimienny narrator Walkera dupkiem był już wcześniej. Służba w marines i doświadczenia wojenne pogłębiły jedynie jego kłopoty.

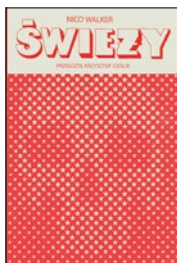
Bohater powieści „Świeży” ciekawą ani sympatyczną postacią zatem nie jest. Ale czy tylko sympatycznym doskwiera ból życia? No i to, co najważniejsze: Nico Walker ma dynamit w piórze. Ten facet po prostu potrafi pisać i są w „Świeżym” kawałki, które zapierają dech. Nie będę wtórował amerykańskiemu recenzentowi, którzy rzucili się do odkrywania w Walkerze „nowego Hemingwaya”, ale zauważę tylko, że w ciągu minionego roku czytałem tylko jedną inną powieść amerykańską, która była tak dobrze napisana – była to książka Gabe’a Ha-

basha „Nazywam się Stephen Florida” (recenzowałem ją w „Do Rzeczy” 31/2019).

W odróżnieniu od zapaśnika z tamtej książki, który ze wszelkich sił chciał kontrolować swoje życie i budować lepszą przyszłość, bohater Walkera jest jednak osobnikiem dość bezwolnym, któremu przytrafiają się rozmaite rzeczy. I wegetuje tak od przypadku do przypadku, czasem pożądam miłości, a czasem tylko seksu, prochów czy pieniędzy. Aż się przypomina ładne zdanie z jednego z dawnych wierszy Jacka Podsiadły „nie cierpię ludzi, którym jakoś nie wyszło”. Z jednej strony oglądamy amoralną ofiarę narkotykowego nałogu (niczym w słynnym „Ćpunie” Williama S. Burroughsa), z drugiej strony to cierpiący bliźni, postać która mogłaby być drugoplanowym bohaterem serialu „Breaking Bad”.

Różliczni recenzenci „Świeżego” zwracają uwagę na ponure partie wojenne i chcą analizować wątki polityczne. Mniej mnie to zaintrygowało.

Wojna ludzi w aniołów nie zmienia, a Amerykanie weszli do Iraku, nie wiedząc, jak z niego wyjść – to wiemy od dawna. W spowiedzi Walkera ubranej w formę powieści przeraża mnie za to fakt, że zanim opadł w wielkie kłopoty, zanim zaczął dorosłe życie, już ziała w nim pustka. Dlaczego? Oto jest pytanie. ©©



★★★★★
NICO WALKER
„ŚWIEŻY”
WYDAWNICTWO
POZNAŃSKIE
2020

NOWOŚCI KSIĄŻKOWE

„... Śródziemnomorski w epoce Filipa II” – dopełniając tytułu. Wznowienie dwutomowej fundamentalnej pracy wybitnego francuskiego badacza łączącego w swych dziełach historię, ekonomię i socjologię. Klasyka.



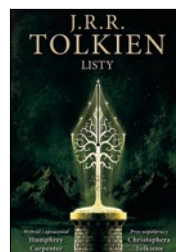
FERNAND BRAUDEL
„MORZE ŚRÓDZIEMNE I ŚWIAT...”
PIW

Ciąg dalszy rozważań z tomu „Roztraskane lustro”. Formując 105 pytań o przyszłość naszej cywilizacji, znakomity polski historyk kreśli niewesoły obraz naszych czasów i zagubienia współczesnego człowieka.



WOJCIECH ROSZKOWSKI
„BUNT BARBARZYŃCÓW”
BIAŁY KRUK

Znakomity prezent dla wszystkich zainteresowanych tajemnikami warsztatu autora „Władcy Pierścieni” oraz jego poglądami na wszystko. Wznowienie w imponującej szacie graficznej, dużym formacie i twardej oprawie.



J.R.R. TOLKIEN
„LISTY”
ZYSK I S-KA

Zbiór opowiadań chińskiego autora SF, nagradzanego za cykl „Problem trzech ciał” (wkrótce ekranizacja). Tytułowy tekst stał się podstawą wysokobudżetowego filmu, którym Chiny konkurowały z Hollywood w 2019 r. ©©



LIU CIXIN
„WĘDRUJĄCA ZIEMIA”
REBIS

poleca Piotr Gociek

KOMIKS TYGODNIA:

„FISTASZKI”

Charlie Brown zapisuje się na kurs tańca. „Będziesz mniej samotny” – podpowiadają przyjaciele. Charlie odkrywa jednak, że teraz jest podwójnie samotny: i w domu, i na kursie tańca. To tylko jeden z przykładów, że kulturowy komiks prasowy „Fistaszki” z biegiem lat robi się coraz bardziej melancholijny i momentami gorzki. Tom 23. „pasków zebranych” zawiera historyjki



CHARLES M. SCHULZ
„FISTASZKI 1995–1996”
NASZA KSIĘGARNIA

z lat 1995–1996. Jeszcze dwa tomy i serię przyjdzie zakończyć. Ostatni odcinek ukazał się 13 lutego 2000 r., dzień po śmierci Charlesa M. Schulza, który pisał i rysował „Fistaszki” przez pół wieku. ©©

poleca Piotr Gociek

NA KONCERT GINTROWSKI

*A jaż Mak
coś po was
wstał*

ZAPRASZA

**ME
CE
NAS**
KONCERTU



ORLEN



Muzyczna kuchnia

FOT. MATERIAŁ PRASOWY

Prawie pięć lat temu, gdzieś między lampką wina a kolejną porcją makaronu, w kuchni jednej z poznańskich kamienic zrodził się pomysł na zespół. Kuchnia ta stała się w kolejnych miesiącach miejscem regularnych spotkań zespołu, tam powstawały pierwsze kompozycje Part Of The Kitchen. W marcu 2017 r.

pojawiła się epka „Below The Line”, na której znalazło się pięć autorskich utworów. Teraz przyszedł czas na płytę długogrającą.

Część kompozycji z „Echokosmosu” bywalcy koncertów poznańskiej grupy mogą już znać, część to nowości. Dwa utwory przeniesiono z epki, ale słyszymy je w nowej aranżacji.

„Podstawowym założeniem jest to, aby album tworzył spójną całość, zarówno pod względem muzycznym, jak i wizualnym. »Echokosmos« jest przede wszystkim opowieścią o relacjach, które tworzymy i psujemy, o braku umiejętności komunikowania się ze sobą nawzajem i wszystkim, co nas otacza, ale

też o tym, że jeszcze możemy wszystko naprawić, połączyć okruchy ważnych momentów i jak w kintsugi stworzyć coś pięknego i wyjątkowego” – opisują swój album.

Debiut to 11 kompozycji, które za zespołem można określić jako „muzyka nie-agresywna”. – Parę dni temu zadzwonił do mnie kolega i zapytał, czy mam depresję. Mówię, że absolutnie nie i że wszystko u mnie w porządku, i że na tym albumie znajdują się takie utwory, jak choćby „Niemoc”, w których potrafimy być dużo weselsi i bardziej dynamiczni – mówiła na antenie Czwórki wokalistka Part Of The Kitchen Anna Prętko. Pozostali bywalcy poznańskiej kuchni to: Piotr Mazi Mazurek (gitara basowa), Adam Pajdowski (perkusja), Mateusz Straszewski (gitary), Paweł Wojciechowski (mandolina, banjo, gitara, klawisze). ©©

Radosław Wojtas



GRZEGORZ BRZÓZOWICZ

NA SŁUCH

Który jestem

Pierwszy solowy album lidera zespołu Raz, Dwa, Trzy przynosi gorzkie rozważania nad miejscem inteligenta w naszej rzeczywistości.

Ta zaledwie półgodzinna płyta powstała przy ścisłej współpracy Adama Nowaka z kontrabasistą Karimem Martusewiczem (Voo Voo) i gitarzystą Jarosławem Trelińskim (Raz, Dwa, Trzy). Piosenki powstawały przez pięć lat, a panowie z Akustyk Amigos zaprosili do studia wielu gości. Pięknie zaaranżowane utwory na akustyczne instrumentarium i sekcję dętą zostały zderzone z męskim, barwnie „umęczonym” głosem Adama.

Już na wstępie autor zapytuje: „Który jestem z rzędu pod rząd czy z urzędu” i „Które moje miejsce

wśród zer po przecinku”. W utworze „Jest racja i każdy ją ma” konstatuje: „Inteligencik i prostak / salonu przyjaciół czy wróg / rację wyłożą ci od podstaw / dowodząc, żeś tępy jak drut” i stwierdza: „Racja swój własny pożytek / z głupoty czerpie do dna”. W piosence „Ogół” najpierw zauważa: „Ogół przynajmniej komu i gdzie / kto jest Ogółem, a kto nim nie” i orzeka: „Ogół [...] piętnuje, karcą, pomstuje, lży / symetryzuje, a potem drwi”. W tym kontekście ciekawie wypada „Życie Janka”, którego tekst napisał syn Adama, Jan Julian: „Życie to nie jest samo zło / chociaż jak bańka kiedyś pięknie / dziękuję, że mam życie to”. Całość wieńczy przepiękna elegia „Stopa R.I.P.” do zmarłego przed dziewięcioma laty perkusisty Piotra Żyżelewicza. ©©



★★★★★
ELVIS COSTELLO
„HEY CLOCKFACE”
CONCORD

Spójny, ale i pełen stylistycznych

zakrętów album. Nagrany z trzema składami w trzech miastach: Helsinkach, Paryżu i Nowym Jorku. Od nostalgicznych piosenek, przez recytacje o ludzkiej naturze i rockowe wybuchy, do jaskrawych poetyckich eksperymentów. Mistrz opowieści i nastroju.



★★★★★
KATIE MELUA
„ALBUM NO. 8”
BMG

Katie wraca do intymnego, popo-

wego nastroju, ale też eksperymentuje z głosem. Materiał nagrała w rodzinnej Gruzji z tbiliską orkiestrą symfoniczną. Na autorefleksyjny charakter albumu miało wpływ rozstanie z mężem. Mimo jesiennego charakteru nie jest to płyta o rozpacz. ©©



★★★★★
ADAM NOWAK
I AKUSTYK
AMIGOS
„PÓŁ PŁYTY”
AGORA



Fundacja
im. Przemysława
Gintrowskiego

JUŻ W LISTOPADZIE NIEZWYKŁY KONCERT „GINTROWSKI A JEDNAK COŚ PO NAS ZOSTANIE...”

MECENAS KONCERTU:

PARTNERZY

PARTNER WSPIERAJĄCY:



eprasa.pl 7433fb4b02

Porobiło się tak śmiesznie, że śmieszniej być nie może. Już od dłuższego czasu w doskonałą nastrój wprowadzały naród codzienne komunikaty o zarażeniach i zgonach spowodowanych COVID-19, obecnie doszły do tego relacje z marszów i wieców obfitujących w tej miarę wydarzenia artystyczne, jak wystawienie „Dziadów” z okien przy ul. Mickiewicza na warszawskim Żoliborzu.

W tak gorący czas co bardziej aktywni uczestnicy życia społecznego nie oglądają zapewne telewizji, a przynajmniej nie w takim wymiarze, jak by mogli. Trudno, rozumiemy, ale niech żałują, bo tylko pozornie, po staremu, na szklanym ekranie furt rozwiązywane są trudne sprawy, Katarzyna Dowbor buduje domy, a Magdalena Gessler rewolucjonizuje zamykaną właśnie gastronomię.

Naprawdę atrakcji mamy co niemiara. A to uruchamiając pilota, natrafimy na WOT, gdzie ulubieniec mas Ryszard Makowski do prowadzonego przez siebie „Cafe Piosenka” zaprosi Przemysława Babiara, a ten odśpiewa którąś z piosenek Wojciecha Młynarskiego. Niedawno brawurowo zaprezentował „W Polskę idziemy” i „Jesteśmy na wczasach”, czekam teraz na „Przystanek koło ZOO” z zawartymi w nim pamiętnymi słowami: „A na przystanku tym wesoło, a na przystanku tym wesoło, a na przystanku tym jak w kinie”. A w telekinie też wesoło jak jasna cholera: w Canal+ straszą dinozaury, w TVN „Harry Potter”, w Polsacie jak nie Kevin, to Jack Sparrow, za to TVP błyskawicznie reaguje na dziejące się wydarzenia. Przynajmniej niektóre, na śmierć Seana Connery’ego choćby, po której wyświetlono trzy „Bondy”, wprowadzie najstarsze, za to trzy naraz.



Kadr z programu „Cafe Piosenka”

FOT. TVP

Ale wkoło jest wesoło



Krzysztof Masłoń

Fachowcy od mediów zawsze powtarzają, że nic tak dobrze nie wpływa na wzrost słupka oglądalności jak świeży nieboszczyk. Z tymi ostatnimi nie powinniśmy mieć w najbliższym czasie problemów.

W ostatnich dniach odszedł również aktor Dariusz Gnatowski, znany przede wszystkim z roli Arnolda Boczka w polsatowym serialu „Świat według Kiepskich”. Nie wiem wprawdzie, jak zwiększyć można jeszcze popularność tego dzieła mającego coś ok. 600 odcinków, bez ustanku pokazywanych w Polsacie, w Polsacie 2, w Super Polsacie czy w ATM Rozrywka i lichy wie gdzie jeszcze. A jak komu mało polsatowej praśności, to może

włączyć Comedy Central, a tam jak nie „Graczykowie”, to „Rodzina zastępcza”, „Daleko od noszy” czy inne perły z lamusa.

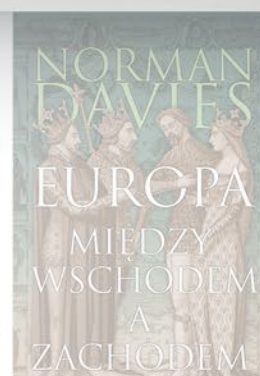
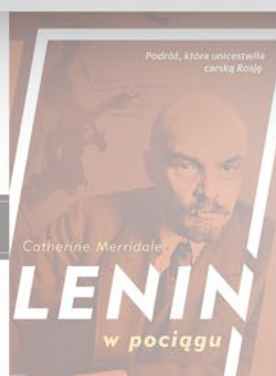
Clou ogólnego pandemium wesołości nastąpić miało w finale „Tańca z gwiazdami”, popisowej produkcji Polsatu. Kto dotąd nie pasjonował się zagadką, czy Krysztalową Kulę (jak w skokach narciarskich) zdobędą Julia Wieniawa w duecie ze Stefano Terrazzino, ten nie wie, co stracił. To, że artysta Marcin Bosak zrezygnował swego czasu z uczestnictwa w tym jakże optymistycznym przedsięwzięciu, co raz przerywanym przez koronawirusa, to jeszcze pikuś. Jak wierni fani programu pamiętają, absen-

cję zgłosił również Sylwester Wilk, mimo braku nogi świetnie radzący sobie na bieżni. Ze względów zdrowotnych „Tańcowi z gwiazdami” powiedział jednak „adieu”, by niebawem wrócić, gdy innego pretendenta do zwycięstwa wyeliminowało zesłanie wraz z partnerką na kwarantannę. Sylwester zacisnął zęby i świetnie poradził sobie bez protezy. A wszystko to z wrodzonym sobie wdziękiem lub jego brakiem, komentowali niezmiennie tryskający świetnym humorem jurorzy. Naprawdę cieszyli się zwycięzcy, nie ci, którzy uważani byli za faworytów, lecz inni – Michał Bartkiewicz i Edyta Żajac. Czarne konie? Bez przesady.

Nawet bowiem połączone siły skłóconych na śmierć i życie wszystkich polskich telewizji nie wywołałyby takiej eksplozji powszechnej uciechy jak – nie wiem dlaczego uznanych za polityczne – występy egzotycznego tercetu: Lempart-Suchanow-Scheuring-Wielgus z ewentualnym wsparciem wokalnym Klaudii Jachiry. Przypomniał mi się wierszyk, może i byle jaki, ale z jakże nowoczesnym słownictwem: „Wyuczone, wyszkolone / ale głupie...”. Zrymują niech sobie państwo sami. ©©

Historia

w naszym wydaniu -
**PORUSZAJĄCA
I AUTENTYCZNA**





Agnieszka
Marianowicz-Szczygieł

Orientacja płciowa i seksualna to dziś subiektywne pojęcie oznaczające „skłonność”. Niektóre nazwy 235 „orientacji” brzmią groteskowo. Jednak dekonstrukcja społeczna, którą ze sobą to niesie, nie jest wcale zabawna

Brytyjski Facebook daje do wyboru 71 orientacji. Mermaids UK – brytyjska organizacja transgender dla dzieci (!) – wylicza 20 orientacji, w tym np. multigender. Lista zamieszczona już w archiwach brytyjskiej organizacji doradczej ACAS (a więc „stara”) zawiera takie akronimy, jak: LGBT, LGBTIQ, LGBTQU, LGBTQIA, LGBTQ+, LGBTTQQIAAP, QUILTBAG. Wraz z dopiskiem, że akronim QUILTBAG został wprowadzony jako postępowy i najbardziej inkluzywny (włączający), „ale jest wciąż krytykowany za wyłączenie pewnych grup”. No trudno się dziwić. Lista orientacji płciowych i seksualnych bardzo się wydłuża. Najdłuższa, którą udało mi się znaleźć w Internecie, liczy 235 orientacji płciowych i seksualnych. Zatem wymieniona przeze mnie w niedawno wydanej broszurze „Utopia tęczowej rewolucji” liczba 150 orientacji jest już nieaktualna.

Wśród 235 orientacji płciowych i seksualnych przedstawionych na platformie Wattpad (54+77+104) i ujętych w infografice Instytutu „Ona i On” znajdują się m.in.: genderfluid, aromantic, librafluid, diamoric, achilleian, cupioromantic, ace panro, polyamorous, pansexual, leather/latex/bdsm kink, multflux, masexual, burst. Ponieważ, jak można się domyśleć, powoli zaczyna brakować nazewnictwa, pojawiają się nazwy zaczerpnięte np. ze świata kwiatów, jak: magnolian, rosarian, amaranthian, czy kosmosu: solarian albo galaxian – to akurat gender pośredni pomiędzy solarian, lunarian i stellarian. Jest też inna inspiracja: OWL (jak z ang. starsze mądre lesbijki). Każda z takich wykreowanych sztucznie identyfikacji aspiruje, aby mieć swoją flagę. Jest flaga „London Pride” (Duma Londynu) – z koroną i falującą tęczą, „cowboy kink”



FOT. ADOBE STOCK

Dezorientacja płciowa

– z charakterystycznym kapeluszem czy flaga bianarchistyczna. Wszelkie limity bije na głowę xenogender – bo oznacza tożsamości pomieszczone ze światem zwierząt, roślin czy zjawisk atmosferycznych, symboli, części natury (dosłownie) – czyli wszystko poza męskością i kobiecością, która wydaje się dla niektórych za ciasna.

W Nonbinary.wiki znajdziemy z kolei astralgender (ktoś, kto identyfikuje się z przestrzenią), dryagender (z pustym lasem). Ale najbardziej może spodobać się identyfikacja egogender – czyli bycie po prostu sobą. Internauci łatwo znajdą filmy i artykuły na temat ludzi, którzy identyfikują się także jako konie, psy, a nawet hipopotamy. Na jednej ze stron poświęconej xenogender znajdziemy także wzmiankę, że osoby xenogender czują czasem „gender euforie” i mają swoją podkategorię „neurodiversity”. Są to osoby, które w swoim przeżywaniu płciowości mają jakieś uwarunkowania związane z chorobami psychicznymi, kwestiami neurologicznymi – i dlatego nazywane są „neurogender”. Czyli poplątanie z pomieszaniem (albo i nie – powiedzą złośliwi).

Gender Census to narzędzie do pomiaru częstotliwości występowania 28 iden-

tyfikacji, które tu wymieniono. 11 282 uczestników tej ankiety zdecydowało, że najbardziej popularna jest identyfikacja nonbinarna – 66,6 proc., zaś na czwartym miejscu uplasowała się zupełnie chyba w Polsce nieznana identyfikacja „enby” – 31,7 proc. Mamy także ranking najpopularniejszych zaimków płciowych – swoistej nowomowy. Przecież to, jak się identyfikujesz, to jedna sprawa, a druga – jak chcesz, aby cię tytułowano. I tu na pierwszym miejscu pojawiają się odmiany liczby mnogiej – ang. they – 79,5 proc. (they/them/their/theirs/themself), ale można zwracać się także zamiast ona i on: xe, em, ze, fae. Zamiast tradycyjnych „Sir” lub „Mrs” można też wybrać określenie „towarzysz” (ang. comrade). Dla niezdecydowanych pojawiła się także kategoria: wybieram tytuł na dany dzień. Bo ideologia queer to kompletny brak jakichkolwiek kategorii. To tyle przeglądu orientacji.

MANIPULACYJNA DISKRYMINACJA

Co chwilę dowiadujemy się, że kogoś właśnie dyskryminujemy albo dyskryminować wkrótce będziemy. Termin „dyskryminacja” jest bardzo manipula-

cyjny i wieloznaczny. Został wymyślony przez neomarksistę Marcusego „w celu zahamowania wolności prawicy”. Jest to także pojęcie bardzo pojemne i ciągle ewoluujące – lepiej, jeśli już, mówić o przemocy. Bo kiedyś dyskryminacją było wyrzucenie osoby LGBT z pracy, a dziś brak zgody rodziców na to, aby ich niepełnoletnie dziecko poddało się hormonalnej „terapii” w ramach tzw. zmiany płci. Najważniejszy przedmiot dyskryminacji – orientacje seksualne i tożsamości płciowe – na Zachodzie także zwane „orientacjami”, dopisuje się bez zająknięcia do katalogu tzw. „przestępstw nienawiści” – obok religii, rasy czy narodowości. Takiego zabiegu „dopisania” według doniesień „Rzeczpospolitej” dokonano w projekcie ustawy przygotowanym w Sejmowej Komisji ds. Petycji – za publiczne znieważanie innych orientacji seksualnych i tożsamości płciowych (nowelizacja art. 257 Kodeksu karnego) groziłoby w Polsce pięć lat za kratkami. W Szwajcarii za homofobię grożą już tylko trzy lata więzienia.

„Dopisuje się” także na arenie międzynarodowej. W trzeciej edycji podręcznika UNICEF z wytycznymi do realizacji międzynarodowej Konwencji Praw Dziecka w art. 8 („prawo do tożsamości”) płeć biologiczną zastąpiono gender i dodano orientację seksualną. Tym samym zmusza się rodziców np. do akceptacji wyboru płci przez dzieci. Jedną z osób, która pilnie pracowała nad tą wersją wytycznych UNESCO, był Peter Newell – międzynarodowy ekspert ds. dzieci, oskarżony o molestowanie seksualne 13-letniego chłopca.

Na kanadyjskiej liście praw człowieka (Canadian Human Rights Act) oraz w kodeksie karnym (Criminal Code) także „dopisano”: „ekspresję gender” i „tożsamość gender” do listy kategorii tożsamości szczególnej ochrony (za pomocą ustawy Bill C-16).

PRZESTRZEŃ DO NIESKONCZONYCH WARIANTÓW

Pojawia się więc uzasadnione pytanie: Dlaczego orientacje płciowe lub seksualne zostają umiejscowione na poziomie rasy, pochodzenia etnicznego czy religii? Nie chodzi tu o kwestie zapobiegania przemocy, to sprawa bezdyskusyjna i istniejące ogólne, inne przepisy prawne, które dotyczą wszystkich obywateli, powinny być wystarczające. Dlaczego więc wyróżnia się te kategorie na tle innych społecznych

wymiarów, które nie dostępują już takiego zaszczytu, np. szacunku dla osób starszych czy rodziców, niedyskryminowania np. rodzin wielodzietnych? W wyżej wymienionym projekcie ustawy dopisano także wiek, płeć i niepełnosprawność, sugerując, że orientacja seksualna i płciowa są w jakiś sposób porównywalne. O ile wieku, rasy, narodowości (nie mylić z obywatelstwem), płci (biologicznej) nikt nie wybiera, są trwałe, niezmiennie, wrodzone (wyjątek stanowi tu „niepełnosprawność”), o tyle nie sposób powiedzieć tego o wymienionych wyżej orientacjach, które są zmienne, uznaniowe i – co najważniejsze – nie są wrodzone. Gdyż obecny stan wiedzy naukowej wskazuje, że zarówno homoseksualizm, jak i transseksualizm są przeważająco (choć na ogół nieświadomie) nabyte. Co więcej, odwrotnie niż rasa czy wiek, orientacji seksualnej na ogół nie widać, należy także do spraw intymnych i prywatnych, że swoją seksualnością dobrze wychowani ludzie w miejscach publicznych na ogół się nie afiszują.

Zasadniczy problem z orientacją płciową czy seksualną leży jednak jeszcze gdzie indziej. W jej skrajnej subiektywności. Dlaczego? Dlatego że otwiera się tu pole do nieskończonych wariantów, interpretacji i upodobań. W Polsce w przestrzeni publicznej toczy się spór głównie wokół homo- i transseksualizmu, gdy tymczasem na Zachodzie z równym zapalem np. Amerykańskie Towarzystwo Psychologiczne promuje wiedzę o „poliamorii”, „konsensualnej niemonogamii” i „relacyjnej anarchii”, „swingowaniu” itp. Na paradach dumy (bo już nie równości) maszerują dumnie sadomasochiści, a w czołowych periodykach naukowych dotyczących seksualności pojawiają się artykuły na temat normalizacji wszelkich parafilii – jak ekshibicjonizm, podglądactwo, ale także pedofilia (np. artykuł Geralda P. Jonesa w „Journal of Homosexuality” na temat „międzypokoleniowej intymności” pt. „The study of intergenerational intimacy in North America”).

Problem leży także w tym, że lansowana definicja orientacji seksualnej, czyli zachowania+tożsamość+pociąg seksualny – o której wspominał doktor habilitowany profesor psychologii UW W. Dragan w niedawnym artykule w serwisie Naukawpolsce.pl – świetnie pasuje i do pedofilii, i zoofilii, i np. ekshibicjonizmu (tam też mamy zбіtek tych trzech warunków: i subiektywnej autoidentyfikacji, i zachowań, i specyficz-

nego typu pożądania). W takiej definicji orientacji seksualnej zatracono zupełnie obiektywizm w ustalaniu kryteriów świadczących o tym, co jest normą, a co nią nie jest (nawet kryterium statystyczne byłoby tu mocno pożądane). Nie pyta się zupełnie o genezę, trwałość, efekty uboczne, ryzyko zdrowotne, społeczne – czyli nie obiektywizuje się pojęcia „orientacji”. Rozumie się ją tylko jako subiektywnie postrzeganą skłonność. Tymczasem wiele z tych 235 orientacji może być w sensie medycznym czy psychologicznym raczej dezorientacjami.

Gdyby udzielono odpowiedzi na powyższe pytania, to np. sama nietrwałość związków homoseksualnych (zaledwie średnio 3,5 roku) czy skala zakażeń chorobami przenoszonymi drogą płciową już wskazuje, że coś z tym terminem „orientacja” jest nie tak. Jak pokazują ostatnie doniesienia medialne, wiele autorytetów zdaje się być nieświadomym tego drugiego dna. Największym paradoksem jest więc skrajny subiektywizm orientacji płciowych i seksualnych. Jeśli więc polscy posłowie chcą wprowadzać do polskiego prawodawstwa orientacje płciowe i seksualne, to warto zapytać, którą listę mają na myśli. Kto i jak ustala aktualną listę takich orientacji? A co z definicją samej orientacji – bierzemy pod uwagę tę subiektywną czy ją raczej obiektywizujemy?

Subiektywna, zmienna identyfikacja psychiczna (świadomość płci czy seksualności) nie może zastąpić obiektywnej rzeczywistości. W przyrodzie istnieją tylko dwie płcie i tylko związki heteroseksualne mogą się rozmnażać (mówimy o ludziach, a nie np. ślimakach)! Naginać lub ignorować biologię jest groźną, utopijną ideologią. Ludzi szanujemy, ale sprzeciwiamy się takiej ideologii. Tym, którzy uważają, że ideologia LGBT+ (gdzie ów plus jest najważniejszy) nie istnieje – polecam lekturę listy 235 orientacji.

Na koniec mała dedykacja dla wszystkich „wsteczniaków”, którzy uznają istnienie tylko dwóch płci i naturalne sposoby rozmnażania. Magazyn mody „Cosmopolitan” (choć już nie nadaje, bo pisze tylko o 13 orientacjach) wspomina o sapioseksualności, czyli o pociągu seksualnym do ludzi mądrych. I tego pociągu do ludzi mądrych absolutnie państwu, normatywnym i nienormatywnym, z całego serca życzę.



Z ks. prof. dr. hab.
Mirosławem Kalinowskim,
rektorem Katolickiego
Uniwersytetu Lubelskiego
rozmawia Tomasz Rowiński

Ks. prof. dr. hab. Mirosław Kalinowski jest
rektorem KUL od 1 września 2020 r.

FOT. TOMASZ KORYSZKO

Uniwersytet powinien służyć prawdzie

TOMASZ ROWIŃSKI: Dlaczego ksiądz profesor zdecydował się na reakcję wobec publicznych wystąpień ks. dr. hab. Alfreda Wierzbickiego?

KS. PROF. DR. HAB. MIROSŁAW KALINOWSKI: Tak jak już informowałem, do rektoratu KUL w ostatnich tygodniach wpływały różne opinie dotyczące medialnych wypowiedzi ks. dr. hab. Alfreda Wierzbickiego. Różnorodne środowiska zgłaszały rozbieżne wnioski w tej sprawie. Ksiądz doktor udzielał wywiadów, w których krytykował oficjalne stanowisko Konferencji Episkopatu Polski ws. LGBT+, mówił m.in. o potrzebie zrewidowania nauczania

Kościoła w kwestii homoseksualizmu. Wywoływało to liczne protesty kierowane do KUL. W związku z tą sytuacją kolegium rektorskie zdecydowało o przekazaniu sprawy do oceny rzecznika dyscyplinarnego do spraw nauczycieli akademickich. KUL jest uczelnią katolicką i podstawą funkcjonowania naszego uniwersytetu jest nauczanie Kościoła, które wyrażone jest m.in. w oficjalnych dokumentach episkopatu. Nauczanie Kościoła jest szczególnie istotne na wydziałach kościelnych. Na takim wydziale jest właśnie zatrudniony ksiądz doktor. Rzecznik dyscyplinarny

przeanalizuje wypowiedzi ks. dr. hab. Alfreda Wierzbickiego w tym zakresie.

W jaki sposób katolicka uczelnia powinna sobie radzić ze swoimi akademikami, którzy zajmują się podważaniem katolickiego nauczania, szczególnie z zakresu prawd wiary i moralności?

Kwestie te są uregulowane w statucie naszej uczelni. Czytamy tam, że w badaniach naukowych i kształceniu KUL kieruje się zasadą wolności nauki, która służy poznawaniu prawdy i rozwojowi dyscyplin naukowych. Ale jednocześnie w tym samym dokumencie wyraźnie

podkreślono, że realizacja zasady wolności nauki powinna pozostawać w zgodzie z Objawieniem i nauczaniem Kościoła. Przestrzeganie tej zasady obowiązuje każdego naukowca pracującego na KUL. Osoby zatrudnione na wydziałach kościelnych są dodatkowo podporządkowane przepisom prawa kanonicznego oraz wskazaniom zawartymi w dokumentach Stolicy Apostolskiej.

Jest jakaś granica wypowiedzi, której przekroczenie powinno spowodować, że uniwersytet katolicki podziękuje za współpracę swojemu wykładowcy?

Tak jak wspominałem, kwestie te regulują statut KUL oraz legislatura wewnętrzna, których muszą przestrzegać wszyscy pracownicy uniwersytetu.

Czy gdyby ksiądz profesor był rektorem KUL w 2008 r., uważałby za właściwe bronić premier Kopacz w sprawie skutecznego doprowadzenia 14-letniej Agaty do aborcji, tak jak zrobił to ówczesny rektor KUL ks. prof. Andrzej Szostek?

Wyznaczniakiem wszelkich działań KUL jako uniwersytetu katolickiego jest nauczanie Kościoła i jego Katechizm. W kwestii ochrony życia nie możemy mówić o żadnych kompromisach. To podstawowa i nienaruszalna wartość oraz element naszej tożsamości chrześcijańskiej. Moim podstawowym zadaniem i obowiązkiem jako rektora jest dbanie o to, by Katolicki Uniwersytet Lubelski Jana Pawła II realizował swoją misję zawartą w jego dewizie „Deo et patriae”. Staram się iść drogą, którą wskazał św. Jan Paweł II, w duchu jego encykliki „Fides et ratio”.

Czy uniwersytet katolicki powinien być głosem w dyskusji publicznej w najważniejszych sprawach społecznych, a nawet politycznych, czy to ewentualne zadanie dla konkretnych akademików?

Odpowiedź na to pytanie znajduje się w statucie KUL i przywołanej już przeze mnie dewizie „Deo et patriae”. Uniwersytet, zgodnie z wezwaniem skierowanym do nas przez św. Jana Pawła II, powinien służyć prawdzie. Dotyczy to wszystkich wymiarów życia, także społecznego, politycznego, kulturalnego. Ojciec Święty w przemówieniu do rektorów wyższych uczelni w czerwcu 1999 r. mówił w Toruniu, że ludziom nauki oraz ludziom kultury powierzona została szczególna odpowiedzialność za prawdę. Chcemy realizować tę misję, także poprzez udział naszych ekspertów w debacie publicznej, wskazywanie kierunków i odpowiedzi na pytania,

które stawia sobie człowiek, szczególnie młody, funkcjonujący we współczesnym świecie. To naturalne, że uniwersytet jest ośrodkiem kształtowania opinii, które docierają do społeczeństwa za pomocą środków przekazu i nowych technologii. Dążymy do tego, by jeszcze skuteczniej komunikować się z otoczeniem społecznym i aktywnie uczestniczyć także w wirtualnej sferze życia, która z jednej strony niesie ze sobą ogromne możliwości komunikacyjne, ale z drugiej – stwarza niespotykane dotąd zagrożenia. Jedną z naszych propozycji w omawianym aspekcie jest powstająca Akademia Nowoczesnych Mediów KUL.

W kwestii ochrony życia nie możemy mówić o żadnych kompromisach. To podstawowa i nienaruszalna wartość oraz element naszej tożsamości chrześcijańskiej

Jak katolicka uczelnia powinna podchodzić do zjawisk jawnie wrogich wobec chrześcijaństwa i natury ludzkiej, takich jak studia gender czy ideologia LGBT? Czy broniłby ksiądz profesor pomysłu z 2013 r., gdy razem z radykalnie lewicowym Ośrodkiem „Brama Grodzka” – Teatr NN przygotowano wykład o feminizmie i studiach gender?

Odpowiadając na te pytania, kolejny raz odwołam się do fundamentów, na których budowany był KUL, czyli do nauczania Kościoła i Ewangelii. Uniwersytet katolicki jest oczywiście otwarty na debatę i wymianę poglądów w rozmaitych kwestiach, w tym także światopoglądowych. Nie możemy jednak zapominać, że spośród różnorodnych uczelni wyróżniają nas właśnie nasza katolickość i system wartości, na których zbudowana jest kultura chrześcijańska, będąca zarówno dziedzictwem, jak i przyszłością Europy. W kwestiach gender i LGBT wypowiadała się Konferencja Episkopatu Polski, której dokumenty są dla KUL ważnym wyznacznikiem kierunków działania.

Uważa ksiądz profesor, że katolicka tożsamość KUL wymaga odnowienia?

Na określonych etapach historii każdej instytucji, w tym również uniwersytetu, przychodzą momenty weryfikacji tożsamości oraz analizy, na ile realizuje ona swoją misję. Na pewno musimy dbać

o wartości zawarte w dorobku naszych poprzedników, ale jednocześnie rozwijać dorobek naukowy i dydaktyczny w oparciu o wartości ewangeliczne w kontekście wyzwań współczesności oraz przekazywać transparentny system aksjonormatywny kolejnym pokoleniom naukowców i studentów. Jako rektor zapewniam, że Katolicki Uniwersytet Lubelski Jana Pawła II jest uczelnią nowoczesną, ale jednocześnie opartą na tradycji. Społeczności akademickiej naszej uczelni bardzo zależy na wysokich miejscach w rankingach naukowych, ale jednocześnie ważny jest dla nas wyrazisty i transparentny charakter działalności naukowo-dydaktycznej, do której zobowiązuje nas przydomek „katolicki”. I nasz najwybitniejszy profesor oraz patron św. Jan Paweł II, który idealnie łączył nowoczesność z tradycją.

Jak powinna wyglądać tożsamość współczesnego uniwersytetu katolickiego? Mówi się, że większość takich uczelni, także KUL, znajduje się w kryzysie.

Każda społeczność akademicka w swojej działalności musi dostosowywać się do zmian cywilizacyjnych, kulturowych i technologicznych, ale to, co różni KUL od innych uczelni, polega na budowaniu konstruktywnej relacji między nauką i wiarą. Dlatego KUL musi zachować swoją tożsamość, wynikającą ze ścisłego związku z nauczaniem Kościoła katolickiego. Nasza uczelnia staje przed ogromną szansą na to, aby wskazywać człowiekowi odpowiedzi na pytania dotyczące sensu, celu i sposobu postępowania we współczesnym świecie, który jest dla niego coraz mniej zrozumiały i w którym coraz trudniej jest mu się odnaleźć. Społeczność akademicka KUL chce dziś inwestować w rozwój młodych ludzi, zarówno naukowców, jak i studentów, kształcąc w ten sposób liderów w różnych dziedzinach życia i w kulturze chrześcijańskiej. W tym dostrzegamy przyszłość KUL i jego misję wobec Polski, jej chrześcijańskiej tożsamości i aktywnej roli w Europie i świecie.

Nie uważa ksiądz profesor, że w tzw. nowym, powszechnie używanym logo Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego powinien znaleźć się krzyż?

Rzeczywiście pojawiają się postulaty w tej kwestii. Obecnie zasady używania logotypu KUL są określone w wewnętrznych regulacjach uczelni. Zmiany są możliwe, ale wymagają one szerokich konsultacji społecznych i merytorycznej dyskusji.



Tomasz P. Terlikowski

To nie kontrrewolucja, ale miłość, i nie walka, ale leczenie ran jest drogą Kościoła. Tak najkrócej mogę podsumować moje stanowisko w sporze z Krystianem Kratiukiem

Nieco ponad rok temu szeroko komentowano „Patointeligencję” Maty. Część środowisk prawicowych i katolickich przekonywała, że to obraz tej strasznej lewicowo-liberalnej młodzieży, że nasze dzieci takie nie są, bo my w odróżnieniu od tamtych jesteśmy inni, lepsi, a nasze dzieci nic z tych rzeczy nie robią. Miałem wówczas inne zdanie, wskazywałem, że to obraz młodzieży w ogóle i że dotyczy on tak młodzieży z domów konserwatywnych i katolickich, jak i liberalnych oraz lewicowych. Kilka miesięcy temu zacząłem otwarcie mówić, za co w wielu miejscach uznano mnie za defetystę i mięczaka, że walka o młodzież została już przez Kościół i konserwatystów przegrana, że obecnie młodzi ludzie nie chodzą do Kościoła, mają w głębokim poważaniu nie tylko jego nauczanie moralne, lecz także religijne i wspólnotowe emocje, które ich rodzice zaspokajali w rozmaitych duszpasterstwach, wspólnotach czy na wielkich spotkaniach z papieżem Janem Pawłem II. Tamten świat już nie istnieje i choć my możemy za nim tęsknić, to dla nich jest on tylko przeszłością, która nie określa ani ich emocji, ani decyzji.

TO NIE ICH PAMIĘĆ

Ich rodzice zresztą, a mówię to o swoim pokoleniu, też często realnie odeszli już z Kościoła, wspominają piękne czasy, ale w swoich decyzjach życiowych – zarówno na prawicy, jak w centrum i na lewicy – nieczęsto kierują się jego nauczaniem. Odeszli, czasem w sposób niezauważalny, pochłonięci pracą, zaangażowaniem, polityką, i tylko czasem ze zdziwieniem konstatują, że ich dzieci nie mają już tych samych co oni emocji wobec Kościoła. A nie mają, bo nikt im ich nie przekazał. Katecheza w szkołach, choć była ogromną szansą, nie spełniła pokładanych w niej oczekiwań, a doprowadziła do realnego zerwania z parafiami. Piękny Kościół, który pamiętaliśmy z naszej młodości,

FOUADBE STOK

także jakby zbrzydł. Okazało się, że część z jego bohaterów ma bardzo brzydką kartę ukrywania pedofilii czy własnych skandali seksualnych, a inni – których jeszcze za ich życia uznawano niemal za relikwie – nie są w stanie, żartobliwie rzecz ujmując, choć akurat w tej sprawie nie jest nikomu do śmiechu, przypomnieć sobie nawet, czy znali św. Jana Pawła II, choć przez lata byli jego sekretarzami.

Ta diagnoza właśnie potwierdza się na naszych ulicach. Tam są nie tylko „resortowe dzieci”, nie tylko dzieci liberałów i elit,

lecz także nasze dzieci: dzieci moich przyjaciół ze wspólnoty, zaangażowanych katolików, prawicowych polityków i konserwatywnych publicystów. I dotyczy to także tych młodych, którzy – czasem świadomie, a czasem z powodu przywiązania do rodziców – wciąż jeszcze praktykują. Ich nie przekonują słowa o grzechu, groźby wykluczenia z Kościoła ani pohukiwania hierarchów. Gromkie „wyp...dalać” krzyczą do nich, ale też do nas wszystkich także dzieci z dobrych katolickich domów. Ten krzyk, choć jest manifestowaną potrzebą siły,

debata
DO RZECZY

Miłość, a nie kontrrewolucja



jest także wołaniem do nas, przypomnieniem o naszych zaniedbaniach, o naszym rodzicielskim braku miłości czy braku wzorców realnej wiary, to krzyk wściekłości na udawanie przez wiele lat, że nie ma problemów, że przestępstwa seksualne nie istnieją. I wreszcie to smutny dowód na to, że żadna z metod ewangelizacji ostatniego dziesięciolecia się nie sprawdziła.

TWARZĄ W TWARZ Z INNYM

Zacząłem polemikę z Krystianem Kratiukiem od tego, co dzieje się na ulicach, bo bez uświadomienia sobie tego, nie możemy poważnie rozmawiać o strategii Kościoła czy konserwatystów. To spotkanie z rzeczywistością, z ludźmi na ulicach, wielogodzinne rozmowy z inaczej myślącymi, poranionymi, odrzuconymi, tymi, których Krystian Kratiuk uważa za przedstawicieli obcej cywilizacji, z którymi nie ma co rozmawiać ani budować wspólnoty, określa moje stanowisko. Ono, co do zasad, jest niezmiennie, byłem i jestem zdecydowanym przeciwnikiem aborcji, co ostatnio dość jasno pokazywałem, nie widzę możliwości zmiany definicji małżeństwa, a Kościół jest moim domem, ale w kwestii strategii, modelu działania i celu, do jakiego mamy zmierzać, je zmieniłem.

Nie wiem, czy Krystian Kratiuk albo Mariusz Dzierżawski kiedykolwiek mieli sposobność rozmowy z ofiarami przestępstw seksualnych w Kościele? Czy spędzili godziny na słuchaniu o tym, jak osoby te zostały skrzywdzone i jak je później potraktowano? Część z tych osób deklaruje się obecnie jako osoby LGBT, inne mają porozbijane małżeństwa, leczą się z depresji, a czasem są alkoholikami. Gdy człowiek ich spotka, gdy posłucha ich historii, gdy zmierzy się z traumą i ze zranieniem, to przestaje mieć krótką, dobrą odpowiedź na każde pytanie i zaczyna rozumieć, że chrześcijaństwo nie jest ideologią, pudełkiem ze słusznymi poglądami, ale drogą, na której wraz z Jezusem mamy dostrzegać i leczyć zranienia świata. Leczyć maścią miłosierdzia i miłości, a nie surowych zasad, pouczania i nieustannego przypominania norm. Nie, nie znaczy to, że normy nie są prawdziwe, ale zanim się je zaaplikuje, trzeba najpierw opatrzyć rany, zobaczyć spod nich człowieka, spotkać się z nim i porozmawiać. O miłości, o jego drodze, o tym, że niezależnie od tego, co się wydarzyło, on jest kochany. Spotkanie, rozmowa poprzedza politykę, kontrrewolucję, nawet nauczanie moralne.

Wiele razy zdarzyło mi się też ostatnio wysłuchać historii innych ludzi, nie skrzywdzonych przez duchownych, ale poranionych sytuacją w domu (niekiedy na zewnątrz bardzo katolickim), zniszczonych przez nieuporządkowane relacje, niemal zawsze nieznaną Kościoła, który głosiłby wiarę, nadzieję i miłość, a jedynie pouczał, strofował i dyscyplinował. Od takiego Kościoła, czasem od Kościoła, którego antyświadeństwo mieli w domu czy wśród bliskich, od Kościoła, którego nigdy nie poznali, odeszli bardzo daleko. Oni naprawdę nie potrzebują kontrrewolucji ani cywilizacyjnej musztry, ale rozmowy, spotkania, wysłuchania i zobaczenia ich zranień.

Prawda o nas – tych z tej strony, z tej naszej, jedynie słusznej – jest zresztą taka sama. Też potrzebujemy rozmowy, spotkania, też mamy poharatane życie, też nie radzimy sobie z relacjami i z Panem Bogiem, a czasem nasz radykalizm jest jedynie psychologiczną obroną przed prawdą o sobie samym, w niczym nie lepszym od innych. Gdy zdejmemy z siebie maski, możemy naprawdę rozmawiać, ale też naprawdę głosić istotę chrześcijańskiej Dobrej Nowiny. A tą nie jest kontrrewolucja, ale miłość, bezwarunkowe przebaczenie.

WSPÓLNOTA, A NIE WOJNA

Głęboko, fundamentalnie nie zgadzam się również z tym, że nie istnieje już wspólnota, której jedności, pokoju i stabilności trzeba bronić. Nieustanne powtarzanie, że „to jest wojna”, i w odpowiedzi, że wspólnota już nie istnieje i że konieczna jest kontrrewolucja, ma moc samospełniającej się przepowiedni. Przepowiedni, która może nas głęboko podzielić, zniszczyć to, co istnieje, ale na pewno nie doprowadzi do tego, że jedna ze stron przestanie istnieć. Protesty kiedyś się skończą (niezależnie od tego, która ze stron zwycięży), ludzie wrócą do domów, i znowu będziemy musieli żyć obok siebie. My, zwolennicy orzeczenia TK, i ci, którzy są jego przeciwnikami. Obrońcy życia i ci, którzy określają się mianem obrońców wyboru. Nic tego nie zmieni.

Podział zaś między jednymi a drugimi będzie przebiegał w poprzek naszych rodzin. Mam w swojej rodzinie, dalszej i bliższej, ludzi zupełnie niewierzących, często opowiadających się po tzw. ideologicznej drugiej stronie. Wielu z moich przyjaciół gdzieś po drodze straciło wiarę, inni zmienili wyznanie, a jeszcze inni po prostu ostygli i poszli w kierunku, z któ-

rym mogę się nie zgadzać. Mam wreszcie wśród przyjaciół ludzi, którzy mają zupełnie inne poglądy, a jednocześnie w czasie największych sporów ostatnich tygodni co jakiś czas pytali, jak znoszę hejt, i wspierali. Zarówno z nimi, jak i z moją rodziną należę do jednej wspólnoty. Spotykamy się na jednym terenie, rozmawiamy, żartujemy, budujemy razem niełatwe czasem relacje. To jest wartość, której możemy doświadczyć. Nie jest nią natomiast ideologiczny konstrukt, który Kratiuk przeciwstawia jedności wspólnoty, a mianowicie „świat prawdy, dobra i piękna oparty na zasadach cywilizacji chrześcijańskiej”. Nie piszę tego, by kwestionować potrzebę piękna, prawdy i dobra ani tym bardziej chrześcijaństwa, tylko po to, by wskazać, że o ile z jednym mamy wciąż do czynienia, o tyle to drugie – możemy nad tym rozpaczać, ale tak po prostu jest – już nie istnieje.

Co zatem różni mnie z Krystianem Kratiukiem? Myślę, że diagnoza rzeczywistości. A ta w moim przypadku jest taka, że od jakiegoś czasu nie tylko katolickie imaginarium, lecz także ponadpokoleniowy przekaz wiary już nie istnieją. Nie żyjemy w społeczności katolickiej ani konserwatywnej, a realnie spluralizowanej i radykalnie zsekularyzowanej. Ewangelia, Kościół, wartości nie zajmują większości młodych Polaków, oni nie doświadczyli nigdy spotkania z Jezusem Chrystusem, ich wiedza religijna jest na poziomie zerowym, a poglądy moralne niewiele lub zgoła nic nie mają wspólnego z nauczaniem Ewangelii. Dotyczy to zarówno młodzieży o poglądach bardziej lewicowych, jak i tej prawicowej. Zamiast więc snuć mrzonki o kontrrewolucji, trzeba zadać pytanie, jak dotrzeć do tych ludzi z przekazem wiary. Wiary, która jest przede wszystkim spotkaniem z żywym Bogiem, doświadczeniem bezwarunkowego przebaczenia, a nie tylko zbiorem norm i zasad czy kontrrewolucyjnym zapalem.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

Wcześniej w tej sprawie głos zajęli:

Mariusz Dzierżawski

„Jak przegrać wojnę cywilizacji” („Do Rzeczy” nr 39, 21 września 2020 r.)

Tomasz P. Terlikowski

„Istotniejsze jest zbawienie” („Do Rzeczy” nr 41, 5 października 2020 r.)

Krystian Kratiuk

„Czy nasza walka ma sens?” („Do Rzeczy” nr 43, 19 października 2020 r.)



PIOTR ZYCHOWICZ

REALHISTORIK

Powstanie '56

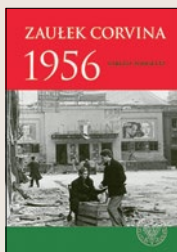
Czołgi były już bardzo blisko. Bandi czekał przy zalanym benzyną odcinku ulicy, schowany za drzewem z torbą kwarków i zapalniczką w ręce. Kiedy pierwszy czołg wjechał na zalaną część drogi, Bandi podpalił torbę i wrzucił ją do benzyny. W mgnieniu oka to miejsce zamieniło się w piekło, czołgi się zatrzymały, a Rosjanie, wyskakując, próbowali się ratować. Puste beczki po benzynie eksplodowały, co wywołało wśród nich takie zamieszanie, że stali w płomieniach i nie wiedzieli, w którą stronę uciekać. Nie mogli daleko pobiec, bo ich ubrania szybko zajęły się ogniem. Kilku z nich już tam zostało – spłonęli. Usłyszeli zbliżające się syreny pojazdów straży pożarnej. Stanęli na ulicy i zatrzymali wozy strażackie. Powiedzieli im, co płonie, na co komendant zawrócił całą brygadę do koszar”.

To fragment wspomnień Gergelyego Pongráta „Zaułek Corvina 1956”. Tytułowy zaułek był jednym z miejsc w Budapeszcie, w których Węgrzy stawili najbardziej zaciekły opór Sowietom. Doszło tam do długich i krwawych walk między obrońcami miasta a bolszewickimi najeźdźcami. Na czele Węgrów stał właśnie Pongráz.

Muszę przyznać, że nigdy jeszcze

nie czytałem tak ciekawej i wartkiej relacji na temat powstania roku 1956. Autor rysuje szeroką panoramę wolnościowego zrywu. Widzimy dzielnych Węgrów, którzy zrywają się do walki o niepodległość. Ale również złowrogich Sowietów i ich kolaborantów, którzy gotowi są na wszystko, byle tylko utrzymać się przy władzy.

„Przez wielki bulwar – pisze autor – przejechała czarna pociąg na dyplomatycznych numerach restrykcyjnych. Paru strzelców chciało ją zatrzymać, ale rozległy się krzyki, że to auto dyplomatyczne i trzeba je przepuścić. Chłopcy zeszli z drogi i machnęli w stronę samochodu, żeby jechał dalej. Kiedy auto dotarło do bulwaru Ferenc, opuszczono w nim szyby i z pistoletu maszynowego oddano długą serię w tłum. Wszyscy rzucili się na ziemię. Szofer nadepnął na gaz. Gdy oprzytomnieliśmy, już zniknął z pola widzenia, zostawiając za sobą ośmiu martwych i ze dwudziestu rannych”.



★★★★★

GERGELY
PONGRÁZ
„ZAUŁEK
CORVINA 1956”
IPN/WĘGIERSKI
INSTYTUT
KULTURY
W WARSZAWIE

Niestety, powstanie naszych przyjaciół Węgrów zostało krwawo stłumione przez czerwonych.

Wielu powstańców stracono, wielu – tak jak Pongráz – musiało uciekać za granicę. Na odzyskanie wolności musieli czekać jeszcze długie 33 lata. ©©



SŁAWOMIR KOPER

HISTORIA WIECZNIE ŻYWA

Buławizacja
Śmigłego-Rydza

W chwili śmierci Piłsudskiego w Wojsku Polskim służyło kilkudziesięciu generałów, z czego większość była generałami brygady (jedna gwiazdka na pagonach), a dziewięciu generałami dywizji (dwie gwiazdki). Natomiast żaden oficer nie nosił najwyższego stopnia generalskiego, czyli generała broni.

W efekcie dywizjami dowodzili generałowie brygady lub nawet pułkownicy, natomiast w armiach naszych sojuszników awanse generalskie stanowiły dodatkowy splendor dla kadry oficerskiej. Rodziło to jednak problemy natury protokolarnej, szczególnie podczas rozmów na najwyższym szczeblu wojskowym. Nie było problemu, gdy Polskę reprezentował marszałek Piłsudski, ale jego następca miał już znacznie trudniejszą sytuację. Królestwo Rumunii posiadające nieco mniejszą armię od polskiej miało kilku czterogwiazdkowych generałów i dwóch marszałków. We Francji także było dwóch marszałków oraz generałowie noszący na pagonach cztery gwiazdki i pięć. Gdy zatem w 1936 r. doszło do bezpośrednich kontaktów pomiędzy dwoma najstarszymi stopniami oficerami Francji służby czynnej, pięciogwiazdkowy generał armii Maurice Gamelin rozmawiał z dwugwiazdkowym generałem dywizji Edwardem Śmigłym-Rydzem.

Sytuacja wymagała pilnego rozwiązania i koniecznością stał się awans „Śmigłego” – najlepiej od razu na stopień marszałka. Nie było to jednak łatwym zadaniem, gdyż już przyjęcie przez Piłsudskiego tego stopnia wywołało ostre protesty prawicy. Teraz niezadowolone mogłoby okazywać także zwolennicy Komendanta, powołując się na jego słowa – faktycznie wyraził się on kiedyś, że Polska nie powinna mieć marszałków, gdy nie pozostaje w stanie wojny. Nowe czasy wymagały jednak nowych rozwiązań, z czego doskonale zdawał sobie sprawę „Śmigły”. Poza tym który oficer oparłby się pokusie takiego awansu?

U 10 listopada 1936 r. i otrzymała bogatą oprawę. Buławę marszałkowską poświęcono w kaplicy Zamku Królewskiego w Warszawie, a przekazanie jej „Śmigłemu” odbyło się na dziedzińcu budowli. Brali w niej udział przedstawiciele rządu, delegacje pułków, duchowieństwo i dyplomaci. Jednak nie brakowało sceptycznych głosów nawet wśród przedstawicieli i zwolenników sanacji, a Walery Sławek uznał uroczystość za „najsmutniejszy dzień w swoim życiu”. Złośliwi nazywali podwójną promocję Generalnego Inspektora „buławizacją” i popularność zyskało też powiedzenie, że „pierwszy marszałek skazał Polskę na wielkość, a drugi ją z tego wyroku ułaskawił”... ©©

Sen o wolności • Dumni z historii, czyli patriotyzm z praktyce

POLSKA NIEPODLEGŁA

102. ROCZNICA
ODZYSKANIA
NIEPODLEGŁOŚCI



Partnerzy główni dodatku:



Polska Grupa
Energetyczna





Wojna o wolność

W roku 1918, po 123 latach zaborów (1795–1918), surowego karania za mówienie po polsku, germanizacji, russyfikacji, zsyłek na Sybir i prób wykorzenienia polskości, wysiłki zbrojne i dyplomatyczne polskich patriotów przyniosły wreszcie oczekiwany skutek: Polska odzyskała suwerenność i wróciła na mapy Europy. A o sprawie polskiej – m.in. dzięki skutecznemu lobbingsowi takich ówczesnych gwiazd jak pianista Ignacy Jan Paderewski – mówi się na całym świecie. O niepodległej Polsce mówi m.in. jeden z 14 punktów planu pokojowego dla Europy, przedstawionego przez prezydenta Stanów Zjednoczonych Woodrowa Wilsona.

7 października 1918 r. Rada Regencyjna – powołana przez okupantów w roku 1917 – ogłosiła powstanie niepodległego Królestwa Polskiego. Teoretycznie przez niemal cztery tygodnie Polska była formalnie królestwem, w którym władzę sprawowali książę Zdzisław Lubomirski, ziemianin Józef Ostrowski oraz arcybiskup metropolita warszawski Aleksander Kakowski. Wyjątkowo istotną postacią w tym gronie był również sekretarz Rady ksiądz kanonik Zygmunt Chełmicki. To Rada stworzyła załazek polskich sił zbrojnych, a także polskiego sądownictwa czy szkolnictwa.

10 listopada 1918 r. Józef Piłsudski powrócił do Warszawy z więzienia

Już w środę Polacy będą obchodzić wielkie święto narodowe: 102. rocznicę odzyskania niepodległości. Ten rok należy do bohaterów Bitwy Warszawskiej, którzy sto lat temu uratowali przed czerwoną zarazą nie tylko Polskę, lecz także Europę

w Magdeburgu. A już 11 listopada Rada Regencyjna wydała dekret, na mocy którego Piłsudski objął naczelne dowództwo nad wojskiem. Również 11 listopada został oficjalnie podpisany rozejm kończący pierwszą wojnę światową. Po rozpadzie trzech potężnych, zaborczych mocarstw z wolności i suwerenności cieszyli się także m.in. Litwini, Łotysze, Estończycy czy Finowie.

Trzy dni później Rada się rozwiązała, a Naczelnik otrzymał pełnię władzy nad odbudowującym się państwem polskim.

Święto 11 listopada polski parlament uchwalił ustawą 23 kwietnia 1937 r. Nie przetrwało długo. 1 września 1939 r. wybuchła druga wojna światowa, a 22 lipca 1945 r. komunistyczna Krajowa Rada Narodowa zniosła Święto Niepodległości. Przywrócono je dopiero po transformacji systemowej 15 lutego 1989 r.

OFENSywa CZERWONEGO NAPOLEONA

Niewiele brakowało, a już po dwóch latach Polska kolejny raz utraciłaby niepodległość. Latem 1920 r. na przedpolu Warszawy dotarła wielka armia

wściekłych bolszewików, którzy na czele Armii Czerwonej szykowali się do podbicia całej Europy.

„Armia Czerwonego Sztandaru oraz armia drapieżnego Białego Orła stanęły naprzeciw siebie przed bojem na śmierć i życie. Przez trupa Białej Polski prowadzi droga ku ogólnoświatowej pożodze. Na naszych bagnietach przyniesiemy szczęście i pokój masom pracującym. Na zachód!” – tak brzmiał wydany 2 lipca 1920 r. rozkaz Michaiła Tuchaczewskiego, młodego dowódcy sowieckiego Frontu Zachodniego, nazywanego też „Czerwonym Napoleonem”. Dwa dni później o świcie Armia Czerwona przełamała polską linię obrony i ciągnęła w kierunku Warszawy. Kto mógł, starał się uciec przed bolszewikami – rosyjski pochód tradycyjnie przynosił bowiem mordy, grabieże i brutalne gwałty.

Wystarczy rzut oka na porównanie sił, aby zrozumieć, dlaczego Bitwa Warszawska nazywana jest Cudem nad Wisłą. Polska miała pod bronią ok. 800 tys. żołnierzy, z czego ok. 350 tys. na froncie bolszewickim. Rosjanie na front polski rzucili zaś ok. 750 tys. czerwono-



armistów z ok. 5 mln zmobilizowanych mężczyzn.

Polakom brakowało nawet zwykłych nabojęw do austro-węgierskich karabinów. Z raportu przedstawionego w lipcu 1920 r. Radzie Obrony Państwa przez gen. Kazimierza Sosnkowskiego amunicji polskim żołnierzom miało zabraknąć najpóźniej 14 sierpnia.

Polscy dowódcy zatrzymali czerwoną zarazę tylko dzięki sprytowi dowódców, świetnym informacjom wywiadowczym, ogromnej mobilizacji wszystkich Polaków (do Armii Ochotniczej od lipca do września 1920 r. wstąpiło aż 105,7 tys. chętnych) oraz pomocy sojuszników.

Tych ostatnich, mimo że Polacy szli do boju pod hasłem „Za wolność naszą i waszą”, w praktyce nie było jednak zbyt wielu. Zdecydowanie najważniejszym i najbardziej lojalnym z aliantów okazały się wówczas Węgry. Gdyby 12 sierpnia na stację w Skierniewicach nie przybył liczący aż 55 wagonów pociąg znad Dunaju, losy Bitwy Warszawskiej mogły potoczyć się zupełnie inaczej. W transporcie znajdowały się 22 mln nabojęw. W sumie podczas starć z bolszewikami Polacy otrzymali od Węgier ok. 100 mln nabojęw. Milion Węgrzy przekazali za darmo, za resztę władze w Warszawie zapłaciły węglem.

Premier Pál Teleki doskonale rozumiał bowiem, że jeśli Polska przegra, to Węgry podzielą jej los.

Nie ukrywał tego zresztą sam przywódca rewolucji Włodzimierz Lenin. – Niemcy będą nasze. Odzyskamy Węgry. Bałkany powstaną przeciwko kapitalizmowi. Powstaną Włochy. Burżuazyna Europa ogarnięta jest przez nawałnicę i drży w posadach – zapowiadał pierwszy czerwony car na zjeździe Kominternu w 1919 r. Rok później był tak pewny zwycięstwa, że odrzucił propozycje rozmów pokojowych, których założenia były dla bolszewików bardzo korzystne.

Czerwoni Rosjanie chcieli zdobyć Niemcy, Francję, Wielką Brytanię i wreszcie Stany Zjednoczone.

„Całą amunicję w magazynach nakazuję przekazać Polsce!” – ogłosił więc na zgodę Telekiego minister spraw wojskowych Węgier gen. István Sréter (o czym informował w wydanej kilka lat temu książce „Dwa bratanki” węgierski historyk Endre László Varga). Miesiąc przed decydującą bitwą generał nakazał też, aby przez dwa tygodnie węgierskie fabryki zbrojeniowe produkowały amunicję wyłącznie na potrzeby walczących z Sowietami polskich żołnierzy.

13 sierpnia 1920 r. rozpoczęła się wielka Bitwa Warszawska, jedna z najważniejszych bitew w historii Wojska Polskiego. Na szczęcie dowódcy nie zdecydowali się na realizację planu zatrzymania czerwonego natarcia, którego autorem był francuski generał Maxime Weygand. W życie wdrożono potencjal-

nie ryzykowny plan Józefa Piłsudskiego, który sam Naczelnik nazywał „wielką kombinacją”. Dzięki śmiałej koncepcji obrony i doskonałym informacjom pozyskiwanym przez polski radiowywiad Dawidowi udało się jednak pokonać Goliata.

W wygranej pomogło istotnie złamanie bolszewickiego szyfru przez znanego kryptologa por. Jana Kowalewskiego. Sprawilo ono, że Polacy z wyprzedzeniem znali ruchy rosyjskich wojsk, co umożliwilo polskiemu dowódcy przeprowadzanie śmiałych manewrów na skrzydła i tyły przeciwnika.

ŚWIAT O POLSKIM ZWYCIĘSTWIE

Zwycięstwo Polaków w Bitwie Warszawskiej miało ogromne znaczenie dla świata. W gruzach leżał bowiem plan wielkiej europejskiej ofensywy Lenina. Rosjanie nigdy nie wybaczyli Polakom tej porażki. Propaganda po obu stronach działała pełną parą, a fałszywe informacje z frontu, które dziś nazwane byłyby zapewne „fake newsami”, docierały w różne zakątki Europy.

Świat szybko obwieścił jednak zwycięstwo Polaków. „Sowiecki ucisk Warszawy został przełamany, Polacy zmuszają wroga do wycofania się” – donosił już 18 sierpnia europejski korespondent „New York Tribune”.

Po potężnym ciosie zadany przez Polaków bolszewikom Tuchaczewski nie zdołał już pozbierać swojej armii. Próbował jeszcze co prawda stawić czoła polskiemu wojsku nad Niemnem, ale i tu czerwonoarmiści zostali pobici. „Płomień rewolucji” nie spalił polskich ziem. Polacy ocalili dopiero co zdobytą niepodległość, a zwycięstwo nad wojskami rosyjskimi – które wcześniej krwawo tłumiły polskie powstania – miało dla niepodległego narodu polskiego ogromne znaczenie moralne. Pozwoliło wychować całe pokolenie młodych polskich patriotów, którzy mogli wreszcie swobodnie używać języka swych przodków. Rządzącym II Rzeczpospolitą tak spektakularne zwycięstwo umożliwiło zaś prowadzenie nie tylko suwerennej polityki wewnętrznej, lecz także kształtowanie polityki zagranicznej bez oglądania się na dawnych zaborców i interesy obcych mocarstw. Warto więc 11 listopada oddać hołd dawnym bohaterom i chociaż wirtualnie wziąć udział w obchodach Święta Niepodległości.

Jesteśmy dumnym narodem – podkreślał kilka tygodni temu Mateusz Morawiecki, zachęcając do pogłębiania swojej pasji młodych popularyzatorów historii. „Napisał do mnie 12-letni Gabriel Wójtowicz, który poprosił o <łapkę w górę> dla swojego filmu. Odwiedza w nim miejsca związane z Bitwą Warszawską, opowiada ich historię i składa osobisty hołd bohaterom tamtych wydarzeń. Postanowiłem udostępnić jego film, żeby wyrazić mój szacunek dla Gabriela i tysięcy twórców oddolnych inicjatyw historycznych. To dzięki ich pasji i bezinteresownej pracy jesteśmy dojrzałą wspólnotą. Taką, która myśli historycznie, wyciąga wnioski z porażek i czerpie siłę ze zwycięstw. 100 lat po zwycięstwie nad bolszewikami i prawie 40 lat po podpisaniu porozumień sierpniowych naprawdę możemy się czuć dumnym, silnym narodem” – podkreślał szef rządu na Facebooku. I zaapelował do młodych miłośników historii Polski: „Róbcie swoje, nigdy się nie poddawajcie!”.

HISTORYCZNE MURALE

Wyjątkową lekcję historii mieszkańców polskich miejscowości ufundował w tym roku Ministerstwo Obrony Narodowej, rozstrzygając konkurs „Historyczny mural – 1920 polskie zwycięstwo dla wolności Europy”. Na szkołach i innych ważnych dla mieszkańców budynkach w 12 miejscowościach w Polsce powstały murale przedstawiające sceny bitewne, najważniejszych dowódców oraz lokalnych bohaterów związanych z wojną polsko-bolszewicką.

Olbrzymi mural przedstawiający scenę bitewną i postać Marszałka Józefa Piłsudskiego – honorowego obywatela Koźienic – powstał na ścianie bloku na Osiedlu Pokoju w Koźienicach.

W październiku nastąpiło odsłonięcie ogromnego muralu – portretu Jana Kowalewskiego, pochodzącego z Łodzi żołnierza oraz kryptologa, który złamał sowieckie szyfry w czasie wojny z bolszewikami. Mural o wymiar 10 x 7 m powstał na ścianie łódzkiej kamienicy przy ul. Nawrot 7, obok której mieszkał Jan Kowalewski.

Na jednej ze ścian hali sportowej Zespołu Szkół Technicznych w Pleszewie powstał mural upamiętniający 100. rocznicę Bitwy Warszawskiej o powierzchnię ponad 200 m kw. Lewa strona muralu uwiecznia polskie stanowisko obronne pod Warszawą w sierpniu 1920



Koronawirus nie zdołał zgasić zapалу firm i instytucji patriotów. W stulecie Bitwy Warszawskiej odbywają się więc biegi niepodległości, powstają murale i wystawy, organizowane są „żywe lekcje historii”, a także wirtualne koncerty i przedstawienia teatralne. Gminy rywalizują też o nowe maszty, na których dumnie powiewać będzie biało-czerwona flaga

r., prawa przedstawia atak kawalerii sowieckiej, a część środkowa ukazuje linię frontu. Uroczyste odsłonięcie muralu zaplanowano na 11 listopada.

MON dofinansowało także projekt muralu na ścianie budynku Szkoły Podstawowej w miejscowości Hostynne Kolonia w woj. lubelskim, upamiętniającego polskich żołnierzy z 30. Pułku Strzelców Kaniowskich walczących w tej okolicy w sierpniu 1920 r., a także łączący wątki historyczne i współczesne mural w Bytomiu o powierzchni ponad 100 m kw.

NIEPODLEGLI BIEGACZE

Koronawirus pokrzyżował w tym roku plany organizatorów masowych imprez biegowych. Patrioci nie dali się jednak tak łatwo pokonać. Wielkim sukcesem okazał się Wirtualny Bieg

Powstania Warszawskiego, który odbył się pod hasłem „Na odległość, własną trasą, z szacunkiem do przyszłości”. I chociaż biegacze nie mogli tradycyjnie spotkać się w jednym miejscu, to i tak tysiące osób oddało w ten sposób hołd powstańcom warszawskim i bohater-skiej ludności walczącej o stolicę w 1944 r., a wielu w mediach społecznościowych zamieszczało zdjęcia i zrzuty ekranowe z aplikacji biegowych. Część uczestników przygotowywała swoje trasy w taki sposób, że ich zapis tworzył słynną „Kotwicę”. Powstańcza „Kotwica”, słynny symbol Polski Walczącej, 1 sierpnia 2020 r. pojawiła się także na elewacji należącej do Grupy Kapitałowej PHN budynku Intraco: na ośmiu kondygnacjach między 30. a 37. piętrem warszawskiego biurowca w 72 oknach włączono światła w taki



FOT. FILIP BIAŁEWSKI/PIRORUM

zachęcają biegaczy, aby w dniach 11–15 listopada w białych i czerwonych koszulkach okrążyć Polskę w małych grupach i z zachowaniem reżimu sanitarnego. W Biegu Niepodległości w 2020 r. mogą wziąć udział wszyscy. Nie obowiązuje również żaden konkretny dystans. Zgłoszone do biegu drużyny mają za to wspólnie pokonać dystans 3511 km – tyle wynosi bowiem suma długości polskich granic.

11 listopada odbyć ma się także piąta edycja Biegu Niepodległości Run Poland. „W 2020 r. uczestniczymy w jubileuszowym 5. Biegu Niepodległości Run Poland i uczymy pamięć walczących o niepodległość Ojczyzny polskich Partyzantów” – zapowiadają organizatorzy. Będzie to jednak specjalna, wyjątkowo partyzancka edycja. Ze względu na pogarszającą się sytuację epidemiologiczną zamiast jednego masowego biegu w Poznaniu – w trzeciej edycji bieg ten ustanowił frekwencyjny rekord Polski ponad 30 tys. zapisanych uczestników – organizatorzy zachęcają biegaczy do rejestracji, „rozproszenia się” i „działań partyzanckich”.

„Sformujemy niewielkie grupy dywersyjne #BiegowychPartyzantów w Polsce i poza jej granicami, aby w dniu 11 listopada 2020 r. dokonać tradycyjnego 10-kilometrowego szturmu!” – informują organizatorzy, zachęcając, aby biegowi partyzanci trzymali od siebie 2,5 m odstępu i aby używali maseczek. Aby zdobyć pamiątkowy medal (w zależności od pakietu – wirtualny lub odlewany), trzeba zapisać się na bieg oraz 11 listopada 2020 r. przebiec 10 km w dowolnie wybranym przez siebie miejscu w Polsce lub poza jej granicami. Każdy uczestnik sam mierzy zarówno czas i dystans, np. za pomocą map Google, smartfona z aplikacją biegową czy smartwatcha z GPS-em. A po weryfikacji otrzymuje dyplom i pamiątkowy medal.

WSPÓLNE ŚPIEWANIE HYMNU

Z okazji 100. rocznicy Bitwy Warszawskiej Wirtualny Teatr Historii „Niepodległa” odwiedził 11 polskich miast z pokazami filmu „Wiktoria 1920”. Dzięki gogłom do wirtualnej rzeczywistości widzowie mogli przenieść się w czasie do 1920 r. i wziąć udział w misji dostarczenia meldunku do biura szyfrów na Cytadeli (mecenasek pokazu w Płocku był PKN ORLEN).

W muzeach w całym kraju zorganizowano w tym roku wiele wystaw

poświęconych rocznicy odzyskania niepodległości i Bitwie Warszawskiej. Wiele z nich, jak np. wystawę „Równieśnicy niepodległej”, można bezpiecznie oglądać przez całą dobę, nie wychodząc z domu (wystarczy wejść na stronę www.rowiesnicyniepodleglej.pl). W wielu miastach Polski, np. we Włocławku, organizowano także niekonwencjonalne lekcje historii, polegające na wyświetlaniu specjalnych filmów o bohaterach roku 1920 na ścianach kamienic (projekty realizowano w formie mappingu 3D). Organizowano też koncerty (wirtualne i te bardziej realne), a także wielkie widowiska historyczne, jak np. „1920. Wdzięczni bohaterom”, które 15 sierpnia odbyło się na PGE Narodowym w Warszawie – w rekonstrukcji wydarzeń z sierpnia 1920 r. wzięły udział setki artystów, statystów, a także konie oraz pojazdy historyczne. Specjalne pokazy pirotechniczne imitowały zaś ostrzał artyleryjski.

11 listopada Polacy mogą zaś nie tylko słuchać, lecz też samemu śpiewać. W kolejnej edycji akcji „Niepodległa do Hymnu” w różnych zakątkach Polski i świata o godz. 12 uroczystie odśpiewany zostanie „Mazurek Dąbrowskiego”. W 2018 r. akcja okazała się wielkim sukcesem, polski hymn zabrzmiał na sześciu kontynentach – jej organizatorzy liczą więc na to, że znów 11 listopada, choć w maseczce i z zachowaniem dystansu – miliony Polaków odśpiewają „Mazurka Dąbrowskiego”.

W tym roku rząd ogłosił także projekt „Pod biało-czerwoną”, który ma być jednym ze sposobów na godne upamiętnienie zwycięstwa wojsk Rzeczypospolitej nad armią bolszewicką. W jego ramach gminy mogą otrzymać dotację na zakup maszty oraz flagi narodowej. „Niech maszty z biało-czerwoną rozsiądane w całym kraju pokażą nasze przywiązanie do Polski, którą mamy nie tylko w sercu, lecz także chcemy się nią podzielić, budując wspólnotę Rzeczypospolitej” – przekonuje do oddania głosu premier Mateusz Morawiecki. Aby otrzymać dotację, gminy muszą zebrać wystarczającą liczbę podpisów. W gminach do 20 tys. mieszkańców musi ich być minimum 100, w gminach do 100 tys. mieszkańców minimum 500, a w gminach powyżej 100 tys. mieszkańców co najmniej 1 tys. Głosować można na stronie internetowej: gov.pl/bialoczerwona do 11 listopada do godziny 23.59.

sposób, że utworzyły one powstańczą kotwice widoczną z odległości nawet 5 km.

Mimo pandemii zorganizowano także „na żywo” 7. Bieg Zdobycia PAST-y, czyli siedziby Polskiej Akcyjnej Spółki Telefonicznej. Najszybciej po schodach na górę 9-piętrowego gmachu wbiegł Adrian Bednarski, któremu zajęło to niespełna 36 sekund. A śmiałkom kibicował weteran powstania warszawskiego mjr Leszek Żukowski. W Poznaniu odbył się z kolei wirtualny bieg Lotto Poznański Czerwiec’56. Po zarejestrowaniu się i otrzymaniu numeru startowego każdy uczestnik od 28 czerwca do 8 lipca musiał pokonać minimum 10 km na wybranej przez siebie trasie – dystans ten mógł też rozłożyć na trzy dowolne dni. Czas i odległość biegacze rejestrowali samodzielnie, po czym przesyłali potwierdzenie organizatorom.

W listopadzie odbędzie się jeszcze 32. Bieg Niepodległości, choć będzie miał inną formułę niż w czasach przed pandemią, gdy gromadził tysiące chętnych do wspólnego przebiegnięcia 10-kilometrowej trasy. W tym roku organizatorzy



również informacja o liczbie Polaków, którzy w danym miejscu zostali zamordowani.

Twórcą tablic był Karol Tchorek, warszawski rzeźbiarz, marszand i kolekcjoner sztuki, ochotnik w wojnie polsko-bolszewickiej 1920 r. W 1949 r. Tchorek zwyciężył w konkursie Stowarzyszenia Architektów Polskich mającym na celu upamiętnienie niemieckich zbrodni w Warszawie w okresie okupacji.

Tablice jego projektu były umieszczone w miejscach kaźni rozstrzelanych po całej Warszawie. W sumie na terenie stolicy ustawiono w ten sposób 460 tablic. W miarę jednak przebudowy miasta znaczna część z nich zniknęła. Na ścianach nowych budynków upamiętnienia egzekucji na Polakach zazwyczaj już nie powracały. Tym sposobem do dziś zachowało się na terenie Warszawy zaledwie 167 tablic pamiątkowych Tchorka. Ich treść jest jednak dla gości z zagranicy zupełnie nieczytelna – napisy wykonywane były jedynie w języku polskim. Ta sytuacja powoli się jednak zmienia.

„Tablice Pamięci” to projekt realizowany od 2018 r. przez Fundację PGE we współpracy z IPN. Jego celem jest ratowanie tych miejsc pamięci oraz umieszczanie przy każdej ocalałej tablicy Tchorka poszerzonej informacji na temat niemieckich zbrodni w języku polskim oraz angielskim. Dzięki temu goście z zagranicy są w stanie zrozumieć, jak niewyobrażalna tragedia dotknęła w czasie drugiej wojny światowej ludność Warszawy.

MALTAŃSKI KRZYŻ

Pierwsza anglojęzyczna tablica została zainstalowana w miejscu pamięci przy rondzie Romana Dmowskiego w centrum Warszawy. Znajdująca się tam tablica pamiątkowa Tchorka informuje, że 8 stycznia 1944 r. rozstrzelano tam 102 Polaków.

– Płaskorzeźbiona kuta w piaskowcu tablica, której głównym motywem jest maltański krzyż, jest do dziś dla wszystkich mieszkańców Warszawy symbolem męczeńskiej śmierci, przede wszystkim cywilnych ofiar. Pielęgnowanie pamięci jest naszym niepodważalnym patriotycznym obowiązkiem. Dbając o prawdę historyczną głoszoną w miejscach kaźni naszych rodaków, odnawiając miejsca pamięci im poświęcone, uzupełniając je, ten obowiązek wypełniamy – powie-

dział podczas tej ceremonii prof. Piotr Gliński, minister kultury i dziedzictwa narodowego, który objął projekt swoim patronatem.

– Czujemy się zobowiązani do opieki nad miejscami ważnymi dla historii Polski, a tablice Tchorka to unikat na tle innych krajów dotkniętych drugą wojną światową. Rozrzucone po całym mieście tablice są dowodem ogromu zbrodni i bestialstwa, których Warszawa doznała podczas niemieckiej okupacji. To namacalne świadectwo o konsekwentnym planie eksterminacji mieszkańców Warszawy i zniszczenia miasta przez Niemców – tłumaczy Wojciech Dąbrowski, prezes zarządu PGE. I dodaje: – Projekt „Tablice Pamięci” stworzyliśmy po to, aby przywrócić tym pomnikom rangę, na jaką zasługują, utrwaląc pamięć o ofiarach i przedstawiać nieznaną – szczególnie turystom zagranicznym – historię miasta z czasów wojny.

Przez wiele lat tablice Tchorka powoli znikwały, a na ich miejscu zazwyczaj nie pojawiały się nowe formy upamiętnienia ofiar mieszkańców Warszawy. Jak to możliwe?

– To po prostu brak wrażliwości ludzi, dla których pamięć o naszej tożsamości to jakaś abstrakcja. Pewna część historycznych tablic została zastąpiona przez ufundowane współcześnie formy upamiętnienia polskich ofiar, ale można ocenić, że mówimy tu o skali zaledwie kilku czy kilkunastu procent. Dokładniejsze dane na ten temat będziemy mogli podać dopiero po badaniach – mówi historyk Wiktor Cygan, członek Instytutu Józefa Piłsudskiego w Warszawie, który współrealizuje projekt „Tablice Pamięci”. – W sumie w Warszawie i jej najbliższych okolicach umieszczono ponad 600 tablic Tchorka. Niemiecki terror największe natężenie miał w latach 1943-1944, co oznacza, że niemal każdego dnia w ciągu tego potwornego okresu Niemcy dokonywali zbrodni, która została upamiętniona jedną tablicą. Mijamy jednak na uwadze, że każda taka tablica oznacza przeciętnie zbrodnię na kilkudziesięciu osobach. Mało tego – w tych miejscach ludzie ginęli też po masowych egzekucjach. Myślę tu u osobach, które przychodzili tam, aby choćby zapalić symboliczną świeczkę. Niemcy nie wahali się do nich strzelać – dodaje.

Około połowa zachowanych tablic Tchorka upamiętnia ofiary zabite w cza-

sie powstania warszawskiego. Niemcy zamordowali wówczas ok. 200 tys. cywilnych mieszkańców stolicy Polski.

– Za każdą tablicą kryje się nieopisany dramat ofiar niemieckich zbrodni. Nie tylko tych, którzy zostali zamordowani oraz ich rodzin, ale również osób zmuszanych przez Niemców do oglądania tych nieludzkich widowisk. Również dla nas, badaczy, praca przy tym projekcie jest poruszająca – mówi Witold Rawski, historyk współrealizujący projekt „Tablice Pamięci”. – Nawet gdybyśmy zsumowali wszystkie ofiary, o których mowa jest na ocalałych tablicach Tchorka, to wciąż będzie to tylko ułamek ogólnej liczby warszawiaków zamordowanych przez Niemców w czasie okupacji. Suma zbrodni z tablic Tchorka nie oddaje skali niemieckiego terroru w Warszawie. Nic nie jest dziś w stanie oddać tego, co się wówczas działo na ulicach stolicy Polski.

MIASTO PAMIĘCI

Poza inwentaryzacją tablic Tchorka, opieką nad nimi oraz opatrywaniem ich poszerzonym komentarzem w języku polskim i angielskim w ramach projektu „Tablice Pamięci” realizowane są również inne działania edukacyjne.

Na stronie www.tablicepamieci.pl możemy obejrzeć wystawę „Tablice Pamięci”, opisującą w detalach koszmarnieckiej okupacji w Warszawie.

Na początku roku w hali głównej dworca Warszawa Centralna im. Stanisława Moniuszki podróżni mogli obejrzeć wielkoformatową wystawę „Tablice Pamięci”.

„Miasto Pamięci” jest natomiast projektem skierowanym do szkół. Udział wzięło w nim ok. 3 tys. uczniów uczęszczających do 60 szkół z województwa mazowieckiego. Trafiły do nich specjalnie przygotowane w ramach projektu „Tablice Pamięci” materiały dydaktyczne, m.in. książeczka historyczna oraz wystawa wielkoformatowa. – Dzięki temu projektowi duża liczba młodych ludzi poszerzyła swoją wiedzę i miała szansę na refleksję nad trudem i cierpieniem, którym okupiona jest nasza wolność. Pamięć o poległych, o bohaterach oraz terrorze w latach 1939-1945 nie tylko jest wyrazem szacunku wobec historii, lecz także chroni nas przed jej powtórzeniem – powiedział Paweł Zarzycki, prezes zarządu fundacji Towarzystwo Projektów Edukacyjnych.



W ramach projektu powstała także aplikacja „Tablice Pamięci” pozwalająca na wirtualny spacer po Warszawie śladami tablic Tchorka.

Jak podkreśla Tadeusz Płużański, historyk i publicysta zajmujący się tematyką zbrodni na narodzie polskim, ten rodzaj upamiętniania polskich ofiar oraz informowanie gości z zagranicy to bardzo pożyteczna inicjatywa. – Nikt za nas tego nie robi. Jeżeli my sami nie będziemy pochylali się nad miejscami pamięci, nie będziemy opowiadali tych

wstrząsających historii, to przedstawiciele młodego pokolenia będą stopniowo tracili swoje korzenie – mówi Tadeusz Płużański. I dodaje: – Na tablicach Tchorka mówi się o „hitlerowcach”. W tamtych czasach było to zrozumiałe dla wszystkich. Obawiam się, że dziś ten termin przestaje być czytelny. Podobnie jest np. z SS. Młodzi ludzie mogą mieć już problem z odczytywaniem tego we właściwym, niemieckim, kontekście. Dlatego bardzo dobrze, że na nowych tablicach wyjaśniane jest, również

w języku angielskim, że zbrodni tych dokonywali Niemcy.

Zdanie to podziela również Jakub Nowakowski. – Dla starszych pokoleń to rzecz oczywista, ale tu chodzi o młodzież i zagranicznych turystów. Trzeba im cały czas przypominać, kim byli ci „hitlerowcy”. Nie wolno tego zaniedbać – mówi powstaniec warszawski z batalionu „Zośka”.

BÓJ O ELEKTROWNIĘ

W 76. rocznicę powstania warszawskiego PGE oddała hołd energetykom, którzy walczyli w obronie elektrowni Powiśle. – 76 lat temu do walki w powstaniu warszawskim stanęło 63. pracowników elektrowni Powiśle, którzy współtworzyli oddział kpt. Stanisława Skibniewskiego „Cubryny”. Udało im się przejąć kontrolę nad elektrownią, ale 20 z nich zapłaciło za ten heroizm najwyższą cenę. W pierwszym dniu walk był to jeden z najważniejszych sukcesów militarnych polskich powstańców. Jeszcze większym sukcesem była obrona i utrzymanie dostaw energii elektrycznej dla walczącej Warszawy, co pozwoliło funkcjonować walczącemu miastu – powiedział prezes zarządu PGE Wojciech Dąbrowski.

PGE został również partnerem strategicznym Muzeum Powstania Warszawskiego – objął patronatem program „Rodzinne spotkania z historią”. Jego celem jest promowanie zwiedzania muzeum całymi rodzinami oraz udział w interaktywnej grze prowadzonej przez edukatorów z muzeum.

Rozmowa z Wojciechem Dąbrowskim, prezesem zarządu PGE

Dlaczego PGE zaangażowała się w projekt „Tablice Pamięci”?

Od lat 50. XX wieku w miejscach walk i męczeństwa ludności cywilnej Warszawy, stawiane były i wmurowywane w ściany warszawskich budynków tak zwane tablice pamiątkowe Karola Tchorka. Było ich ponad 400. Do dzisiaj zachowało się o tylko około 160. Stanowią one jedyną w swoim rodzaju serię pomników pamięci historycznej Warszawy. Dzięki naszemu zaangażowaniu istnieje

szansa na uratowanie tych, które zostały. Głównym celem projektu „Tablice Pamięci” jest przywrócenie tym pomnikom rangi na jaką zasługują a także przybliżenie historii Warszawy z czasów wojny młodemu pokoleniu oraz obcokrajowcom.

Czy jeśli uda się odnaleźć informacje dotyczące zaginionych oryginalnych tablic, PGE będzie rozważało ich odtworzenie lub przygotowanie innej inicjatywy edukacyjno-upamiętniającej?

W ramach projektu przeprowadziliśmy kwerendę historyczną. Dzięki temu pozyskaliśmy informacje także o tablicach, których fizycznie już nie ma. W pierwszej kolejności chcemy je przywrócić wirtualnie. Dzięki znajdującemu się na tablicach kodowi QR można ściągnąć na telefon specjalną aplikację mobilną, za pomocą której będzie można zlokalizować także miejsca po nieistniejących już tablicach, a także poznać historię, którą upamiętniały.

Czy PGE przewiduje rozmieszczenie tablic w innych miastach?

Tablice Tchorka są specyfiką warszawską i unikatem na tle innych miast i krajów dotkniętych II wojną światową. Dlatego nie da się - tak po prostu - powtórzyć tego projektu w innych miastach.

Natomiast w ramach II etapu projektu „Tablice Pamięci”, w innych miastach planujemy upamiętniać miejsca związane z II wojną światową, o które do tej pory nikt nie zadbał.

HISTORIA
DO RZECZY

NAJNOWSZY NUMER JUŻ W SPRZEDAŻY!



TYLKO U NAS!

Rzeź na wzgórzu 226.
Wstrząsający wywiad
z weteranem z Korei

Tomasz Stańczyk – **Największe zamachy OUN**
Jan Pisuliński – **Ukraińcy kontra II RP**
Piotr Zychowicz – **Kto postrzelił gen. Andersa?**
Arkadiusz Karbowski – **Obrona poczty w Gdańsku**
Nikołaj Iwanow – **Polscy Czekiści**
Maciej Rosalak – **Największe epidemie w historii**
Jakub Ostromęcki – **Tajemnica śmierci Rommła**
Krzysztof Masłoń – **Świadectwo sowieckiej barbarii**
Jacek Bartosiak – **Putin coraz bliżej...**

I WIELE, WIELE WIĘCEJ

CZYTAJ TAKŻE NA **HISTORIA.DORZECZY.PL**



Pat w Ameryce



Jacek Przybylski

Po wyborach prezydenckich pewne jest tylko to, że sondaże są nie niewarte, Ameryka jest podzielona niemal dokładnie pół na pół, a polityka budzi już skrajne emocje. Nazwisko przywódcy USA wskazuje więc zapewne dopiero sędziowie Sądu Najwyższego

Dawno już amerykańskie wybory nie budziły aż takich emocji. I dawno już politykom nie udało się zmobilizować do udziału w głosowaniu aż tak wielu wyborców. Według wstępnych danych frekwencja wyniosła 67 proc., co jest najwyższym wynikiem od roku 1900.

Gdy zamykaliśmy to wydanie „Do Rzeczy”, wyniki wyborów nie były jeszcze znane. Bliższy prezydentury wydawał się Joe Biden. Kandydat Partii Demokratycznej otrzymał 73,5 mln głosów (najwięcej

w całej historii Stanów Zjednoczonych) oraz poparcie 264 elektorów (do zdobycia prezydentury potrzeba co najmniej 270 głosów elektorów), podczas gdy Donald Trump zdobył 69,6 mln głosów i poparcie 214 elektorów. Trump zwyciężył m.in. na Florydzie, w Iowa oraz w Ohio. Ohio jest zaś ważne nie tylko dlatego, że jest to jeden ze „stanów bitewnych” (tzw. swing states), lecz także dlatego, że od 1964 r. każdy zwycięzca w Ohio zostawał prezydentem Stanów Zjednoczonych. W stanie Georgia po

podliczeniu 99 proc. głosów najpierw wygrywał Trump z Bidenem, a potem Biden z Trumpem (oba uzyskali wynik 49,39 proc., a różnica między kandydatami wynosiła niecałe 1000 głosów). Niech więc w przyszłości ktokolwiek spróbuje powiedzieć, że jego głos nie ma znaczenia.

PYRRUSOWE ZWYCIĘSTWO BIDENA?

Na poziomie ogólnokrajowym wynik 50 proc. dla Bidena do 48 proc. dla Trumpa pokazuje, jak bardzo spolaryzowana jest obecnie Ameryka, której mieszkańcy podzieleni są na dwa zacięte zwalczające się obozy zarówno w kwestiach gospodarczych, jak i religijnych czy rasowych.

Teoretycznie możliwy – choć mało prawdopodobny – był też scenariusz remisu, w którym każdy z kandydatów otrzymał po 269 głosów elektorów. Wówczas prezydenta wskazałoby głosowanie w Izbie Reprezentantów.



Trump przekonuje, że jeśli weźmie się pod uwagę jedynie uczciwie oddane głosy, to z łatwością wygrał wybory prezydenckie

FOT. MANDEL NGAN/AFP/EAST NEWS

chwila – apelował urzędujący prezydent, podkreślając, że nie da sobie ukraść wygranej: „Jeśli policzycie głosy oddane legalnie, to wyraźnie zwyciężyłem”.

Sztab Donalda Trumpa zaskarżył już wyniki w kilku stanach, a co najmniej w jednym wezwał do ponownego przeliczenia oddanych głosów. W niektórych stanach zdarzało się bowiem na przykład, że liczba oddanych głosów była większa od liczby wszystkich zarejestrowanych wyborców albo że – jak w Clark County – głosy oddawali ludzie od dawna nieżyjący lub którzy wyprowadzili się już z okolic Las Vegas.

Zwolennicy prezydenta mówią więc otwarcie o oszustwach wyborczych. Do długiej prawnej batalii szykują się też sympatycy Joe Bidena. Obie strony zbierają zaś datki na drogą obsługę prawną.

Na ulice wielu amerykańskich miast wyszli zwolennicy zarówno Donalda Trumpa, jak i Joe Bidena. – Głosowanie kończy się w dniu wyborów – krzyčeli ci pierwsi. – Ochrońmy każdy głos – przekonywali drudzy. Spór dotyczy m.in. ważności ponad 100 mln głosów, które zostały oddane drogą korespondencyjną. Wielu zwolenników urzędującego prezydenta, w tym sam Donald Trump, obawia się, że droga ta ułatwia fałszerstwa wyborcze i dosypywanie głosów kandydatowi Partii Demokratycznej.

Wprawdzie większość demonstracji w ubiegłym tygodniu przebiegła pokojowo, ale kilka – m.in. w Nowym Jorku – skończyło się interwencją policji. Do groźnych zamieszek szykowali się przedsiębiorcy w Waszyngtonie, z których wielu jeszcze przed ogłoszeniem wyników wyborów zabezpieczało witryny swoich sklepów, pamiętając zniszczenia dokonane przez lewicowych aktywistów, bojówkarzy Antify oraz sympatyków ruchu Black Lives Matter.

Najgorsze w całym tym zamieszaniu wydaje się to, że powyborczy chaos nie jest wcale przypadkowy, lecz dokładnie zaplanowany przez liderów Partii Demokratycznej. To oni na szczęblu krajowym namawiali miliony do oddawania głosów drogą pocztową (co już rodzi pewne ryzyko fałszerstw), a na szczęblu lokalnym zezwalali z kolei na to, aby w kluczowych stanach bitewnych głosy można było wrzucać do niepilnowanych przez nikogo skrzynek (rozwiązanie polegające na ustawieniu tzw. ballot drop-boxes mogło już znacząco podnieść ryzyko wyborczych fałszerstw). Amerykę czeka więc

fala procesów, w trakcie których prawnicy będą żądać dostępu do nagrań z kamer bezpieczeństwa i zapewnienia, że głosy oddane w tradycyjny sposób i te wrzucone do niezabezpieczonych urn nie były ze sobą mieszane, aby zyskać pewność, że proces wyborczy przebiegał bez zarzutu.

Sądy w stanach, w których rządzi demokraci, mogą wydawać wyroki, które nie będą satysfakcjonować przedstawicieli Partii Republikańskiej. Wiele wskazuje więc na to, że nazwisko prezydenta najpotężniejszego mocarstwa świata wskażą dopiero sędziowie Sądu Najwyższego, a do 8 grudnia, czyli daty zapisanej jako deadline wszelkich dysput w sprawach wyborczych, jeszcze wszystko może się zdarzyć. Nowy prezydent zostanie zaprzysiężony 20 stycznia 2021 r.

REPUBLIKANIE OBRONILI SENAT

Gdy zamykaliśmy to wydanie „Do Rzeczy”, ze wstępnych wyników można było stwierdzić, że choć Partia Demokratyczna obroniła większość w Izbie Reprezentantów, to nie udało jej się odbić Senatu.

To dobra wiadomość dla przedsiębiorców, klasy średniej i najbogatszych Amerykanów – republikańska większość w izbie wyższej Kongresu nie zgodzi się bowiem na najbardziej kontrowersyjne pomysły Joe Bidena, takie jak choćby drastyczna podwyżka podatków dla korporacji. To istotne, ponieważ sondaże exit poll pokazały wyraźnie, że dla większości Amerykanów najważniejsza jest gospodarka. A jej waga jest nawet większa od znaczenia walki z koronawirusem.

Niezależnie od ostatecznego rozstrzygnięcia Donald Trump w tych wyborach osiągnął spory sukces. Mimo zaciętej kampanii, problemów z opanowaniem pandemii koronawirusa i protestów społecznych na masową skalę zdobył co najmniej 5 mln głosów więcej niż w roku 2016 i przekonał do siebie nie tylko białych konserwatystów, lecz także wielu czarnych (wzrost z 6 do 8 proc.) i latynoskich (wzrost z 28 do 35 proc.) wyborców. Trump przez ostatnie cztery lata sporo zrobił, aby zmniejszyć bezrobocie i biedę zarówno w społecznościach czarnych, jak i wśród Latynosów. O ich głosy zabiegał także podczas kampanii, a jego sztab przygotował nawet spot reklamowy w języku hiszpańskim.

I chociaż spot „Por Trump” najwyraźniej zadziałał, to prezydent dał sobie odebrać zbyt wiele głosów białych

W zeszłym tygodniu jako pierwszy zwycięstwo ogłosił jednak, bez oczekiwania na ostateczne wyniki, urzędujący prezydent. – Szykowaliśmy się na wygraną. I wygraliśmy. Chcę podziękować Amerykanom za poparcie. Głosowały na nas miliony osób. Domagamy się zakończenia liczenia głosów, byśmy mogli świętować. Jeśli wygra Joe Biden, to pójdziemy do Sądu Najwyższego z tym wynikiem, bo on będzie oznaczał oszustwo – stwierdził w świetle kamer podczas powyborczej nocy Donald Trump.

– To jest oszustwo, to wstyd dla naszego kraju – podkreślał urzędujący przywódca najpotężniejszego państwa świata, gdy obserwował, jak w miarę upływu godzin jego początkowa przewaga w stanach rządzonych przez demokratów maleje, a Biden odzyskuje teoretycznie przegrane już hrabstwa. – Chcemy zakończenia wszelkiego głosowania. Nie chcemy, żeby znaleźli jakieś karty do głosowania o 4 rano. To bardzo smutna

■ wyborców. Ze wstępnej analizy Fox News wynika, że Biden zdobył w tej grupie 43 proc., o cztery punkty procentowe więcej niż Hillary Clinton w roku 2016. Tych kilka punktów mogło przeważać, ponieważ w całej Ameryce biali wciąż stanowią największy elektorat (74 proc. – dla porównania czarni stanowią 11 proc., a Latynosi 10 proc. głosujących).

Teoretycznie wizja trwającego do grudnia lub początku stycznia powyborczego pata powinna niepokoić inwestorów, ale wbrew faktom na światowych giełdach w zeszłym tygodniu dominowały wzrosty.

WIEKSZOŚĆ POLAKÓW WOLAŁABY TRUMPA

Z sondażu CBOS wynika, że aż 41 proc. Polaków uważa, iż lepszym prezydentem USA byłby Donald Trump. Na Joe Bidena wskazało jedynie 15 proc. badanych. W badaniu przeprowadzonym przez niemiecką Fundację Bertelsmanna Polska była jedynym krajem UE, w którym Trump pokonałby Bidena (38 do 30 proc.), a w przeprowadzonym w 25 krajach sondażu Ipsos poza Polakami w zwycięstwo Trumpa wierzyli jeszcze jedynie Polacy i Rosjanie.

Wstępne wyniki wyborów w USA, zgodnie z którymi wygrał Biden, skłoniły do świętowania liderów polskiej opozycji. Europoseł Platformy Obywatelskiej Radosław Sikorski pochwalił się nawet na Twitterze grafiką z przerobioną flagą USA, w której zamiast 50 białych gwiazd na niebieskim polu pojawia się ośmiogwiazdkowy symbol wulgarnego napisu, który uderza w rząd PiS. I chociaż były szef dyplomacji powinien być wiedzieć, że takie przeróbki flagi znieważają nie tylko zwolenników obecnych władz, lecz także miliony Amerykanów, którzy flagę swojego kraju darzą ogromnym szacunkiem, to zachowanie Sikorskiego da się łatwo wytłumaczyć. Polska opozycja z ewentualną zmianą w Białym Domu wiąże bowiem gigantyczne nadzieje. Sztab demokratycznego kandydata podkreślał w wydanym w październiku dokumencie, że sojusz Polski i USA powinien być oparty na wspólnych wartościach, a sam Joe Biden po ewentualnym zwycięstwie „będzie opowiadał się za praworządnością i zrewitalizuje nasze narodowe zobowiązania w promowaniu praw człowieka i demokracji w kraju i na świecie”. Opozycja liczy więc na to, że konserwatywny rząd PiS znajdzie się pod pręgierzem nie tylko tu-

zów Unii Europejskiej, lecz także Stanów Zjednoczonych.

Czy tak się stanie, nie jest przesądzone. Pewne jest jednak, że Donald Trump ma świetne relacje z prezydentem Andrzejem Dudą, a także z rządem PiS, co długo uniemożliwiało opozycji twierdzenie, że PiS jest izolowany lub krytykowany na całym świecie. Trump prowadzi też przewidywalną politykę obronną i zagraniczną, zdecydował m.in. o zwiększeniu liczby amerykańskich żołnierzy w Polsce, których obecność ma zmniejszać ryzyko rosyjskiej agresji.

Rząd w Warszawie łącząc z prezydentem Trumpem nie tylko gospodarkę czy politykę obronną, lecz także podejście do kwestii światopoglądowych. Obecny gospodarz Białego Domu wprowadził do Sądu Najwyższego troje konserwatystów, przyjął Deklarację konsensusu genewskiego dotyczącą „Promocji zdrowia kobiet i wzmacniania rodziny”, otwarcie i publicznie bronił prawa do życia każdego urodzonego i nieurodzonego dziecka, przeszedł też do historii jako pierwszy prezydent USA, który pojawił się na rocznym Marszu dla Życia pod Kapitołem.

Joe Biden to z kolei zadeklarowany zwolennik „prawa wyboru” i walki o dalsze rozszerzanie praw społeczności LGBTQI+, który na wiceprezydentkę wybrał Kamalę Harris, jednoznacznie zwolenniczkę tęczyowych środowisk o skrajnie lewicowych poglądach na kwestie opieki zdrowotnej czy poparcia dla ekologicznych radykałów.

I chociaż Polska przed wyborami oficjalnie nie opowiedziała się tak jednoznacznie jak Węgry czy Słowenia za żadnym kandydatem, to nie ulega wątpliwości, że lepsza dla rządu PiS byłaby wygrana Donalda Trumpa. Niezależnie od ostatecznego wyniku wyborów trzeba jednak pamiętać, że w przeciwieństwie do przypominających aroganckich przedszkolaków polskich polityków dla amerykańskiej strategii międzynarodowej decydujące są nie tyle emocje, ile dbałość o interesy USA. Te zaś w stosunku do Polski powinny pozostać niezmiennione. Dzięki tej zasadzie od czasów George’a Busha seniora każdy amerykański prezydent był Polsce w dużej mierze przychylny. To za czasów demokracji Billa Clintona Polska wchodziła do NATO, za rządów Baracka Obama odbył się zaś kluczowy dla bezpieczeństwa naszego kraju szczyt sojuszu. Sam Joe Biden w latach 90. – jeszcze jako senator – był autorem wyjątkowo przychylnego Polsce raportu, na podstawie którego łatwiej

było przekonać Partię Demokratyczną do poparcia polskich aspiracji obronnych. Jako kandydat Partii Demokratycznej w obecnych wyborach zobowiązał się do utrzymania amerykańskich zobowiązań wobec NATO i zapowiedział utrzymanie sprzeciwu wobec budowy rosyjsko-niemieckiego rurociągu Nord Stream 2.

Biden, były wiceprezydent USA, powinien także pamiętać, jak łatwo Władimir Putin ograł ekipę demokratów wierzących w politykę „resetu” z Rosją. Polityka amerykańskich pochlebstw i ustępstw wobec Kremla szybko skończyła się agresywnymi działaniami rosyjskich wojsk w Europie Wschodniej.

SONDAŻE MIĘDZY BAJKI

Nawet jeśli okaże się, że Donald Trump będzie pierwszym prezydentem USA, który nie zdołał wygrać walki o reelekcję od czasów George’a H.W. Busha w 1992 r., to i tak za największych przegranych tych wyborów trzeba będzie uznać pracowników badań społecznych. Wyniki batalii o Białą Dom w roku 2020 pokazały nawet wyraźniej niż w roku 2016, że publikowane przez nie sondaże są kompletnie nie niewarte i równie wiarygodnie wyniki wyborów mogłaby prognozować mała rzucająca zgniłymi bananami w kolorowe portrety kandydatów.

Tydzień przed wyborami z sondażu dla CNN wynikało, że Trump traci do Bidena w całym kraju aż 12 punktów procentowych, a sondaż ABC News/Washington Post pokazywał, że Biden wygra z Trumpem w Wisconsin 17 punktami procentowymi (tymczasem w wyborach obaj kandydaci zdobyli zbliżoną liczbę głosów, a oficjalna przewaga Bidena nad Trumpem wyniosła zaledwie 21 tys. z 3,3 mln głosów).

Na podstawie sondaży zwolennicy Partii Demokratycznej szykowali się na wielką wyborczą „niebieską falę”, czyli na przejście przez lewicę nie tylko Białego Domu, lecz także obu izb w Kongresie. A progresywni guru socjologii i statystyki zapowiadali, że Trump zostanie zmiażdżony.

Kłeska amerykańskich sondażowców nie dziwi co prawda polityków i komentatorów. To jednak smutna przegrana. Na straży dojrzałej demokracji powinni stać nie tylko sędziowie, prawnicy czy zwolennicy obu stron, lecz także uczciwe media oraz pracownice badań społecznych, które zamiast realizować zlecenia propagandzistów, prowadziłyby rzetelne sondaże.

© Wszelkie prawa zastrzeżone



RZEŻBA URATOWAŁA POCIĄG

Sztuka czasem ocala życie. Dosłownie. W holenderskiej miejscowości Spijkenisse doszło do dramatycznej sytuacji na końcowej stacji metra – De Akkers.

Z niewiadomych powodów pociąg nie zatrzymał się przed końcem torowiska i staranował buforową barierę. W środku był już tylko maszynista, ale cały pociąg po wyjechaniu z wiaduktu mógł spaść z dużej wysokości. Zatrzymał się na instalacji artystycznej przedstawiającej wielką płetwę wieloryba. Instalacja ze sztucznego tworzywa została tam postawiona 20 lat temu.

FOT. EVA PLENER/REUTERS/FORMA

TELEFON PRAWEM CZŁOWIEKA

Państwowa Komisja ds. Praw Człowieka w Korei Południowej rozpatrzyła skargę licealisty. Młody człowiek poskarżył się, że w szkole musi oddać telefon o 8.20 i dostaje go z powrotem dopiero po zakończeniu zajęć o 20.30. Dyrekcja broniła się, że odbierania telefonów żądali rodzice, ale Komisja uznała, że takie postępowanie narusza wolność działania i komunikacji. Zaleciła zmianę zasad dotyczących korzystania z telefonów.

NAPADY NIE DO ZNIESIENIA

W Niemczech niespokojnie na ulicach. We Frankfurcie i w Darmstadt grupy młodych ludzi atakowały funkcjonariuszy policji. W ruch poszły butelki, petardy i kamienie. Tłum atakujący policjantów miejscami liczył nawet 800 młodych ludzi. Policja nie wyjaśniła, jaki był motyw ataków. Szef frankfurckiej policji jedynie pożałował się mediom, że te ataki są już „nie do zniesienia”. Może dlatego, że po aresztowaniu zatrzymanych młodocianych wszystkich policja zwolniła potem do domów?

MOŻNA GRAĆ, ALE BEZ BRAMEK

W Kanadzie, w prowincji Ontario, pozwolono młodym hokeistom nadal trenować. Mają jednak utrzymywać dystans i się ze sobą nie stykać. W związku z tym wykluczono możliwość zdobywania bramek podczas treningu. – Musimy zrobić wszystko, by ograniczyć rozprzestrzenianie się wirusa – umotywowowała wytyczne tamtejsza minister sportu.

LAMPA Z DŻINEM ZA 370 TYS. ZŁ

Lekarz z indyjskiego stanu Uttar Pradesh zgłosił na policję, że padł ofiarą oszusta. Laeek Khan uwierzył pewnemu sprzedawcy, że prezentowana przez niego lampa jest magiczna i ma w swym wnętrzu dżina. Dżin „ukazał” się podczas prezentacji handlowej – seansu spirytystycznego. Pan doktor wydał na lampę w przeliczeniu ok. 370 tys. zł i okazało się, że żadnego dżina z niej uwolnić nie może. Śledczy zatrzymali w tej sprawie czterech mężczyzn. Podobno na sprzedawaniu magicznych artefaktów w Indiach zarobili miliony. ©

Lukasz Zboralski



JACEK PRZYBYLSKI

GLOBALNE OCHŁODZENIE

Głupota gorsza od faszyzmu?

To jest wojna” – ostrzegła polski rząd wiceprzewodnicząca Bundestagu Claudia Roth, fotografując się z plakatem z błyskawicą, symbolem proaborcyjnych protestujących oraz wspomnianym wyżej hasłem.

„Polski rząd igra z życiem i nietykalnością cielesną kobiet i niepożądaną ciążą. Najwyższy czas, by niemiecki rząd i UE zwiększyły do maksimum naciski polityczne na polski rząd” – napisała na Facebooku, stwierdzając, że „coraz więcej fundamentalistycznych i prawicowo-konserwatywnych rządów ogranicza prawa seksualne i reprodukcyjne kobiet i osób LGBTIQ”.

Pani Roth myli w swym wpisie Trybunał Konstytucyjny z Sądem Najwyższym. Niemieckiej polityk – która w latach 80. pełniła funkcję rzecznika prasowego frakcji Zielonych w Bundestagu i od tego czasu wielokrotnie zasiadała w Bundestagu i w Parlamencie Europejskim – chyba pomyliły się daty. Jeśli chciała uczcić niemal udaną próbę zbrojnego podbicia Europy, to z symbolem błyskawicy i hasłem „To jest wojna” powinna była wystąpić 1 września lub choćby 2 października – to wtedy jej rodacy kończyli rozprawę z powstańcami warszawskimi.

Jeżeli zaś marzy o tym, by w XXI w. ingerować w wewnętrzne sprawy sąsiada, wykorzystując do tego organy UE, to powinna była wiedzieć, że unijne traktaty jeszcze nie dają takiej możliwości. Ten brak możliwości panowania nad innymi narodami wyraźnie jednak niektórych Niemców męczy. W październiku wiceszefowa PE Katarina Barley krytykowała „reżim Kaczyńskiego” i apelowała o „finansowe zagłodzenie” rządu Viktora Orbána.

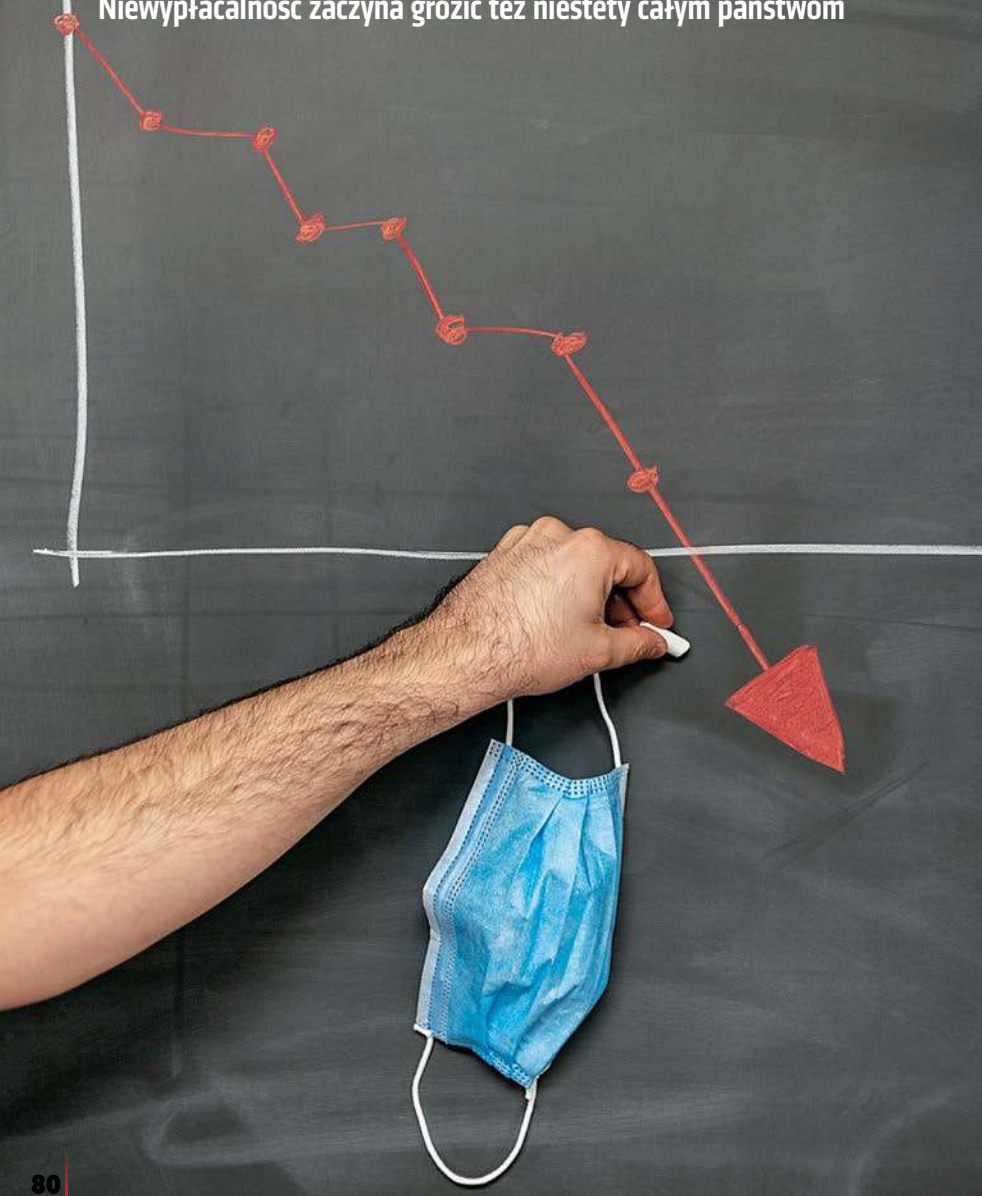
Szkoda. Takie skandaliczne wypowiedzi niweczą bowiem publiczne starania wielu Niemców, którzy lepiej rozumieją wrażliwość Polaków czy Węgrów. ©

Państwa na skraju bankructwa



Jakub Wozinski

Lockdowny doprowadziły już do bankructwa tysięcy firm na świecie. Niewypłacalność zaczyna grozić też niestety całym państwom



Zazwyczaj uważa się, że bankructwo grozi jedynie krajom, które są ogromnie zadłużone, pogrążyły się w totalnym chaosie gospodarczym i politycznym impasie. To tylko częściowa prawda, ponieważ każde państwo ma własną specyfikę i dlatego ciężko wskazać dokładny zestaw wskaźników gospodarczych, które świadczyłyby o nadchodzącym właśnie bankructwie. Moment, w którym nie ma już z czego wypłacić pensji i emerytur czy też spłacić wierzycieli, może przyjść zupełnie nieoczekiwanie. Zaledwie rok przed załamaniem się argentyńskiego peso w 2001 r. zadłużenie Argentyny wynosiło tylko ok. 53 proc. w stosunku do PKB, czyli mniej niż obecnie w przypadku Polski. Niekorzystna sytuacja w światowej gospodarce i wewnętrzna niestabilność polityczna mogą jednak sprawić, że bankructwo może spotkać nawet kraje uważane wcześniej przez lata za prymusów gospodarności.

ARGENTYNA DRUGĄ WENEZUELĄ?

Tak właśnie było w przypadku Argentyny, która jeszcze w pierwszej połowie XX w. była uważana powszechnie za najbardziej „europejski” i rozwinięty gospodarczo kraj Ameryki Południowej. Obecnie coraz częściej mówi się zaś o tym, że podąża śladem Wenezueli. Nie ma w tych słowach ani cienia przesady, ponieważ pomimo szoku, który stanowiło bankructwo z 2002 r., tamtejsze populistyczne rządy spychają swój kraj wprost ku przepaści. W ciągu ostatnich 10 lat władze zwiększyły podaż pieniądza o ponad 1400 proc., ustępując w tej dziedzinie jedynie wspomnianej Wenezueli. W efekcie tego już dziś inflacja wynosi ponad 41 proc. i nie zanosi się na to, aby miała wkrótce spaść. Chociaż Argentyńczycy mają już od dawna nóż na gardle, a negocjacje w sprawie spłaty długu prowadzi największy na świecie fundusz inwestycyjny BlackRock, to w Buenos Aires nadal trwa karnawał wydatków publicznych. Trzecia największa gospodarka na kontynencie w wyniku pandemii koronawirusa pogrążyła się w jeszcze większym kryzysie (w drugim kwartale skurczyła się o ponad 16 proc.) i tak naprawdę będzie miała spore problemy z wyjściem na prostą pomimo wielkich ustępstw ze strony wierzycieli, którzy kilka lat temu zgodzili się nawet na emisję stuletnich obligacji.

FOT. ADOBE STOCK

Bankructwo państwa to zjawisko dobrze znane również w Polsce. Z faktyczną niewypłacalnością mieliśmy bowiem do czynienia jeszcze w kwietniu 1981 r., kiedy to Polska Rzeczpospolita Ludowa straciła zdolność do obsługi swoich długów zaciągniętych w epoce Gierka. Średnio- i długoterminowe zobowiązania wobec zagranicznych wierzycieli osiągnęły poziom 23,4 mld dol., dlatego konieczne było podjęcie rozmów z Klubem Paryskim i zaplanowanie nowego harmonogramu spłat.

HOSSA TANIEGO DŁUGU

Bankructwo PRL w latach 80. było skutkiem nie tylko absurdów gospodarki komunistycznej, lecz stanowiło też odbicie szerszych procesów w światowej gospodarce. W tamtej dekadzie problemy z obsługą długu miało wiele krajów przede wszystkim Ameryki Łacińskiej (m.in. Meksyk). Globalne kłopoty z zadłużeniem wynikały m.in. z tego, że w latach 70. za sprawą wysokich cen ropy kraje arabskie lokowały zarobione przez siebie środki w zachodnich bankach, które z kolei oferowały rządowi z całego świata pożyczki na bardzo atrakcyjnych

warunkach. Polska była zaledwie jednym z krajów, które skorzystały z nadarzającej się okazji, a które później przyplącały to problemami z płynnością i depresją gospodarczą.

Niestety wiele wskazuje na to, że obecnie mamy do czynienia ze swego rodzaju powtórką tego schematu. Od czasów ostatniego kryzysu w 2008 r. spora część kapitału, który zasilł rynki finansowe w ramach programów ożywiania gospodarki, została przeznaczona na pożyczki dla krajów rozwijających się z całego świata. W latach 2012–2019 średni poziom długu publicznego w stosunku do PKB wzrósł w tych krajach z 35 proc. do 51 proc. Z jednej strony wiele państw nadgoniło dzięki temu wieloletnie zaległości gospodarcze, lecz z drugiej będzie się musiało w najbliższym czasie zmierzyć z poważnymi wyzwaniami. Zamieszanie związane z koronawirusem sprawiło, że już teraz wiele spośród najbardziej zadłużonych krajów (m.in. w Afryce) przeznacza na obsługę swojego zadłużenia więcej pieniędzy niż na ochronę zdrowia (w tym walkę z pandemią) czy edukację. Problem ten stał się już na tyle zauwa-

żalny, że coraz częściej mówi się o pilnej konieczności anulowania przynajmniej części tego zadłużenia.

Polska nie jest już dziś najczęściej klasyfikowana jako kraj rozwijający się, lecz rozwinięty, a mimo to na jej sytuacji może znacząco wpłynąć coraz bardziej napięta sytuacja w innych krajach. Kryzys zadłużenia rzadko kiedy bywa problemem tylko jednego państwa, ponieważ dotyczy całego globalnego systemu finansowego. W ostatnim czasie faktyczną niewypłacalność, na razie niewiązującą się jeszcze z żadnym wstrząsem, odnotowały m.in. Ekwador i Liban. Bank Goldman Sachs opublikował niedawno prognozę, że spore ryzyko bankructwa stoi m.in. przed Sri Lanką, Angolą i Gabonem, choć jako pierwsza ze wszystkich niewypłacalność może ogłosić Zambia.

NIWYPŁACALNOŚĆ PO EUROPEJSKU

Nazwy tych krajów brzmią oczywiście dla Polaków egzotycznie, lecz problem z zadłużeniem nie jest bynajmniej odległy geograficznie. W najbliższych miesiącach szczególnie pilnie należy przyglądać się Turcji oraz Hiszpanii, które w następ-

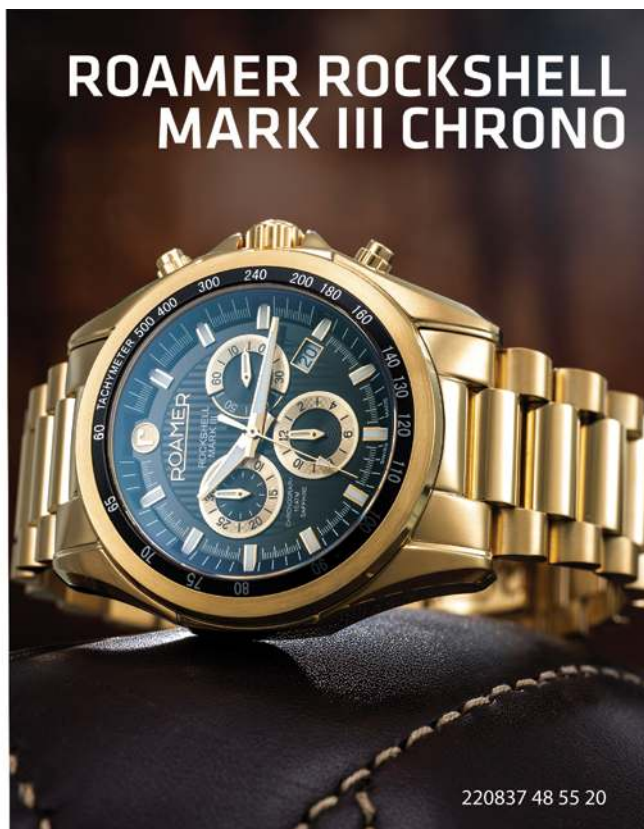
ZEGAREK, KTÓREGO NIE DA SIĘ NIE ZAUWAŻYĆ

ROCKSHELL MARK III CHRONO to zegarki, które są w kolekcji szwajcarskiej marki ROAMER już od kilku lat i nieustannie cieszą się zainteresowaniem klientów. Niedawno do kolekcji dołączył bardziej wyrazisty model. Koperta (44 mm średnicy) i bransoleta wykonane ze stali szlachetnej w kolorze złotym zostały zestawione z głęboką czernią tarczy. Kolorystyka dotychczas kierowana głównie do kobiet znalazła uznanie również wśród Panów.

Na szczególną uwagę zasługuje dopracowana w najmniejszych detalach tarcza. Jej centralna część posiada giloszowanie, które nadaje całości trójwymiarowy wygląd. Dla mocniejszego efektu projektanci zdecydowali się na wykonanie obramowania subtarcz, indeksów godzin oraz datownika w kontrastującym z czernią kolorze złota. Okalająca całość skala tachymetru dodaje pazura i podkreśla sportową osobowość ROCKSHELL MARK III CHRONO.

Podobnie jak inne zegarki ROAMER, również ten model został wyposażony w wysokiej jakości szwajcarski mechanizm kwarcowy, gwarantujący precyzję i niezawodność na długie lata. Tarcza pokryta jest odpornym na zarysowania szafirowym szkłem z powłoką antyrefleksyjną. To wszystko, w połączeniu z wodoszczelnością na poziomie 100 m zapewnia wieloletnią trwałość i nieskazitelny wygląd. Nieśmiertelne połączenie złota i czerni nie pozwala przejść obok tego zegarka obojętnie i sprawia, że jest to idealny dodatek dla mężczyzn lubiących przyciągać spojrzenia.

Cena: 1970 zł



220837 48 55 20

stwie pandemii i lockdownów znalazły się w wyjątkowo trudnej sytuacji. Uwagę zwraca przede wszystkim kraj rządzony przez Recepa Tayyipa Erdoğan, którego waluta traci ostatnio na wartości w błyskawicznym tempie. Zgodnie z życzeniem prezydenta w ciągu ostatnich lat forsowano rozdawniczą politykę zakrojoną pod sprzyjające mu środowiska. W tym celu zdecydowano się na bardzo swobodną politykę pieniężną i fiskalną, a podaż pieniądza w latach 2013–2018 wzrosła aż trzykrotnie. W efekcie ratingi tureckiego długu są obecnie na poziomie biednych krajów afrykańskich, a rezerwy walutowe topnieją w oczach (w ciągu ostatniego roku spadły o 40 proc.). Poziom zadłużenia w stosunku do PKB wynosi obecnie zaledwie 41,9 proc. PKB, ale sytuacja Turcji robi się coraz bardziej nie do pozazdroszczenia.

Równie niepokojąco przedstawia się sytuacja Hiszpanii, która pod rządem socjalistyczno-populistycznej koalicji Pedro Sáncheza bije właśnie rekordy pod względem wysokości zadłużenia. Jak jeszcze przed nadejściem drugiej fali zachorowań raportowała agencja Moody's, aż 10 proc. hiszpańskich firm znajduje się w poważnych finansowych kłopotach i wkrótce można spodziewać się prawdziwej fali upadłości. Po tym, jak w 2012 r. Hiszpania przeżyła szok związany z kryzysem obsługi zadłużenia, w odstępie niewielkiego czasu czeka ją kolejny problem.

W reakcji na sytuację, w której znalazły się Hiszpania i inne kraje południa Europy, pospieszenie postanowiono o premierowej emisji wspólnego europejskiego długu. Zgodnie z porozumieniem zawartym na lipcowym szczycie Unii gwarantem wypłacalności hiszpańskie państwa mają być częściowo także pozostałe kraje. Oddalono tym samym widmo bankructwa samej Hiszpanii, lecz stworzono zupełnie nową sytuację, w której pod nieco większą presją będzie cała strefa euro. Na efekty nie trzeba było długo czekać. Już dziś wiadomo, że Europejski Bank Centralny postanowił znacząco zwiększyć bazę monetarną i przystąpić do dewaluacji wspólnej waluty w skali niespotykanej od samego początku istnienia euro.

POLSKA BEZPIECZNA?

Na tle wielu innych państw Polska wydaje się wciąż krajem, który nie powinien mieć większych zmartwień

w związku z kondycją swoich finansów. Tak rzeczywiście jest, choć jak nauczyły nas ostatnie miesiące, sytuacja gospodarcza potrafi zmienić się jak w kalejdoskopie. Jeszcze rok temu można było zakładać, że uda się wypracować nawet nadwyżkę budżetową, a dziś mamy do czynienia z dziurą wynoszącą ponad 100 mld zł. Nasz kraj ma w rękach wiele atutów w postaci m.in. odpowiednich rezerw walutowych czy też rozwiniętej gospodarki, lecz właśnie stracił istotną korzyść, jaką stanowił zbilansowany budżet. Wobec ryzyka wprowadzania kolejnych ograniczeń można się niestety spodziewać, że powrót do fiskalnej normalności bardzo mocno się przeciągnie.

A uwzględniając szerszą, międzynarodową perspektywę zadłużenia oraz kondycji światowej gospodarki, można wręcz żywić zasadne obawy co do tego, czy Polska może być naprawdę spokojna. Oprócz ryzyka nagłej zmiany kursów walut polskie państwo musi także brać pod uwagę to, że wciąż jest mocno zadłużone za granicą (na koniec 2019 r. ponad 58 proc.). W ostatnim czasie polski dług był intensywnie skupowany przez Narodowy Bank Polski, co teoretycznie zwiększa kontrolę nad sytuacją, lecz całkowity rozmiar zadłużenia liczonego według metodologii unijnej wynosi już ponad 1,2 bln zł.

Jeżeli mimo wszystko nawet dziś ryzyko bankructwa Polski wydaje się czymś praktycznie niemożliwym, to warto sobie uświadomić, że jeszcze rok temu czymś równie niemożliwym wydawała się pandemia koronawirusa oraz związany z nią kryzys gospodarczy. Decydenci próbują zaklinać rzeczywistość i planować wedle scenariusza zakładającego opracowanie szczepionki i wyeliminowanie problemu zachorowań do połowy 2021 r. Najczęściej zapominają przy tym, że dotychczasowe lockdowny wyrządziły już tyle gospodarczych szkód, że powrót do normalności będzie długi i bolesny.

DŁUG INNY NIŻ WSZYSTKIE

Trwająca wciąż debata na temat zadłużania Polski powinna więc uwzględnić to, że ogromna niepewność makroekonomiczna wpływa znacząco na niekorzystnie propozycji zgłaszanych przez orędowników swobodnego przekraczania konstytucyjnego limitu. Doświadczenie państw, które w najnowszej historii doświadczyły niewypłacalności,

pokazuje, że warto zrobić wszystko, aby do tego nie dopuścić. W przypadku Grecji czy Argentyny oprócz znacznej pauperyzacji społeczeństwa bardzo dotkliwa z politycznego punktu widzenia okazała się także faktyczna utrata pełni suwerenności na rzecz wierzycieli, mających odtąd znaczny wpływ na sprawy wewnętrzne kraju.

I rzecz nie mniej ważna, nie można zapominać także o tym, że zaciąganie długów na potrzeby walki z koronawirusem tworzy zupełnie nową, niekorzystną sytuację. Państwo zadłuża się nie po to, aby realizować jakiegokolwiek inwestycje, które pracowałyby na przyszłość gospodarki i jej wzrost, lecz przede wszystkim po to, aby obywatele mogli sprostać zasadom reżimu sanitarnego. Nawet długi w epoce Gierka były po części uzasadnione tym, że zaciągano je na poczet rozwoju przemysłu czy też budownictwa mieszkaniowego (nawet jeśli towarzyszyła temu skrajna nieefektywność wynikająca z centralnego planowania). Obecnie zaś mamy do czynienia z sytuacją, w której ogromny kapitał, który w normalnej sytuacji można by wykorzystać np. do realizacji dużych inwestycji infrastrukturalnych, jest zwyczajnie „przejadany” m.in. na to, abyśmy mogli siedzieć w domach i zachowywać dystans społeczny.

Tego rodzaju wydatkowanie środków nie pozostanie bez konsekwencji. Dług wydany na walkę z koronawirusem to czysty balast, który nie pracuje na przyszłe pokolenia. Bez względu na to, jaka byłaby nasza ocena konieczności stosowania środków zapobiegających rozprzestrzenianiu się koronawirusa, trzeba mieć świadomość, że zadłużenie, które jest generowane przez ich wprowadzanie, niesie ze sobą określone niebezpieczeństwa. Można wprawdzie przekonywać, że bez drastycznych środków w postaci czasowego zamknięcia całych branż i wprowadzenia lockdownu służbie zdrowia groziłaby zapaść, ale trzeba jednocześnie brać pod uwagę to, że wybierając to rozwiązanie, poważnie zwiększono ryzyko zapaści finansowej. Polska ma wciąż spory margines bezpieczeństwa, ale warto przed wprowadzeniem kolejnych ograniczeń w życiu gospodarczym zastanowić się nad tym, czy rzeczywiście trzeba podążać drogą, która daje z czasem coraz mniejsze pole manewru.



POMAGAMY
SPRAWIEDLIWIE



SZYBCIEJ, SKUTECZNIEJ, BEZPIECZNIEJ

DZIĘKI NOWEJ USTAWIE ANTYPRZEMOCOWEJ

**Nie będziesz musiała uciekać z mieszkania,
w którym jesteś narażona na przemoc domową!**

Do tej pory, jak wiele kobiet, mogłaś ratować się przed przemocą tylko ucieczką z mieszkania. Teraz się to zmienia! Zgodnie z nową ustawą to sprawca przemocy będzie musiał natychmiast opuścić mieszkanie i zostanie zakaz zbliżania się do Was. Policja tego dopilnuje, a sąd w błyskawicznym trybie zajmie się sprawą.

Nowa ustawa antyprzemocowa, przygotowana przez Ministerstwo Sprawiedliwości, to przełomowe rozwiązanie prawne, które gwarantuje Ci szybką, skuteczną pomoc i zapewnia realne poczucie bezpieczeństwa.

Więcej informacji na www.funduszsprawiedliwosci.gov.pl



FUNDUSZ
SPRAWIEDLIWOŚCI

MINISTERSTWO
SPRAWIEDLIWOŚCI

www.ms.gov.pl



PIOTR GABRYEL

PROSTO ZYGZAKIEM

Lekka ręka polityka

Jakoś trudno mi sobie przypomnieć polityka, który przyznałby się, że w czasie koniunktury przeszarżował z rozdawaniem publicznego grosza, że zbyt lekką ręką szafował publicznymi pieniędzmi, fundując wyborcom przeróżne benefity, i w związku z tym w czasie następującej po niej dekoniunktury niektóre z nich trzeba skasować, bo podatników nie stać na to, by je ludziom obdarowanym przez polityków dalej wypłacać.

I, niestety, nie spodziewam się, żeby w najbliższym czasie taki polityk miał się objawić w Polsce. Objawić, czyli przyznać, że rządzący – mimo płynących zewsząd ostrzeżeń – nazbyt pochopnie wycofali się z podniesienia wieku emerytalnego do 67 lat dla kobiet i mężczyzn, przywracając wcześniejsze – 60 lat dla kobiet i 65 dla mężczyzn, co kosztuje podatników każdego roku co najmniej 10 mld zł. Nadto, że zbyt łatwo przyszło im w 2019 r. radykalne rozszerzenie programu „500+” – na każde dziecko bez progu dochodowego, co podwoiło jego koszt – z 20 do 40 mld zł rocznie. I że zbyt optymistycznie ocenili możliwości podatników, zobowiązując się – w ich imieniu – co roku wypłacać każdemu dziecku po 300 zł na zakup wyprawki szkolnej (1,5 mld zł rocznie), a tym bardziej fundować co roku każdemu emerytowi 13. i 14. emeryturę (20 mld zł rocznie).

Wygląda bowiem na to, że liderzy życia publicznego,

k którzy apelują do rządu, by w czasie kryzysu nakręcane go przez panikę wywołaną przez COVID-19 wycofał się z niektórych swych hojnie rozdanych prezentów, znaczą i mogą mniej więcej tyle, ile wołający na puszczy. A są wśród nich m.in. członkowie nieantyrządowo przecież nastawionego Związku Przedsiębiorców i Pracodawców (ZPP), którzy postulują właśnie wycofanie się z pomysłu rozszerzenia programu „500+” na każde dziecko bez progu dochodowego, a także likwidację programów 13. i 14. emerytury oraz wyprawek szkolnych, wskazując, że taka rewizja polityki rządu pozwoliłaby na stworzenie „poduszki finansowej” w wysokości aż 45 mld zł rocznie.

Co na to politycy? Nietrudno się domyślić, bo przecież NIEOMYLNOSĆ to ich drugie imię. Bez zająknięcia zapewniają, że nie ma potrzeby nikogo pozbawiać przyznanych przez nich wcześniej benefitów, choć pewnie i oni dobrze wiedzą, że tak nie jest. A obecna krzywa wzrostu długu publicznego Polski zaczyna coraz bardziej przypominać obecną krzywą wzrostu zachorowań Polaków na COVID-19. Długu, który wprost eksplodował z 46 proc. PKB w 2019 r. do niemal 63 proc. PKB 2020 r., a w 2021 r. – jeśli „dobrze” pójdzie – urośnie „tylko” do prawie 65 proc. PKB – licząc według metodologii unijnej, czyli tej bez prawa do ukrywania części wydatków to tu, to tam. ©©



ŁUKASZ WARZECHA

NOTATNIK MALKONTENTA

Prof. Simon jako Bertrand Russell

Wszystko, co mówię, jest kłamstwem” – to paradoks kłamcy, jeden z najbardziej znanych. Wymyślił go miał Eubulides z Miletu, żyjący w IV w. p.n.e., ale biedzili się nad nim logicy i matematycy jeszcze w wieku XX. Polską politykę opisują dzisiaj bardzo dobrze właśnie paradoksy, nie tak może efektywne jak ten, którego rozwiązaniem zajmował się między innymi Bertrand Russell, ale też niegorsze.

Niezawodny prof. Simon odkrył, że demonstracje nie stanowią problemu

Weźmy paradoks Marszu Niepodległości. Sytuacja jest następująca: przez wiele dni na ulicach polskich miast odbywały się demonstracje przeciwko wyrokowi Trybunału Konstytucyjnego. Odbywały się mimo teoretycznie obowiązującego ograniczenia zgromadzeń do pięciu osób, przy wstrzymaniu, by nie rzec bierności, policji. Opozycja zapomniała nagle, że trwa epidemia, i nie zniechęcała do udziału w zgromadzeniach. Ba, nawet niezawodny prof. Simon, który jeszcze latem oburzał się na pełne plaże i wieszczył, że spowodują epidemiczny armagedon, nagle odkrył, że demonstracje nie stanowią problemu.

Tymczasem zbliża się 11 listopada, a więc czas dorocznego Marszu Niepodległości,

kojarzonego ze środowiskami narodowymi. Marsz Niepodległości, gdyby miał się odbyć, musiałby mieć charakter zgromadzenia spontanicznego, podobnie jak demonstracje przeciwko zakazowi aborcji eugenicznej, bo wiadomo przecież, że nie zostanie formalnie zarejestrowany. Zapowiedział to już prezydent Warszawy Rafał Trzaskowski.

Pan premier Morawiecki zaapelował, aby w marszu nie brać w tym roku udziału. I tu właśnie dochodzimy do paradoksu, i to na trzech poziomach. Po pierwsze – pan premier może sobie apelować, ale nie może raczej wysłać do rozproszenia marszu policji, ponieważ wyszłoby na to, że państwo polskie jest surowsze dla środowisk narodowych niż dla lewicy. Narodowcy i tak już tak uważają, a potwierdzenie tego byłoby wodą na młyn Konfederacji.

Po drugie – opozycja nie bardzo może się oburzać na marsz z powodu zagrożenia epidemicznego, bo musiałaby się też oburzyć na proaborcyjną demonstrację.

Po trzecie – sami narodowcy wykazaliby się odpowiedzialnością, gdyby marszu nie organizowali, ale nie bardzo mogą, bo to by znaczyło, że ustępują pola lewicy.

Marsz się więc zapewne odbędzie i będzie prawdopodobnie także manifestacją przeciwko epidemicznym ograniczeniom. Ja zaś z niecierpliwością czekam na wykładnię prof. Simona, który może wejdzie tu w rolę Russella. Cóż, jaki paradoks, taki Russell. ©©

NA KONCERT GINTROWSKI

*A jak
ci po was
costume*

ZAPRASZA

**ME
CE
NAS**
KONCERTU



LOTOS idzie w kierunku wodoru



Wodór to pierwiastek, bez którego trudno jest wyobrazić sobie osiągnięcie pełnej transformacji energetycznej. Jednym z największych polskich producentów tego gazu jest Grupa LOTOS. Spółka stale rozwija prace nad paliwami alternatywnymi i włącza się w kolejne projekty badawcze w tym obszarze. Niedawno gdański koncern podpisał listy intencyjne dotyczące wodoru z władzami Rzeszowa i firmą Autosan

Grupa LOTOS dostosowuje się do światowych trendów w zakresie paliw alternatywnych. Dla gdańskiej spółki bardzo ważne są inicjatywy wodorowe. LOTOS chce w wielowymiarowy sposób napędzać popyt na paliwo przyszłości. Opracowuje też nowoczesne metody pozyskania

wodoru, które wykorzystują odnawialne źródła energii.

WODÓR W KOMUNIKACJI MIEJSKIEJ

LOTOS nie ogranicza planów związanych z paliwem wodorowym tylko do jego produkcji i dystrybucji. Koncern szuka

również możliwości jego zastosowania – w pierwszej kolejności w transporcie miejskim. Spółka podpisała niedawno list intencyjny z miastem Rzeszów. Celem jest współpraca w zakresie dostaw wodoru oraz infrastruktury dla pojazdów z ogniwami paliwowymi. Obok Rzeszowa na liście wodorowej współpracy LOTOSU są już Gdynia, Tczew oraz Wejherowo. LOTOS finalizuje też porozumienie ze spółką Autosan – polskim producentem autobusów – która do napędu swoich pojazdów ma testować wodór wytworzony przez Grupę LOTOS.

– W dobie transformacji energetycznej musimy zintensyfikować nasze działania na rzecz rozwoju technologii wodorowych.



przede wszystkim o wymianę wiedzy i doświadczeń oraz, docelowo, o zastosowanie najnowszych technologii zarówno przy dostawach wodoru, jak i podczas tankowania tym paliwem taboru komunikacji miejskiej.

Autobusy zasilane wodorowymi ogniwami paliwowymi mają wiele zalet: nie emitują żadnych zanieczyszczeń i zapewniają duży komfort jazdy dzięki cichej pracy elektrycznego silnika. Również w tym przypadku współpraca zakłada wymianę doświadczeń oraz wyników badań nad najnowszymi technologiami wodorowymi, co z kolei pozytywnie wpłynie na ochronę środowiska naturalnego oraz poprawi szeroko rozumiane bezpieczeństwo. Wcześniej spółka podpisała też list intencji z firmą Toyota Motor Poland.

O tym, jak ważne dla transformacji energetycznej polskich miast jest wsparcie dużych przedsiębiorstw, świadczą słowa samych samorządowców.

– Naszym priorytetem zawsze była ochrona zdrowia mieszkańców. Od dawna stawiamy na ekologiczny transport i podpisana właśnie umowa umożliwi nam zrealizowanie kolejnego kroku – zakupu autobusów zasilanych wodorem. Grupa LOTOS gwarantuje nam, że projekt jest poważnym przedsięwzięciem i zakończy się sukcesem – mówi Tadeusz Ferenc, prezydent Rzeszowa.

WODÓR O NIEMAL DOSKONAŁEJ CZYSTOŚCI

Wodór, będąc najpowszechniejszym pierwiastkiem, jest jednocześnie jedną z kluczowych substancji wykorzystywanych w nowoczesnym przemyśle rafineryjnym i petrochemicznym. Gdańska rafineria obecnie produkuje go ok. 16,5 t/h. Finalizowana właśnie budowa instalacji Węzła Odzysku Wodoru zwiększy tę zdolność produkcyjną o dodatkową 1 t/h. Do zasilania ogniw wodorowych napędzających silnik elektryczny potrzebny jest natomiast wodór o bardzo wysokiej czystości (99,999 proc.). LOTOS posiada jedną z najnowocześniejszych rafinerii w Europie, która stale rozbudowuje i modernizuje swoje instalacje produkcyjne związane z wytwarzaniem wodoru.

Gdańska spółka realizuje projekt Pure H₂, zgodnie z którym na terenie rafinerii powstanie instalacja do oczyszczania i dystrybucji wodoru oraz dwa punkty tankowania tego paliwa (w Gdańsku i Warszawie). LOTOS zamierza wytwarzać aż ok. 160 kg czystego wodoru na godzinę – co jest ewenementem w skali

Polski. Wartość inwestycji to niemal 10 mln euro, ale 20 proc. budżetu tego przedsięwzięcia pochodzić będzie ze środków unijnych pozyskanych w ramach programu „Łącząc Europę” (ang. Connecting Europe Facility – CEF).

ZIELONY WODÓR

Gdański koncern uczestniczy w Pakiecie na rzecz Czystego Transportu oraz w pracach Ministerstwa Klimatu nad narodową strategią wodorową. Nieustannie wprowadza także nowe projekty rozwojowo-badawcze w tej dziedzinie. Warto wspomnieć choćby o współpracy z Polskimi Sieciami Elektroenergetycznymi. Uczestnicy tego przedsięwzięcia opracowują efektywną kosztowo, ale przede wszystkim przyjazną dla środowiska, metodę wytwarzania wodoru. Ważnym elementem są tu elektrolizery i sprawdzenie, jak współpracują one ze zmienną generacją energii elektrycznej pochodzącej z OZE. Zielony wodór można uzyskać poprzez rozkład wody na wodór i tlen.

LOTOS współpracuje też z polskimi instytucjami naukowymi nad projektami, które mają podnieść efektywność wytwarzania czystego wodoru. Równolegle spółka składa wnioski o ich dofinansowanie w ramach konkursów – zarówno krajowych, jak i unijnych. Mowa m.in. o NCBiR oraz Krajowym Planie Odbudowy.

WODÓR W TRANSPORCIE MORSKIM I KOLEJOWYM

Spółka działa nie tylko globalnie, lecz także lokalnie i angażuje się we wspieranie innowacyjnych rozwiązań w samorządach. LOTOS uczestniczył w tworzeniu Pomorskiej Doliny Wodorowej. Ze względu na swoje szczególne położenie geograficzne spółka interesuje się wdrażaniem wodoru w transporcie morskim. Paliwo przyszedłoby znacząco zmniejszyć emisyjność żeglugi pasażerskiej typu „short sea”. Według założeń Pomorska Dolina Wodorowa ma wygenerować lokalny rynek wodoru o klasie czystości 5.0 o wielkości docelowej 2 tys. ton (do 2030 r.).

Również międzynarodowe podmioty, takie jak International Maritime Organization (IMO), opracowują zmiany regulujące emisyjność w żegludzie morskiej siarki poniżej 0,5 proc. LOTOS posiada również silną pozycję na rynku transportu kolejowego. Firma prowadzi procesy badawczo-rozwojowe dotyczące stworzenia napędu z ogniwami wodorowymi, które mogłyby napędzać lokomotywy.

Aktywnie szukamy więc nowych szans biznesowych w tym obszarze oraz poszerzamy grono naszych partnerów. Tylko dzięki współpracy wszystkich uczestników tego łańcucha wartości możemy realnie wpłynąć na tempo wodoryzacji transportu w Polsce – podkreśla Paweł Jan Majewski, prezes zarządu Grupy LOTOS.

Celem listu intencyjnego pomiędzy miastem Rzeszów a Grupą LOTOS jest podjęcie działań na rzecz potencjalnej współpracy dotyczącej realizacji dostaw wodoru. Porozumienie dotyczy również związanej z tym infrastruktury dla pojazdów z ogniwami paliwowymi FCEB (Fuel Cell Electric Bus), które m.in. zamierzają kupić Rzeszów i podległe mu jednostki. Chodzi

TEST „DO RZECZY”: OPPO RENO 4 PRO 5G

Nowoczesne wzornictwo, bardzo ładny ekran, łączność 5G, niesamowicie szybkie ładowanie baterii oraz ponad 200 GB miejsca na pliki – to największe zalety modelu ze średniej półki cenowej chińskiej firmy Oppo.

Reno 4 Pro 5G to jeden z najcieńszych telefonów na rynku (w najgrubszym miejscu ma 7,6 mm, a dodatkowo konstrukcja jest zwężana po bokach). Jest też stosunkowo lekki (waży 172 g). A atrakcyjnie wyglądająca obudowa łącząca dwie tafle szkła i aluminiową ramkę została wykonana ze starannością charakterystyczną dla smartfonów klasy premium. Oppo standardowo dodaje też do swoich telefonów przezroczyste silikonowe etui.

Na pochwałę zasługuje także wyświetlacz AMOLED o przekątnej 6,5 cala – czerń jest idealnie czarna, kolory są żywe i choć w standardowych ustawieniach nieco zbyt nasyczone, to łatwo można to zmienić, przełączając w ustawieniach na tryb Gentle Screen. Częstotliwość odświeżania na poziomie 90 Hz zapewnia płynność wyświetlanych grafik i animacji. A wysoka jasność maksymalna pozwala używać tego smartfona nawet w ostrym słońcu. Rozdzielczość wynosi 1080 x 2400.

Zaletą testowanego modelu jest też modem 5G, który zapewni dużą szybkość połączenia z Internetem. Ogromnym plusem jest też bateria o pojemności 4000 mAh, do której Oppo dołożyło ładowarkę o mocy 65 W, dzięki czemu naładowanie smartfona od zera do 50 proc. zajmuje tylko kwadrans, a do 100 proc. – nieco ponad 30 minut.

Aparaty sprawiają się nieźle. Zwłaszcza główny obiektyw z przysłoną 48 Mpix o jasności f/1.7 i z optyczną stabilizacją obrazu umożliwia robienie świetnych fotografii. Zdjęcia zrobione w dobrym oświetleniu są ostre, mają dobre odwzorowane barwy i zawierają mnóstwo detali (zwłaszcza przy wykorzystaniu matrycy 48 Mpix). Zdarzają się jednak problemy z właściwym poziomem kontrastu. OPPO Reno 4 Pro 5G nieźle radzi sobie także po zapadnięciu zmroku, zwłaszcza przy wykorzystaniu trybu nocnego – oczywiście pod warunkiem, że nie będzie się poruszać smartfonem przez jakieś 10 sekund.

Gorzej na tle konkurencji wyglądają możliwości teleobiektywu oraz obiektywu ultraszerokokątnego (którego pole widzenia wynosi 120 stopni). W przypadku tego pierwszego zdarzają się problemy z kontrastem i nienaturalnymi kolorami. Fotografie tracą też na jakości w przypadku obiektywu ultraszerokokątnego.

Minusy? Niestety, Reno 4 Pro 5G ma też kilka zaskakujących wad. Po pierwsze, projektanci smartfona zamontowali w nim stosunkowo słaby procesor Snapdragon 765G, znany głównie z tańszych modeli. Dzięki zastosowaniu aż 12 GB pamięci

RAM nie przeszkadza to jednak w codziennych operacjach, ale już podczas eksportowania filmu 5G czy grania w bardziej wymagające tytuły wyraźnie czuć, że Chińczyk mocno tu niestety zaoszczędził.

Jak na smartfona w tej cenie brakuje również pełnej wodoszczelności (jest tylko odporny na zachlapania), ładowania bezprzewodowego oraz miejsca na kartę microSD (na szczęście do dyspozycji jest ponad 200 GB wbudowanej pamięci). Niektórych irytować może również silniczek wibracyjny.

Mimo tych wad chiński średniak jest wart rozważenia przez osoby, które nie muszą oszczędzać, nie potrzebują najmocniejszego procesora, a chciałoby mieć ładny telefon, łączność 5G i wyświetlacz AMOLED. Cena: 3299 zł. ©© **Jacek Przybylski**



MYSZKA NA PALCU

Snowl nie wygląda jak tradycyjna mysz. Urządzenie produkowane przez firmę CoX Space bardziej przypomina pierścionek lub sygnet. I rzeczywiście omawiany gadżet – będący alternatywą dla myszy, gładzika czy wskaźnika – to innowacyjny pierścionek do bezprzewodowej kontroli urządzeń za pomocą

gestów. Dzięki temu, że Snowla można na siebie założyć, łatwiej korzystać się z tego typu myszy choćby w goglach do wirtualnej rzeczywistości. W razie potrzeby z urządzenia można też korzystać w trybie joysticka i obsługiwać wówczas tak jak tradycyjnego „gryzonia”. Nowy gadżet jest kompatybilny z najpopularniejszymi systemami operacyjnymi:

Windows, macOS, Android czy iOS. A na jednym ładowaniu wytrzymuje – według producenta – do 11 godzin. Cena to 99 dol., czyli równowartość niemal 400 zł.



FOT. MATERIAŁY PRASOWE

WYDRUKOWAĆ TORT?

Drukarki 3D zdobywają tysiące nowych klientów i są wykorzystywane do coraz to nowszych zastosowań. Potrafią już drukować z papieru, gumy, metali, betonu czy ceramiki, a z fabrycznych hal przenoszą się także np. do przemysłu spożywczego. Coraz częściej trafiają również pod strzechy. I właśnie do wła-

ścieli domowych drukarek 3D kieruje swój projekt producent modelu Cakewalk 3D, który pozwala przystosować najpopularniejsze na rynku modele drukarek do domowego druku pożywienia. Wystarczy wrzucić składniki, wybrać odpowiedni wzór i nacisnąć „drukuj”. Na gotowym produkcie można jeszcze ponoć nadrukować dekorację z keczupu, guacamole, czekolady, miodu, lukru czy bezy. Cena: 129 dol., czyli równowartość ok. 500 zł. ©©



Jacek Przybylski

O jaką rewolucję chodzi?

Jednym z głównych haseł, które podnoszą protestujący na ulicach, jest „rewolucja”. Obok przekleństw, wyzwisk i zwyczajnych wrzasków pojawia się wezwanie do zmiany dotychczasowego porządku. Tym bowiem jest rewolucja. Chyba że ludzie, którzy mają ją na sztandarach, nie wiedzą, czym ona w istocie jest



Kamil Goral, ekspert Rady Gospodarczej Strefy Wolnego Słowa

Internetowy słownik języka polskiego, objaśniając termin rewolucja, podaje w pierwszej kolejności następującą definicję: „zbrojne wystąpienie dużej części społeczeństwa przeciw istniejącej władzy, mające na celu zmianę ustroju w państwie”. Brzmi ciekawie, nieprawdą? Po pierwsze rewolucja wiąże się z przemocą, co oddaje przymiotnik „zbrojne”. Dalej, ów zryw powinien mieć charakter masowy i wymierzony w aktualnie sprawujących rządy, no i last but not least, chodzi o zmianę ustroju w państwie.

Skupmy się przez chwilę na ostatnim członie tej definicji, czyli owej zmianie ustroju. Nie wynika z niej, o jaki dokładnie ustrój chodzi, ale wnioskować można, że zmiana powinna mieć charakter holistyczny, całkowity. Tak widzieli to np. komuniści, którzy dokonywali przewrotu w 1917 r., podobnie zresztą było w 1789 r., kiedy rewolucja szalała we Francji. Chodzi zatem o wprowadzenie nowych zasad funkcjonowania wspólnoty politycznej, którą jest państwo.

Zastanówmy się teraz, czy te zasady mogą dotyczyć kwestii

ekonomicznych. Nie, powie ktoś, kto obserwuje sytuację, przecież na protestach nie ma haseł odnoszących się do sfery gospodarczej. Taka odpowiedź byłaby jednak zbyt uproszczona. Trudno wyobrazić sobie rewolucję, która nie dotykałaby tak ważnej sfery życia społecznego, jaką jest gospodarka. Takie myślenie to dowód na naiwność tego, kto tak uważa. Praktycznie każda rewolucja w ostatnich wiekach dotykała sfery ekonomicznej. Podczas nich wszystkich dochodziło do wywłaszczeń, przejmowania majątków czy tworzenia nowych elit, dysponujących przejmowanymi zasobami.

Nie czas tu i miejsce na szczegółowe opisy i dowody historyczne, warto jednak pamiętać, że od 1517 r. (bunt Lutra), każdy przewrót oznaczał, że kogoś pozbawiano dóbr i przekazywano je komuś innemu. We wspomnianym 1517 r. obrabowano Kościół katolicki. Czy grabieże nie były cechą charakterystyczną rewolucyjnej Rosji i późniejszego Związku Sowieckiego? Czy nie dokonywały się wówczas kolektywizacja, rozkułaczanie i inne formy okradania ludzi? To oczywiście pytania retoryczne.

Popatrzmy także na bunt znany pod nazwą Black Lives Matter w Stanach Zjednoczonych. Zwykle akty wandalizmu połączone były z kradzieżą, brakiem szacunku dla własności prywatnej, płądrowaniem sklepów etc. W Polsce najpewniej najbardziej zradyzalizowana część rewolucjonistów jest za słaba, aby sobie na takie rzeczy pozwolić, ale gdyby tylko mogli...

Kiedyś komuniści twierdzili, że trzeba zmienić bazę (brednie w rodzaju uspołecznienia środków produkcji poprzez wywłaszczenie kapitalistów), żeby zmieniła się świadomość, czyli nadbudowa, którą w uproszczeniu traktować można jako kulturę czy wzorce postępowania. Teraz działania zmierzają w odwrotnym kierunku, chodzi o zmianę świadomości, która niechybnie wpłynie na sferę związaną z bytem. A takie zmiany

dotykają wszystkich, i jak pokazują doświadczenia komunizmu, mają opłakane skutki.

Dlaczego piszę o tym w kontekście protestów, które przelewają się obecnie przez Polskę? Dlatego, że traktuję groźby o rewolucji u bram bardzo poważnie. Nie wierzę, że tym ludziom uda się teraz tę rewolucję przeprowadzić, mam jednak obawy, co, jeśli kiedyś im się to uda. Nie musi to być bunt uliczny, wyobraźmy sobie jednak, że te rewolucyjne poglądy zdobędą większość w wyborach. Bo wyborcy pomyślą, że z tą rewolucją to takie gadanie, ot zwykłe krzyki, przecież oni nie mówią na poważnie. Ja jestem przekonany, że mówią. I jako analityk gospodarki wiem, co mogłoby to oznaczać w praktyce. Lewica w wielu krajach już snuje plany wprowadzenia dochodu podstawowego, królują tam także poglądy mające swoje źródła w skrajnym ekologizmie. Ich efekty mogą być opłakane dla rolnictwa czy bezpieczeństwa energetycznego, powodując potężne zagrożenie dla całej gospodarki. Podobnie zresztą jak dochód podstawowy, czyli w praktyce utrzymywanie obywateli przez państwo. Skąd to państwo ma brać na to pieniądze, kiedy nie mający żadnej motywacji do aktywności zawodowej obywatele nie będą podejmować pracy?

Tak ta rewolucja może wyglądać w praktyce, kto nie wierzy, że takie plany są, niech sięgnie chociażby po założenia raportu Green New Deal forsowanego jakiś czas temu przez część coraz bardziej lewicującej Partii Demokratycznej w USA. Taka rewolucja może się wydarzyć naprawdę i dlatego warto, a nawet trzeba przed tym ostrzegać, bo jak uczy historia to może być tylko początek!

www.radagospodarcza-sws.pl
www.fpg24.pl

Rada Gospodarcza
STREFY WOLNEGO SŁOWA

Ten program zmienił życie



Katarzyna Pinkosz

Życie osób z SMA diametralnie się zmieniło dzięki leczeniu, które pojawiło się w ostatnich latach, a była to choroba, która często już w pierwszym roku życia prowadziła do niepełnosprawności lub zgonu. – Walczymy o wprowadzenie badań przesiewowych u noworodków w kierunku SMA, dzięki temu mogą być leczone, zanim pojawią się pierwsze objawy choroby – mówili eksperci podczas debaty „Do Rzeczy”

Profesor Maria Mazurkiewicz-Beldzińska, kierownik Kliniki Neurologii Rozwojowej UCK Gdańskiego Uniwersytetu Medycznego, podkreśla, że do niedawna rdzeniowy zanik mięśni (SMA) to był wyrok. W wyniku mutacji, do której dochodzi w genach, w organizmie brakuje białka SMN1, co powoduje, że dziecko traci po kolei umiejętności ruchowe. Przy SMA1 objawy ujawniają się już w pierwszych sześciu miesiącach życia: takie dziecko nigdy nie było w stanie samodzielnie siedzieć, zwy-

kle już w pierwszym roku życia musiało być wspomagane oddechow. Przy SMA2 (objawy ujawniają się pomiędzy 6. a 12. miesiącem życia) dziecko nie miało szans nigdy samodzielnie chodzić. Przy SMA3 (objawy pojawiają się po pierwszym roku życia i później) zaczynało chodzić, ale z czasem traciło zdolności ruchu.

W 2016 r. dokonana się rewolucja: pojawił się nusinersen, pierwszy lek, który hamuje postęp choroby, a w niektórych przypadkach powoduje nawet jej cofanie. Gdy lek nie był jeszcze dostępny w Polsce,

część rodziców decydowała się na emigrację, szukała pomocy w Niemczech, we Włoszech, we Francji. Od stycznia 2019 r. terapia jest już dostępna w Polsce. Leczeniem objęto wszystkich chorych na SMA, bez względu na wiek, podtyp choroby i stan jej zaawansowania, co było ewenementem w Europie. – Dzięki temu leczeniu podziały na podtypy można już dziś uznać za historyczne. Widzę dzieci z SMA1, które siedzą, chodzą, normalnie funkcjonują. To rewolucja – ocenia prof. Maria Mazurkiewicz-Beldzińska.

Na ok. 1000 pacjentów z SMA w Polsce, dzięki zaangażowaniu lekarzy, do dziś udało się włączyć do programu lekowego już 660 pacjentów. Co ok. 4 miesiące przychodzą do szpitala; lek podaje się drogą nakłucia lędźwiowego, do kręgosłupa. – Od początku funkcjonowania programu lekowego jedynie 20 pacjentów zostało wyłączonych z programu z powodu trudności podania leku, ani razu jednak przyczyną wyłączenia nie była nieskuteczność terapii. Już to pokazuje, jak to leczenie jest skuteczne. Oprócz tego posługujemy się specjalnymi skalami, które pokazują efekty terapii – mówi prof. Katarzyna

Kotulska-Jóźwiak z Kliniki Neurologii i Epileptologii Instytutu Pomnik-Centrum Zdrowia Dziecka.

IM WCZEŚNIEJ, TYM LEPIEJ

Zanik mięśni, do którego dochodzi w SMA, trudno cofnąć, dlatego leczenie trzeba zaczynać jak najwcześniej. Najlepiej, kiedy już wiadomo, że dziecko ma wadliwy gen, ale nie wystąpiły jeszcze objawy choroby. – Wyniki badania klinicznego NURTURE, w którym zaczęto podawać lek dzieciom w pierwszych sześciu tygodniach życia, jeszcze zanim wystąpiły objawy choroby, były rewelacyjne. U wszystkich dzieci było widać poprawę czynności ruchowych. Okres obserwacji był ponad czteroletni, dzieci osiągały kroki milowe w rozwoju, podobnie jak zdrowi rówieśnicy. Wszystkie samodzielnie siedziały, 88 proc. samodzielnie chodziło, a większość z nich osiągała te umiejętności w typowym dla zdrowego dziecka okresie. Normalnie te dzieci nigdy nie byłyby w stanie się przemieszczać – dodaje prof. Maria Mazurkiewicz-Bełdzińska.

Lekarze starają się rozpocząć leczenie, zanim wystąpią pierwsze objawy. Najmłodszemu dziecku w Polsce podano lek już w 20. godzinie życia. Tak wczesne rozpoczęcie terapii jest możliwe na razie tylko wtedy, gdy w rodzinie jest już starsze dziecko z SMA: dzięki badaniom prenatalnym można wykryć chorobę u młodszego rodzeństwa, zanim przyjdzie na świat. Tak jak u Helenki, która pierwszą dawkę leku dostała, gdy miała dwa tygodnie. Dzisiaj ma cztery lata, zdrowiem i energią nie ustępuje rówieśnikom. Jej starsza siostra jest w stanie porozumiewać się tylko za pomocą ruchów gałek ocznych, oddychanie musi wspomagać respirator. Prawdopodobnie gdyby Helenka nie dostała leku, dziś też byłaby w podobnym stanie.

Jednak dziecko z SMA może urodzić się także w rodzinie, w której wszyscy do tej pory byli zdrowi. Dlatego eksperci mocno apelują, by do badań przesiewowych u noworodków dołączyć badanie w kierunku SMA. – Dzisiaj rozpoczęcie leczenia w pierwszych dniach życia jest możliwe tylko wtedy, gdy w rodzinie jest ciężko chore dziecko i przeprowadzi się diagnostykę prenatalną. Bardzo byśmy chcieli, by wczesne rozpoczęcie leczenia stało się możliwe także w rodzinach, w których pojawia się pierwsze dziecko z SMA. Wszystkie obserwacje i badania kliniczne pokazują, że leki są najbardziej skuteczne, gdy podaje się je w okresie przedobjawowym – dodaje prof. Anna Kostera-Pruszczyk, kierownik

Posłanka Barbara Dziuk, przewodnicząca Parlamentarnego Zespołu ds. Chorób Rzadkich:

Cieszę się, że dzięki wiedzy ekspertów, a przede wszystkim współpracy między lekarzami, pacjentami i decydentami udało się stworzyć tak dobry program leczenia SMA, który może być wzorem dla innych krajów i tak wielu osobom pomaga. Możemy wiele osiągnąć wspólnymi siłami, dialogiem i empatią dla drugiego człowieka. Moje biuro poselskie jest zawsze otwarte dla osób, które potrzebują pomocy, zobowiązuję się, że będę państwa głosy wspierać, deklaruję pomoc, ponieważ każdy człowiek jest największą wartością. Jesteśmy po to, by pomagać.

Zawsze staram się przekonywać nieprzekonanych, że trzeba pomagać, szczególnie osobom dotkniętym przez los, które spotyka jakaś tragedia lub trudna sytuacja. Czuję się zobowiązana, by pomóc, chcę być państwa ambasadorem i wspierać wszystkie działania mające na celu poprawę sytuacji pacjentów z tą trudną chorobą.

Prof. Anna Kostera-Pruszczyk, kierownik Katedry i Kliniki Neurologii Warszawskiego Uniwersytetu Medycznego:

Dziękujemy pani poseł za te ważne słowa dotyczące wspierania osób najbardziej potrzebujących, które zmagają się całe życie z potężną niepełnosprawnością. Pacjenci z SMA, mimo swojej choroby i niepełnosprawności, często starają się żyć „na pełnej petardzie”: studiują, jednym palcem na tablecie starają się prowadzić niezależne życie, na miarę swoich możliwości. Z obcowania z tymi osobami ja i cały mój zespół czerpiemy ogromną siłę. Bardzo bym chciała, żeby terapia SMA w Polsce stała się modelem i wzorem, na którym będziemy bazować, opracowując kolejne programy leczenia dla innych chorób rzadkich.

Dr n. med. Jakub Gierczyński, ekspert systemu ochrony zdrowia, członek Rady Ekspertów przy Rzeczniku Praw Pacjentów:

Jeszcze do niedawna osoby z SMA były skazane na inwalidztwo i śmierć, teraz nastąpiła dla nich nowa era: zahamowanie rozwoju choroby i szansa na normalne życie. Co ważne, Zespół Koordynacyjny mierzy rzeczywiste efekty leczenia każdego pacjenta leczonego w programie lekowym z użyciem nusinersenu. Terapia nusinersenem jest terapią wysoko kosztowo-efektywną. To jedna z nielicznych terapii przyczynowych w chorobach rzadkich. Rewolucja, która się dokonała, jest zasługą pracy 29 ośrodków klinicznych, w tym 16 pediatrycznych i 13 ośrodków dla dorosłych. Lepsza wycena jest konieczna, by ośrodki mogły nadal dobrze funkcjonować. Możemy chwalić się programem leczenia SMA w Polsce, jesteśmy pod tym względem liderem w Europie. COVID-19 unaoczniał nam jednak, że najważniejsze są kadry, dlatego musimy wesprzeć pracę ośrodków neurologicznych zajmujących się leczeniem pacjentów.

Prof. Katarzyna Kotulska-Jóźwiak, przewodnicząca Zespołu Koordynacyjnego do spraw Leczenia Chorych na Rdzeniowy Zanik Mięśni, Klinika Neurologii i Epileptologii – Instytut Pomnik-Centrum Zdrowia Dziecka:

Mimo pandemii COVID-19 staramy się w miarę normalnie funkcjonować, zapewniając pacjentom podawanie leczenia. Jeśli szpital jest częściowo wyłączony z powodu sytuacji epidemicznej, to zdarza się, że przesuwamy termin podania leku, a jeśli to nie jest możliwe, to przesuwamy pacjentów do innego ośrodka. Pokazuje to, jak bardzo ośrodki są zaangażowane w opiekę nad pacjentami z SMA. To modelowy przykład naszej solidarności i solidarności nas ze środowiskiem pacjentów. Bardzo jednak jest potrzebne połączenie już funkcjonującego programu ze skriningiem noworodków, żeby już najmłodsze dzieci były obejmowane leczeniem, zanim pojawią się u nich objawy choroby. Wszystkie leki dla chorych na SMA (obecnie są zarejestrowane trzy terapie, w tym jedna dostępna w Polsce) są najskuteczniejsze, gdy zostaną wcześniej podane.

Prof. Maria Mazurkiewicz-Beldzińska, przewodnicząca Polskiego Towarzystwa Neurologii Dziecięcej, kierownik Kliniki Neurologii Rozwojowej UCK Gdańskiego Uniwersytetu Medycznego:

Walczymy o wprowadzenie badań przesiewowych, by jak najszybciej włączać do leczenia pacjentów, którzy są bezobjawowi, u których dopiero w przyszłości ujawni się efekt defektu genetycznego. Skuteczność kliniczna leczenia jest wysoka, efektywność kosztowa także. Dziecko, które wymagałoby od systemu ochrony zdrowia nieprawdopodobnej opieki – ponieważ traci sprawność, a w przypadku najcięższego podtypu choroby także możliwość samodzielnego jedzenia, oddychania – dzięki leczeniu, może w miarę normalnie funkcjonować. Oczywiście nadal potrzebuje rehabilitacji, stymulowania rozwoju, nie potrzebuje jednak respiratora czy opieki anestezjologicznej. Liczymy na kontynuację programu, badania przesiewowe i wprowadzanie nowych terapii dla pacjentów.

Dorota Raczek, prezes Fundacji SMA:

Cieszymy się z tego, co już udało się osiągnąć, jednak stoimy przed kolejnymi wyzwaniem: przedłużenie kontynuacji leczenia nusinersenem, wprowadzenie badań przesiewowych noworodków w kierunku SMA, wprowadzanie kolejnych terapii, które pojawiają się na świecie. Bardzo ważna jest dla nas też opieka koordynowana: do tej pory koordynatorem opieki nad dzieckiem był rodzic. Zależy nam na tym, żeby to usystematyzować, by w programie lekowym było zapisane, jak powinna wyglądać kompleksowa opieka nad osobą z SMA i jak taką opiekę koordynować.

Agnieszka Wernik, zastępca dyrektora Departamentu Strategii i Działań Systemowych w Biurze Rzecznika Praw Pacjenta:

Dzięki współpracy z organizacjami pacjentów bardzo dobrze znamy wskazane tutaj postulaty pacjentów i lekarzy, takie jak wprowadzenie badań przesiewowych czy opieki koordynowanej. Staramy się jej wspierać. Również w przypadku tej grupy pacjentów ujawniają się trudności z funkcjonowaniem transportu sanitarnego, jest to niestety ogólny problem systemu ochrony zdrowia, który należy przeanalizować. Został też do nas zgłoszony sygnał w zakresie realizacji prawa osoby bliskiej do obecności podczas podawania leku. W tym zakresie będziemy konsultować się z ekspertami z dziedziny medycyny, gdyż niezbędne jest stwierdzenie, czy obecność osoby trzeciej przy podaniu leku nie będzie stanowić zagrożenia epidemicznego lub naruszać bezpieczeństwa zdrowotnego pacjenta.

■ Katedry i Kliniki Neurologii Warszawskiego Uniwersytetu Medycznego.

Dorota Raczek, prezes Fundacji SMA, mówi, że w rodziców dzieci z SMA wstąpiła nadzieja w 2019 r. – Efekty leczenia są spektakularne, dlatego dziś tak bardzo ważne jest wprowadzenie badań przesiewowych. Dzięki temu udałoby się zdiagnozować ok. 50 niemowląt rocznie, które rodzą się z tą chorobą, i jak najszybciej podać im lek, który uratuje im życie i zapobiegnie niepełnosprawności – mówi Dorota Raczek. Eksperci mają nadzieję, że pilotaż programu badań przesiewowych noworodków w kierunku SMA rozpocznie się (tak jak to było wcześniej zapowiadane przez Ministerstwo Zdrowia) od stycznia 2021 r. Początkowo pilotaż miał objąć trzy województwa: mazowieckie, łódzkie i świętokrzyskie. Programy badań prze-

siewowych już funkcjonują m.in. w Niemczech, Belgii, we Włoszech.

ODZYSKIWANIE SPRAWNOŚCI

Chociaż najbardziej spektakularne efekty leczenia widać u dzieci, u których jeszcze nie wystąpiły objawy, to zatrzymanie choroby, a najczęściej stopniową poprawę widać także u starszych dzieci i dorosłych. Również tych, którzy byli na początku leczenia bardzo niesprawni. Widzimy zatrzymanie choroby, co jest wielkim sukcesem, ale w miarę podawania kolejnych dawek leku obserwujemy też, jak pacjenci odzyskują utracone zdolności. Efekty są różne u poszczególnych osób: może być to poprawa sprawności ręki, co jest niesłychanie ważne dla każdego w codziennym funkcjonowaniu, szczególnie dla osób na wózku inwalidzkim, skrócenie

czasu konieczności stosowania respiratora, wydłużenie odcinka, który pacjent jest w stanie przejść samodzielnie – mówi prof. Anna Kostera-Pruszczyk.

Zmianę w życiu zauważają też pacjenci. – Moja córka ma 13 lat, choruje na SMA typ 3, widzę nadzieję w jej oczach, gdy idzie na kolejne podanie leku. We mnie też wstąpiła nadzieja, że uda się chorobę zatrzymać, a ciężką pracą i rehabilitacją spowodować, że córka będzie mogła w miarę normalnie funkcjonować – dodaje Dorota Raczek. Fundacja zbiera świadectwa pacjentów, jak działa leczenie. – 67-letni pacjent mówi, że lepiej rusza ręką, może dłużej siedzieć, sam zostać w domu. Pacjenci mają nadzieję, że teraz już będzie tylko lepiej – zaznacza Dorota Raczek.

POTRZEBNA KROPKA NAD „I”

To, że tak szybko udało się objąć programem tak dużą grupę dzieci i dorosłych z SMA w Polsce, jest spowodowane ogromnym zaangażowaniem w program lekarzy i ośrodków leczenia. Problemem jest jednak to, że procedury związane z podaniem leku oraz opieką koordynowaną, konieczną dla pacjenta, są zbyt nisko wycenione przez NFZ. Szpitale, w których znajdują się ośrodki leczenia, muszą do pacjentów „dopłacać”. Dlatego eksperci apelują o lepsze wyceny. – Część pacjentów musi otrzymać znieczulenie ogólne przed podaniem leku, często jest też konieczne wykonanie tomografii komputerowej. Powoduje to, że pracownia TK jest na dłuższy czas wyłączona z normalnego funkcjonowania. Refundacja NFZ w tym przypadku powinna być wyższa – mówi prof. Katarzyna Kotulska.

Pacjent, który przychodzi na podanie leku, często powinien być też oceniony przez innych specjalistów, m.in. pulmonologa, ortopedę, fizjoterapeutę, tymczasem szpital dostaje ze strony płatnika refundację tylko za procedurę związaną z podaniem leku. Lekarze dbają, by pacjenci byli zbadani, jeśli to jest potrzebne, jednak opieka koordynowana wymaga też właściwej wyceny ze strony NFZ. – Tutaj nie chodzi o pensje pracowników, tylko o funkcjonowanie ośrodków. Muszą być adekwatnie wycenione praca specjalistów, transport pacjentów do ośrodka, diagnostyka. Polska jest liderem leczenia SMA dzięki pracy ośrodków neurologicznych. Musimy je jednak wesprzeć, by program dalej dobrze funkcjonował – apeluje dr n. med. Jakub Gierczyński, ekspert systemu ochrony zdrowia.

© Wszelkie prawa zastrzeżone



JACEK KOMUDA

PRZEWODNIK TURYSTYCZNY PO I RZECZYPOSPOLITEJ

Skarb na zamku w Rawie

Zamek książąt mazowieckich w Rawie, zbudowany w drugiej połowie XIV w., znany był nie tylko z potężnych murów, których ostatki w postaci wieży i południowego narożnika możemy podziwiać dzisiaj, ale tzw. skarbcza kwarciany, który przechowywano w tym miejscu od połowy XVI w. W 1563 r. sejm pod wpływem szlacheckiego ruchu egzekucyjnego uchwalił pierwszy stały podatek na obronę granic Korony zwany kwartą. Nazwa brała się stąd, że była to jedna czwarta (od łacińskiego „quarta pars”) dochodu z dóbr królewskich pozostających

kwestie poboru tego podatku, który odtąd dawał niewielki, ale względnie stały dochód. Składano go właśnie na zamek w Rawie, tworząc w ten sposób „skarb kwarciany”.

Niestety, jak łatwo się domyślić, w okutych żelazem skrzyniach na zamku uświadczyć można było najczęściej pustki, stąd też owo określenie „skarbu kwarcianego” rychło zmieniło się w prześmiewczy synonim określający wiecznie pusty skarbiec, którym jak na ironię zarządzała cała komisja składająca się ze starosty rawskiego, podskarbiego i po dwóch deputatów z senatu i izby poselskiej. Chociaż po 1569 r. dochody z kwarty osiągały co roku ok. 100 tys. zł, to skarb bez przerwy zalegał z żołdem dla wojska. Działo się tak, ponieważ kwartę płacono albo z opóźnieniem, albo zwyczajnie defraudowano. Na przykład po śmierci króla Zygmunta Augusta zaległości wobec wojska wypłacono królewskim dworzanom, a nie zaciężnym rotom, których liczebność wynosiła w 1569 r. 2774 konie, a rok później doszła do ponad 3 tys. jazdy. Skarb kwarciany utrzymywał je z wielką trudnością. A jeśli nawet znalazły się tutaj jakieś większe kwoty, to w czasach zaburzeń i rokoszy zdarzało się, że starosta lub burgrabia obracali je na potrzeby swojej frakcji politycznej. Tak w 1587 r. starosta rawski Stanisław Gostomski wypłacił leżące w skrzyniach 80 tys. zł kwarty Janowi Zamoyskiemu popierającemu wybór królewicza Zygmunta Wazy i walczącemu ze stronnikami drugiego kandydata – arcyksięcia Maksymiliana Habsburga.

Poza funkcją skarbcza zamek w Rawie służył jako więzienie, gdzie osadzano ważnych więźniów i jeńców. Od 1563 do 1569 r. siedział tutaj Krzysztof Meklemburski, koadiutor arcybiskupa ryskiego, który w porozumieniu

z królem Szwecji Erykiem XIV usiłował bezprawnie zająć arcybiskupstwo. Ostatecznie uwolniony został przez króla Zygmunta Augusta. Kolejnym był w 1578 r. Jan Gostomski, syn wojewody rawskiego, który bez wiedzy ojca przeszedł na luteranizm i został zamknięty przez ojca „dla wiary”. Następnie siedział w Rawie Gradowski, syn Wawrzyńca, cześnika sochaczewskiego, oskarżony o to, że bawiąc się nekromancją, poprzez czarnoksiężskie inkantacje chciał pozbawić życia króla Stefana Batorego. Później osadzono tutaj kozackiego watażkę Jana Podkowę, który usiłował zdobyć Mołdawię, i Moskali wziętych do niewoli w czasie wyprawy Batorego na Psków w 1581 r. Od 1601 r. zaś nieślubnego syna króla Szwecji Karola IX Sudermańskiego – Carla Carlssona Gyllenhielma, który ponoć przez sześć lat zakuty był w kajdany. Do niewoli został wzięty w czasie wojny w Inflantach, po kapitulacji Wolmaru. Ostatecznie wymieniono go na Karola Koreckiego pochwyconego przez Szwedów w czasie podróży po Europie.

Zamek w Rawie już pod koniec XVI w. był przestarzały i nadszedł czas jego rozbioru. W czasie potopu zniszczyli go Szwedzi, którzy ograbili budowlę, zdewastowali, a następnie częściowo wysadzili w powietrze. Po najeździe przywrócono twierdzę do stanu używalności, przynajmniej na tyle, aby mógł zatrzymać się tutaj król Jan Kazimierz goniący za uciekającym rokoszantem Jerzym Lubomirskim. Ostateczny cios zadały zamkowi kolejne najazdy szwedzkie w czasie wielkiej wojny północnej i pożar, który wybuchł w 1766 r. Od 1794 r. popadał w ruinę, a Prusacy do 1806 r. rozebrali i wyburzyli większą część gotyckiej budowli. ©©



FOT. B. PODWIELSKI



w rękach dożywotnich dzierżawców – głównie magnatów. Zamiast przekazywać ją królowi, wpłacali na utrzymanie stałego wojska, które aż do 1652 r. zwało się wojskiem „kwarcianym” i zwykle przebywało na Ukrainie i w południowo-wschodnich częściach kraju, broniąc go przed najazdami Tatarów oraz buntami Kozaków. W praktyce kwarta, którą zaczęto wybierać dopiero w 1566 r., stanowiła jedną piątą, a nie jedną czwartą część dochodów z królewskich ziem, i w XVI w. dawała ok. 80–100 tys. zł rocznego dochodu. Ostatecznie dopiero na sejmie w Lublinie w 1569 r. uregulowano

MONIKI JAROSIŃSKIEJ TĘSKNOTA ZA POLSKĄ KUCHNIĄ

Uwielbiam stać za garni, a gotowanie to dla mnie prawdziwa przyjemność. Nie mogę powiedzieć, abym miała jakąś swoją ulubioną kuchnię, ale z racji tego, że od kilku lat mieszkam na Malcie – bardzo tęsknię za kuchnią polską. Zwłaszcza teraz, gdy ze względu na pandemię nie mogę tak często wracać do kraju. Nie wszystkie tak popularne w Polsce produkty są na Malcie łatwo dostępne, czasem muszę trochę „oszukiwać”, zastosować jakiś zamiennik, ale zawsze jest pysznie! Ostatnio zrobiłam nawet pierogi z kapustą i grzybami. Dzisiaj mam przepis na stroganowa – danie, które co prawda łączy tradycje kuchni francuskiej i rosyjskiej, ale w Polsce zyskało bardzo dużą popularność.

Składniki:

- 400 g wołowiny (bez żyłek)
- 1 cebula
- dwie szklanki bulionu
- 6 pieczarek średniej wielkości
- 2 małe kiszzone ogórki
- ząbek czosnku
- pół kieliszka czerwonego wina
- mały koncentrat pomidorowy (80 g)
- 2 łyżki gęstej śmietany
- mąka
- pieprz, sól, kminek, majeranek
- 2 łyżki oliwy z oliwek do podsmażenia

Przygotowanie:

Wołowinę (najlepiej połówkę, ważne, by mięso nie było zbyt duże), kroimy na drobne, cienkie paseczki i oprószamy mąką. Na rozgrzanym oleju podsmażamy mięso przez ok. 5–6 min. Przekładamy do garnka. Kroimy pieczarki, cebulę

oraz ogórki (te ostatnie w cienkie, długie paski) i wszystko to podsmażamy na oliwie po mięsie. Dolewamy pół kieliszka czerwonego wina i dusimy kilka (7–8) minut. Następnie zawartość patelni przelewamy do garnka z wołowiną, zalewamy bulionem, zagotowujemy, dodajemy ząbek czosnku, doprawiamy solą, pieprzem, kminkiem i majerankiem, a po ok. 15 min gotowania dodajemy koncentrat pomidorowy. Gotujemy jeszcze ok. 40 min (możemy w trakcie gotowania uzupełniać wodą), po czym studzimy trochę i dodajemy gęstą śmietanę, zahartowaną wywarem z garnka.

Możemy podawać z pieczywem, ja bardzo lubię wersję z tradycyjnymi polskimi kopytkami lub z włoskimi kluseczkami i gnocchi. ©©

oprac. raw

Monika Jarosińska jest aktorką i piosenkarką.



FOT. FORNIMMAZODIOPROM



JOANNA BOJAŃCZYK

NIEPRAKTYCZNA PANI DOMU

Uciekła mi przepióreczka...

Uciekła mi przepióreczka w proso, a ja za nią, nieboraczek, boso...”. Kto jeszcze pamięta tę starą ludową piosenkę? A co to takiego proso? Szczyt mody na kaszę jaglaną mamy za sobą, ale wiedza, skąd właściwie się ona bierze, wciąż nie została uzupełniona. Proso, bo z niego jest kasza jaglana, kiedyś strawa biednych ludzi, dzisiaj healthy food. Kiedyś jadły to kury, wtedy, kiedy jeszcze łąziły po podwórku, a nie tkwiły uwięzione w klatkach baraków pod Żurominem. Przepiórki, jak widać, też za prosem przepadały. To jedno z najdłużej uprawianych zbóż, wzmianki o nim są w Biblii, w starych chińskich tekstach, w literaturze ludowej. Może i nie za dobre to proso, za to źródło błonnika, białka, magnezu, manganu, fosforu i miedzi. „American Heart Journal” podał nawet, że przyczynia się do spowolnienia zmian miażdżycowych. W Polsce jeszcze w latach 70. uprawiano je na 12 tys. ha. Teraz, jak podaje Główny Urząd Statystyczny, już tylko na czterech tysiącach hektarów. Nawet dla kur się nie opłaca. Kura przemysłowa ma jadłospis też przemysłowy.

Aowies? Owsianka była długo przekleństwem stołówekowych śniadań. W czasach PRL, kiedy funkcjonowała u nas instytucja czasów pracowniczych, co dzień rano na stoliki urlopowiczów wjeżdżała waza owsianki. Często z pływającymi w niej

kożuchami mleka, niestety. To wystarczyło, żeby nieszczęsną zupę mleczną zmienić na zawsze. Aż tu nieoczekiwanie pocziwa owsianka doznała metamorfozy. W nowej odsłonie, bez kożuchów, nawet bez mleka, tylko na surowo, zaledwie namoczona, za to z jogurtem, owocami, orzechami rozpoczęła nową karierę. Pod nowym nazwiskiem „musli”, wszak „owsianka” brzmiało zbyt plebejsko. Stała się jednym z najpopularniejszych śniadań dla dbających o zdrowie, główną pozycją magazynów o żywieniu. Podbiła hipster-



FOT. ADRIAN STOCK

skie serca i żołądki. Mnie z owsianką, przepraszam – musli, wiąże osobiste wspomnienie. Całkiem niedawno jadłam ją w szpanerskim nowojorskim hotelu w Soho, gdzie każdy przedmiot, każde danie w karcie, każde mydło i każde krzesło były najmodniejsze. Owsianka też była najmodniejsza, ale jaka! Wspominam ją do dziś – jej kremową konsystencję, łagodny lekko słodkawy smak z orientalną, ostrą nutą i cynamonem na czele. Choć nie udało mi odtworzyć tego smaku w domowych warunkach. A na list do hotelu z prośbą o przepis nie dostałam odpowiedzi. ©©

OSTRY DYŻUR PRAWNICZY

czwartek
17:40

zaprasza **Adrian Stankowski**



IGOR ZALEWSKI

POD WĄS

Kim jesteś, młody człowieku?

Dziaders to piękny neologizm, muszę przyznać. U mnie w rodzinie już się przyjął, choć – nie wiem dlaczego – stosuje się go głównie w stosunku do mnie. Nie wykluczam, że mężczyźni po pięćdziesiątce będą kolejną grupą, która wyrazi swój sprzeciw wobec tego, jak się ich, to jest – przepraszam – nas, traktuje.

Nie chcąc być jedynym rodzinnym dziadersem, próbowałem przyczepić tę łatkę psu, który co prawda nie mówi nikomu, jak ma żyć, ale strasznie dziaduje, czyli sępi jedzenie. Niestety, do psa dziaders się nie przykleił, a kiedy spytałem dlaczego, usłyszałem, że jako szczeniak nie puszcza bezgłośnych, ale dość cuchnących bąków, co się zdarza osobom w pewnym wieku. – A ja puszczam? – chciałem zaprotestować, ale uświadomiłem sobie, że pytaniem tym zapuściłbym się na tereny dość dla mnie grzaskie. No i jestem samotnym dziadersem.

Ostatnie kilka lat pokazuje nam, dziadersom, jak niewiele wiemy o młodych ludziach, którzy są wszak często naszymi dziećmi lub wnukami, więc można przyjąć założenie, że czasem się z nimi spotykamy, a nawet rozmawiamy. Ostatnie wydarzenia i skala protestów po orzeczeniu Trybunału Konstytucyjnego zaskoczyły obóz rządowy, co oznacza, że PiS nie zauważył, iż rok 2015 przeminał. A to wtedy ówczesni nastolatkiowie organizowali grupy rekonstrukcyjne żołnierzy wyklętych, tatuowali sobie orły i symbole Polski Walczącej,

kupowali ciuchy w Red Is Bed oraz cisnęli bekę z Platformy Obywatelskiej. Sam Adam Michnik był przerażony tymi „gówniarzami” i wydawał się mocno zaskoczony tym, że wieloletnia dominacja liberałów w mediach przyniosła tak niespodziewany plon.

Problem w tym, że tych „gówniarzy” już nie ma. Postarzeli się, obrazili się na PiS, zaczęli pracę lub założyli rodziny i nie mają czasu na pierdoły. Pojawili się nowi, dla których kryzys klimatyczny jest ważniejszy niż Armia Krajowa. Ale, co ciekawe, tej młodzieży nie rozkminili (trzymając się odpowiedniej poetyki) do końca także ci, którzy ją wyprowadzili na ulice. Skoro serwują jej Michała Boniego czy obywatela Kasprzaka, to widać, że nie pojęli jeszcze, iż nazwiska z rozkładówki weekendowego wydania „Gazety Wyborczej” z lat 90. to nie jest coś, co może kręcić młodzieńca z kolczykiem w nosie. A tym bardziej młodzieńczynię z kolczykiem jeszcze gdzie indziej.

Młodzieńcze fluktuacje ostatnich lat pokazują dwa zjawiska. Pierwsze jest takie, że „młodzież” to formacja bardzo nietrwała i ulotna. Dzisiaj jest taka, za trzy lata może być zupełnie inna. Ideały wkrótce zderzą się z rzeczywistością, a to pozostawi ślady. Drugie – że młodzi ludzie kształtowani są w kontrze do obowiązującej narracji. Dominacja liberałów stworzyła pokolenie prawicowych patriotów. Dominacja prawicy stworzyła lewicowych aktywistów.

A kiedyś i tak wszyscy oni będą dziadersami. I to wcześniej, niż myślą. ©



MARCIN MAKOWSKI

JAK MAKIEM ZASIAŁ

O jednych wolno, o innych nie wypada

Tylko barbarzyńcy walczą z grobowcami i pomnikami – tak wygląda rewolucja PiS – brzmiał tytuł listu, który do „Gazety Wyborczej” w sierpniu 2016 r. wysłał lekarz i wykładowca, prof. Maciej Michalik. Rzecz dotyczyła napisu „KAT” oraz czerwonej gwiazdy na pomniku stalinowskiego prezydenta Bolesława Bieruta, który później, w asyście obiektywu fotoreportera, usunęła „zaniepokojona mieszkanka Warszawy” – w rzeczywistości działaczka Komunistycznej Partii Polski. Dziś, gdy maluje się po fasadach kościołów, karoseriach samochodów, szybach tramwajów, postumentach Jana Pawła II czy Ronaldą Reagana – brakuje podobnych głosów. Wielu dziennikarzy i polityków zapomniało o swoim ówczesnym oburzeniu, przekonując, że młodym ze Strajku Kobiet wypada. Przecież taka jest poetyka rewolucji, a nawet, gdy pójdzie równie daleko, że numer do poradni aborcyjnej znajdzie się na pomniku Armii Krajowej – „spray można zmasać”. I po problemie.

Chociaż zdarzały się chlubne wyjątki, to większość milczała również wtedy, gdy Strajk Kobiet et consortes podawał w mediach społecznościowych prywatne adresy oraz numery telefonów polityków, dziennikarzy, działaczy społecznych, których uznał za wrogich. Przekazane opinii publicznej dane wrażliwe opatrywano hashtagem #wypierdalać.z.poczuciem

misji relacjonowano również „happeningi” pod oknem prof. Krystyny Pawłowicz oraz opisywano, jak strajkujące „wykurzyły Przyłębskich z willi w Berlinie”. Minęło kilka dni i wahał się – niestety – wychyliło się w drugą stronę. – Polscy neofaszyści nawołują w sieci do ataków na kobiety protestujące w sprawie zaostreżenia prawa aborcyjnego. Podali też w sieci adres Marty Lempart, jednej z liderek Ogólnopolskiego Strajku Kobiet. „Każdego zapraszamy do odwiedzin lub wykonania telefonu i powiedzenia kaszalotowi, co o nim myślicie” – napisali. Poinformowała o tym we wtorek 3 listopada „Wyborcza”.

Czy tak trudno było sobie wyobrazić, że idziemy właśnie w tym, potencjalnie tragicznym kierunku, a naruszania przestrzeni prywatnej i fizycznej nie można usprawiedliwiać żadnym „słusznym gniewem”? Czy w ogóle trzeba tłumaczyć, czym się kończy nakręcanie wariatów w kraju, w którym nie tak dawno chowano Marka Rosiaka i Pawła Adamowicza? To przerażające, że nawet tak podstawowe sprawy jak bezpieczeństwo czy ochrona przestrzeni sakralnej stają się obiektem wystawionym na licytację radykałów i amnezję hipokrytów. W Polsce, bez względu na to, jak rozpalone byłyby nastroje społeczne – bezpiecznie muszą się czuć i Marta Lempart, i Kaja Godek. Inaczej państwo i media kapitulują ze swojej roli, do której nie należy lanie benzyny na ogień. ©



ANDRZEJ NOWAK

Z INNEJ PERSPEKTYWY

Zwierzę pyta o wolność

Człowiek jest zwierzęciem społecznym/politycznym: zoon politikon. Definicja Arystotelesa zakłada, że żyjemy wśród innych ludzi, że inni ludzie są nam do dobrego życia potrzebni. Niby „oczywista oczywistość”. A jednak – niekoniecznie. W relacjach z innymi ludźmi możemy dostrzec pewien ład, budować go i chronić. Zarazem związek z innymi ludźmi to właśnie związek, od słowa: „wiązać”, krępować, trzymać w więzach. Relacje z innymi możemy traktować jako formę zniewolenia. Zniewoleniem może być nie tylko drugi człowiek, lecz także, a może przede wszystkim – natura. Czy wyzwolimy się od natury, od tego, co nam ona narzuca, od uwarunkowań biologicznych (w tym płciowych)? Czy będziemy potrafili stworzyć się na nowo?

A może, odwrotnie, powinniśmy wrócić do natury, poddać się jej? Poprzestać w definicji człowieka na tym tylko, że jest zwierzęciem: zoon. Wykreślić – politikon?

Pojawiają się w naszym życiu pośród innych ludzi pytania o sprawiedliwość, o hierarchię, o współpracę, o rywalizację, w końcu – o sens samego życia? A więc o to, co jest dobre, a co złe? Pomagać słabszym czy nie? Ale kto jest słabszy? Dziecko w brzuchu matki? Czy kobieta z dzieckiem w brzuchu? Kto bardziej zasługuje na współczucie? A czy jest w ogóle miejsce na współczucie w stosunkach z innymi? Czy

jest do tych pytań jakaś obiektywna rama? Rozum, pozwalający nam w wymianie jego argumentów docierać do pewnego ładu, dzięki któremu możemy lepiej żyć, wspólnie z innymi? Czy też pozostaje wyłącznie wymiana ciosów, walka, w której wygrywający (silniejszy) ma rację, a przegrywający po prostu ginie?

To nie są pytania abstrakcyjne. To są kwestie, które wyciągają dziś na ulice Polski, Ameryki, Francji tysiące ludzi. Jedni protestują, gdyż wali się ich ład. Inni występują pod sztandarem emancypacji, coraz śmielej sięgającej nowych pokładów wolności. W jej imieniu pozwala się na to, co jeszcze tak niedawno nazywano chamstwem, barbarzyństwem. I znajduje się do tego usprawiedliwienie, uzasadnienie. A więc znów wracają pytania o sprawiedliwość, o zasady, o ład. I znów zderzają się z wolnością.

Czy jednak wolność w ogóle istnieje? I na czym polega ład? Na pokoju i współpracy? Czy na budowaniu murów, które nas odgradzą od naporu sił chaosu? Na walce o utrzymanie owych murów?

Amerykański uczony, Benjamin Libet, już w 1983 r. przeprowadził eksperyment, w którym starał się ujawnić, że nasza wolność wyboru jest nader ograniczona. Uczestnicy eksperymentu mieli w dowolnym momencie zgiąć palec, kontrolując czas podjęcia tej decyzji. Badanie wykazało, że ok. 0,35 sekundy przed zarejestrowanym świadomie podjęciem decyzji zaczynała się wzmożona aktywność mózgu. Decyzja o ruchu palcem podejmowana była faktycznie przed naszą świadomością. Libet zinterpretował to w taki sposób, że w istocie mamy ułamek sekundy, w ciągu którego możemy „zawetować” ową nieświadomą decyzję naszego mózgu. Liberum veto – to nasza cała wolność. Przy użyciu rezonansu magnetycznego inny neurobiolog,

Chun Siong Soon, w 2013 r. był w stanie potwierdzić, że nie tylko w sprawie konkretnego ruchu (w jego eksperymencie naciskanie klawisza palcem lewej lub prawej ręki), lecz także myślenia abstrakcyjnego (decyzja o dodawaniu lub odejmowaniu dwóch liczb) nasz mózg działa o kilka sekund szybciej niż nasza świadoma wola. W Brukseli powtórzono eksperyment Libeta, łącząc go z badaniem psychologicznego profilu uczestników. To badanie wykazało z kolei, że ludzie bardziej impulsywni mają mniejsze szanse zdążyć w ciągu owego krótkiego „okienka weta” ze swoim sprzeciwem wobec decyzji podjętej przez mózg. A więc jednak różnimy się pod względem możliwości naszej wolnej woli? Jedni mają jej więcej, inni mniej?

Samuel Bowles i Herbert Gintis w opublikowanym w roku 2011 (przez Princeton University) studium udowadniają, że ludzki gatunek wyróżnia się wśród wszystkich innych nie tyle mową, ile zdolnością do altruizmu, wykraczającego poza schemat „samolubnego genu”, to jest poświęcenia wyłącznie dla swoich genów, dla swoich dzieci. Ludzie angażują się w walki międzygrupowe. W tym podobni są jeszcze do szympanów. Wyłącznie ludzie jednak podtrzymują przez pokolenia wspólnotę opartą na walce z innymi grupami i poświęceniu dla członków swojej grupy (choć niekoniecznie spokrewnionych). Bez ksenofobii, bez walki z przedstawicielami innych grup, nie byłoby solidarności i altruizmu. Grupę ludzką połączyła idea wspólnoty, a nie tylko bezrefleksyjna jedność genetycznych interesów.

Czy kiedy rozbijemy wielopokoleniową wspólnotę, wyzwolimy się od niej, ocaleją altruizm, solidarność, zdolność do budowania kultury? Czy stać nas jeszcze na świadome weto wobec impulsu samozniszczenia? ©©

A ja zrobię na żość Kaczyńskiemu i zarazę się wirusem!



Wojciech Cejrowski
korespondencja z USA

Trump wygrał zdecydowanie – dowiedzieliśmy się we wtorek nocą. Ameryka poszła spać. W środę rano Ameryka dowiedziała się, że wygrał Biden. W kraju dotychczas niekomunistycznym odpalono bolszewicki zamach; grabież władzy. Gdy ludzie spali, zdarzyła się seria cudów i zjawisk matematycznie niemożliwych. Oto kilka:

W Wisconsin oddano o 110 000 głosów więcej niż liczba wszystkich osób zarejestrowanych w spisie wyborców. To jeden z tych stanów, gdzie Biden w nocy stracił szansę, a rano cudem odzyskał.

W Michigan „odnaleziono” 138 339 dodatkowych głosów na Bidena i ZERO na Trumpa. Czyli wybiórczo zapodziały się gdzieś wyłącznie Bideny? Takich przypadków nie ma. Gdyby coś zginęło naprawdę, to byłyby tam głosy na wszystkich kandydatów, również na tych niezależnych.

W Pensylwanii podobnie – dodatkowe głosy na Bidena „odnaleziono” w cudowny sposób i dosypywano akurat w tych okręgach, gdzie Bidenu brakowało.

W wielu miejscach głosowali ludzie nieżyjący. Żaden zmarły nie głosował na Trumpa – wszyscy wyłącznie na Bidena. Odnaleziono też tysiące głosów na Bidena oddanych przez tę samą osobę wielokrotnie. Aby ukryć takie rzeczy, liczono głosy ekspresowo – Kalifornia ogłosiła swój wynik sześć minut po zamknięciu lokali.

W Arizonie głosy oddane na Trumpa były masowo unieważniane. Jak? W konserwatywnych okręgach do kart wyborczych komisje dawały ludziom flamastry. Wiele osób wiedziało, że flamaster powoduje unieważnienie głosu, ale gdy dopytywali o to, członkowie komisji upewniali, że tym razem flamaster jest OK. W okręgach, gdzie zawsze przeważają głosy demokratów,



podano zgodne z prawem długopisy. Kolejny cud?

Jest tego więcej, a zjawisko jest masowe. I WSZYSTKIE te przypadki zawsze i wszędzie są na korzyść Bidena. Normalny bałagan byłby dziełem przypadkowym – raz na korzyść jednego, innym razem drugiego kandydata – a tu nie ma przypadków. To próba dokonania oszustwa wyborczego w bitwie o najważniejszy urząd na świecie.

W Arizonie zastosowano także taką sztuczkę, że z okazji wyborów prezydenckich głosowano też w sprawie legalizacji marihuany. To zawsze powoduje, że do wyborów idą młodzi, na co dzień niezainteresowani polityką. Nagle pojawiają się przy urnach i... tam jest opcja VOTE ALL DEMOCRAT, zaznaczasz w jednym miejscu i hurtowo głosujesz, jak leci, na samych demokratów bez patrzenia kto.

Tych zjawisk jest więcej i nie nadążam notować.

Co teraz?

Najpierw sądy – Trump chce, aby głosy „cudownie odnalezione po zamknięciu lokali” nie mogły być brane pod uwagę, podobnie głosy zmarłych. To oznacza Sąd Najwyższy i jest bardzo trudne, bo konstytucja mówi, że organizacja wyborów i sposób liczenia głosów należą do jurysdykcji poszczególnych stanów, a władza federalna ma się do tego nie wtrącać. Czyli trzeba najpierw zakładać procesy na poziomie stanowym, a w stanowych sądach rządzą demokraci. Dbą o to od lat G. Soros znany ze wspierania Nowego Porządku Świata także w UE i Polsce.

Soros założył sieć fundacji rozdających stypendia dla studentów prawa, fundacje te

wspierały potem swoich liberalnych absolwentów w wyborach, popychały ich na stołki sędziów, prokuratorów i... na stanowiska w komisjach nadzorujących wybory. Soros jak Lenin wie, że nie ważne, kto wygrał, ważne, kto liczy głosy. Ma ludzi we wszystkich kluczowych okręgach wyborczych – wszędzie, gdzie może być potrzebna lewacka interwencja. To są informacje oficjalne, którymi chwalił się sam Soros jako osobistym sukcesem.

Manipulacje wyborcze w USA osiągnęły skalę ogromną – przy 100 mln kart wyborczych wysłanych pocztą da się zrobić wiele lewizny. Dlatego też byłem przeciwny głosowaniu pocztowemu w Polsce. Wyborca powinien na własne oczy WIDZIEĆ, że wypełniona przez niego karta wpada do urny. Gdy pomyślisz swoją dłoń a urną kartą przechodzi przez kilka urzędów pocztowych i kilkanaście innych rąk, wówczas szansa na oszustwa wzrasta kolosalnie. W Arizonie odnaleziono przesyłki wyborcze ukradzione ze skrzynek w konserwatywnych okręgach – leżały wyrzucone i ukryte pod kupą kamieni na farmie.

Trump wygrał. Kto tu był, widział entuzjazm i tłumy na jego wiecach oraz zawsze tylko kilkanaście osób u Bidena, ten wie – bo widział. Kto jeździł po Ameryce samochodem i widział, ile było znaków Trumpa spontanicznie wywieszonych wszędzie i na wszystkich, ten wie. Kto widział spalone przez Antifę dzielnice i Murzynów zastrzelonych przez BLM, gdy próbowali bronić swoich biznesów przed grabieżą – ten wie.

Każdy wie, że wygrał Trump, wiedzą też demokraci, więc przygotowali oszustwa wyborcze na skalę nieznaną.

100 mln głosów oddano pocztą. 100 mln, z których część zginie, bo jest tam Trump, a część się odnajdzie, bo trzeba je dosypać Bidenowi. Przy 100 mln kart wysłanych pocztą nie wiemy, kogo ogłosić prezydentem.

Wiemy, kto wygrał, ale nie wiemy, kogo ogłosić...

Wiemy też, że gdyby zwycięzcą ogłosili Bidena, prezydentem będzie KOMUNISTKA K. Harris.

WC

POST SCRIPTUM Czy oszukany naród się zbuntuje, obroni? Czy może jest już wykastrowany tak jak Brytyjczycy i Polacy? Tego nie wiem. Mam nadzieję, że nie, ale... Kastrowanie trwa od lat również w USA. Polityczna poprawność, multi-kulti, terror Antify, a do tego sterowanie dostępem do informacji i uczuciami, gdy Facebook cenzuruje jedne treści, a promuje inne i w końcu zaczynasz myśleć tak, jak chcą. W sieci znajdujesz tylko to, co pozwala retweetować Twitter, a reszty, czyli PRAWDY, nie ma, bo znika wykasowana. Od wtorku cenzurowane są nawet oficjalne tweety urzędującego prezydenta USA.

Jeżeli zniknie USA jako kraj wolny, to zniknie ostatnie miejsce na ziemi, do którego można było uciec od tyranii w innych krajach. Ja mogę się jeszcze zaszyć gdzieś w Ameryce Łacińskiej, czyli w zasadzie poza zasięgiem jakiegokolwiek państwa i systemu, gdzie będę korzystał ze statusu białego człowieka pośród Latynosów i w ten sposób się wybronię.

Ale ja to ja, a mam znajomych, przyjaciół, krewnych – co z Wami?

Jeżeli Trump przegra, to całą planetę pochłonie totalitaryzm pod nazwą Nowy Porządek Świata; bolszewia. ©©

**UWAGA – OD LISTOPADA
NOWE CENY PRENUMERATY**

TYGODNIK LISICKIEGO
**DO
RZECZY**

POŁROČZNA PRENUMERATA

TYGODNIK „DO RZECZY”

WERSJA PAPIEROWA TYGODNIKA
ORAZ DOSTĘP DO E-WYDAŃ W APLIKACJI

**W PREZENCIE PAKIET
KSIĄŻEK**

K. PINKOSZ „ZDROWE DZIECKO? NATURALNIE!”

M. TARASZKIEWICZ, Z. NALEPA „JAK WSPIERAĆ
DZIECI W KRYZYSIE?”



~~300~~ zł

177,00 zł
OSZCZĘDNOŚĆ 213 zł

CO ZYSKUJESZ W PRENUMERACIE?

- Niższą cenę od ceny w kiosku (nawet o 40%)
- Nie przegapisz żadnego wydania
- Atrakcyjne oferty z dodatkowymi produktami
- Każde wydanie trafi do Ciebie pocztą bez dodatkowych opłat
- W cenie dostęp do e-wydania w aplikacji, dzięki temu możesz czytać tygodnik już w niedzielę

JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:

WEJDŹ NA PRENUMERATA.DORZECZY.PL, WYBIERZ I ZAMÓW W WYBRANEJ OFERCIE

WPŁATA NA KONTO: **UWAGA NOWY NR. 33 1600 1462 1816 5874 1000 0006**

ORLE PIÓRO sp. z o.o., Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa

JEŻELI MASZ JUŻ PRENUMERATĘ:

Skorzystaj także z tej oferty, przedłużymy Ci obecnie trwającą prenumeratę, a prezent wyślemy kurierem.

ZOBACZ NASZE OFERTY: **PRENUMERATA.DORZECZY.PL**

WIĘCEJ INFORMACJI

E-MAIL: prenumerata@pmpg.pl

TELEFON: 508 040 664, 539 953 631

INTERNET: prenumerata.dorzeczy.pl

eprasa.pl 7433fb4b02



TAK DBAMY O TWOJE BEZPIECZEŃSTWO



Jedyne w Polsce stacje wyposażone
w specjalistyczne urządzenia
oczyszczające i filtrujące powietrze*



Maseczki i płyny do dezynfekcji w ofercie stacji



Płatności na odległość ORLEN PAY



Mobilny kasjer dostępny
na podjeździe stacji

* Według aktualnego stanu na dzień 16.10.2020 r.

#bezpiecznyORLEN